

ABC

PIOTR JEZIEFSKI

KOCHANKOWIE  
BRZYDSZEJ  
CÓRKI

*Oficynka*

PIOTR JEZIEFSKI

**KOCHANKOWIE  
BRZYDSZEJ  
CORKI**



*Oficynka*

Copyright © Oficynka & Piotr Jeziński, Gdańsk 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być przez drukowaną ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2019

Redakcja: Joanna Nowak

Korekta: zespół

Skład: Tojza

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Zdjęcia na okładce: © DonatasJaraminas | Depositphotos.com,

© Riccardo Bruni | Depositphotos.com

ISBN 978-83-66613-51-5



[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Cytat

INFLUENZA

1.

2.

3.

INTERVALLUM

ŚWIATŁA W BRAMACH

4.

5.

6.

7.

Podziękowania

*Mojej Ewelinie*

*Popatrz! oto Warszawa:  
mosty, śródmieście, Żerań.  
Warszawo, krwawa jak sława,  
nadal nas żywcem pożeraj!*

Władysław Broniewski, *Wiśła*

# INFLUENZA

## 1.

Gerke postawił teczkę na podłodze i zaczął szukać kluczy. Do przejrzania miał sporo zakamarków. Płaszcz, marynarka, kamizelka... Nigdzie ich nie było. Sytuacja powtarzała się zawsze, kiedy nikogo nie było w domu. Renata z chłopcami pojechała do Milanówka odwiedzić rodziców. Cieszył się z uniknięcia wizyty u teściów, którzy tak niechętnie patrzyli na zięcia o niemieckich korzeniach, do tego starszego od ich ukochanej córki o ponad dwadzieścia lat. Lubił te okresy wytchnienia od rodzinnego życia, ale jako słomiany wdowiec gubił się w szczegółach codzienności. Jadał na mieście, bo nigdy nie opanował trudnej sztuki gotowania. Ubierał się w rzeczy wyprasowane i przygotowane przed wyjazdem przez żonę. Gdyby nie to, chodziłby w wymiętej koszuli i nieświeżej bieliźnie.

Dobrze się złożyło, że rodzina była poza Warszawą, jeszcze przez tydzień miał spokój i szansę na opracowanie planu bezbolesnego zagrania na ministerialnym gruncie.

Klucze znalazł w tylnej kieszeni spodni, jednocześnie odkrywając, co gniotło go w pośladek przez cały dzień siedzenia. Instytut oszczędzał na sprzęcie biurowym, dlatego wszystkie krzesła były zdezelowane i często zdarzało się, że w cztery litery kłuła jakaś wyłazająca sprężyna albo śruba. Tym razem okazało się, że to zguba. Żałował, że nie może, jak w dzieciństwie, nosić kluczy zawieszonych na szyi. Zaoszczędziłby cenny czas zmarnowany na ich szukanie, ale poważnemu pracownikowi instytucji państwowej nie wypadało brzęczeć na korytarzach uwieszonym na szyi żelastwem niczym uczniak latający po deptaku w Osternothafen. A brzęczałby na pewno, bo w pracy przemierzał całe kilometry, pokonując przestrzeń pomiędzy swoim gabinetem na trzecim piętrze a pomieszczeniami, w których wykonywane były analizy.

Wsadził największy klucz do zamka nad klamką i zauważył, że drzwi są otwarte. Zdarza się, pomyślał, mając nadzieję, że przez cały dzień nie odkryli tego przypadkowi włamywacze. Mieszkanie znajdowało się w kamienicy przy placu Unii Lubelskiej. Wejścia na klatkę pilnował stróż, a na rogu znajdowała się policyjna budka - pozornie dom był bezpieczny. Od kiedy ktoś włamał się do sąsiada z naprzeciwka, prokuratora Jarzyny, wzmocniono ochronę budynku.

Pchnął drzwi i wszedł do środka, we wpadającym do mieszkania świetle latarni szukając śladów plądrowania dobytku. Zagracony korytarz wyglądał tak, jak go zostawił rano. Przez drzwi do pokoju widział stojącą w nim komodę.



Wszystkie szuflady były zamknięte. Odetchnął z ulgą. Śmierdziało papierosami. Znowu zapomniał zostawić otwarte okno i wywietrzyć smród popielniczki. Zaraz przypomniał sobie, że przecież nie ma nikogo, kto ochrzaniłby go za drażniący dzieci fetor. Postawił teczkę obok szafki na buty i zdjął płaszcz. Wszedł do kuchni. Zapalił światło i zajrzał do lodówki. Marzył o schłodzonej plisce, po której pozwoliby sobie na małe odprężenie. Alkohol odnalazł przy tylnej ścianie lodówki. Wyjął butelkę, odkręcił i nalał do połowy szklanki. Nie lubił z kieliszka. Pasowało mu spożywanie winiaków na modłę koneserów whisky w amerykańskich filmach.

Zadowolony ruszył do pokoju. Zdecydował się posiedzieć chwilę w półmroku i, sącząc ulubiony trunek, posłuchać radia. Podeszedł do komody, żeby włączyć odbiornik, z którego natychmiast dobiegł skrót wiadomości dnia.

„Ogniskiem choroby po raz kolejny są tereny rolnicze. Słabo zamieszkany rejon wokół wsi Wilków położonej w gminie Leoncin”. Gerke zaśmiał się, myśląc o popłochu, jaki w warszawiakach wzbudzi ta informacja. Słuchał dalej, wciąż stojąc przed radiem. „Ze względu na to, że do licznych zachorowań po raz pierwszy doszło tak blisko stolicy, wieś i jej okolice poddane zostały kwarantannie. Władze radzą omijać tereny pomiędzy Wisłą a puszcza, obowiązywać będą na nich prawa stanu wyjątkowego. W godzinach nocnych przejazd szosą z...”

- Znowu tarakany przywlekły jakieś badziewie - powiedział śpiewny głos za plecami profesora.

Gerke odwrócił się powoli i w głębi dużego pokoju, w strefie nieoświetlonej przez uliczne latarnie, zobaczył dwóch mężczyzn. Rozsiedli się na kanapie, w półmroku widać było tylko, że nie zdjęli płaszczy. Jeden palił papierosa, zagryzając go. Żar oświetlił wyszczerzone w uśmiechu zęby. To on skomentował radiowe wiadomości, o czym właściciel mieszkania przekonał się, w napięciu słuchając kolejnych słów.

- Będiesz pan tak dobry i spakujesz się na trzydniowe wczasy? My poczekamy. Kolega może pomóc, jakby co.

W reakcji na te słowa drugi mężczyzna podniósł się i skierował w stronę drzwi na korytarz. W radiu leciały pierwsze dźwięki czołówki popularnego słuchowiska o przygodach agenta polskiego wywiadu, który działał pod przykrywką kapitana Abwehry. Gerke zauważył, że to zabawny zbieg okoliczności, słuchać budującej napięcie melodii w tak dramatycznym momencie. Zaraz zdusił tę myśl i trzeźwo ocenił sytuację. Po wojnie stracił kondycję, ale pamiętał jeszcze, jak skutecznie znokautować przeciwnika - przeszedł podstawowe szkolenie Wehrmachtu. Odczekał chwilę w bezruchu, udając zaskoczenie obecnością nieproszonych gości. W tym czasie drugi mężczyzna znalazł się w zasięgu jego ciosu. Profesor udał, że chce odstawić alkohol na komodę, a w rzeczywistości wziął zamach i grzmotnął go grubym szkłem w nos. Szklanka pękła, dopiero lądując na podłodze.

Ofiara ataku zachwiała się. Po chwili stanęła prosto, ale z nosa trysnęła krew. Gerke wiedział, że z tym delikwentem ma chwilę spokoju, a nim dopadnie go zrywający się z kanapy mówca, on zdąży znaleźć się w przedpokoju. Ucieczka na klatkę schodową była bezsensowna, nie zdążyłby otworzyć zamka. Zresztą plan był inny – dopaść górnej szuflady szafki na buty. Udało mu się to w chwili, kiedy napastnik znajdował się obok krwawiącego kolegi. Włamywacz odepchnął zakrywającego twarz partnera i nabrał tempa, ręką przytrzymując framugę drzwi. Kiedy nocny gość znajdował się w prostokącie framugi, Gerke otwierał już szufladę. Gdy prześladowca poślizgnął się na plecionym dywaniku ułożonym przez żonę w przedpokoju, profesor trzymał już w dłoniach swojego walthera P38. Nawet nie mierzył. Strzelił dwa razy na oślep i napastnik padł. Huki wystrzałów pokryły się z serią z karabinu maszynowego, która otwierała kolejny odcinek radiowego serialu.

Zastrzelić krwawiącego z nosa czy podjąć ryzykowną ucieczkę? Instynktownie wybrał drugą opcję i ruszył do drzwi. Kiedy zniknął na klatce schodowej, lektor w radiu pełnym emocji głosem informował, że J-23 znowu nadaje.

\*\*\*

„Ósma rano. Już wstaliście? Zjedliście śniadanie? Poranny prysznic pomógł spłukać resztki snu? Wybraliście już sentencję na dzisiaj?” – pytania radiowego motywatora przerwały poranną ciszę.

Wieczorem nastawił aparat, zapominając przełączyć go z radia na budzenie drażniącym sygnałem. Dobrze się stało. Odpowiadała mu barwa głosu tego człowieka. Czasami słuchał go przy śniadaniu. Zarażał zaspanych warszawiaków zdrowym optymizmem. Lubił go, mimo że audycja była zlepkiem komunałów. Coś w głosie sympatycznego lektora pozwalało bezproblemowo wejść w nowy dzień. Kiedyś słuchał motywatorce na innej fali, wydawało mu się, że lepiej, gdy rano wita go seksowny kobiecy głos, ale pech chciał, że trafił kiedyś do radia i musiał przesłuchać kilku pracowników rozgłośni. Jedną z nich była właścicielka magicznego głosu, która okazała się kościstą babą z pretensjami do całego świata. Potem nie był już w stanie słuchać tej hipokrytki.

Jeszcze przez chwilę leżał w łóżku i patrzył na ściany swojego dziecięcego pokoju. Matka usunęła z nich plakaty z jego ulubionych filmów, wieszając obrazek z jeziorkiem zagubionym wśród gęstych lasów i dwa dyplomy oprawione w zbyt ciężkie ramy - ukończenia przez syna szkoły i zajęcia przez niego drugiego miejsca w regionalnych zawodach pływackich. Wysmarkał nos w chusteczkę, wzbudzając dotkliwy ból głowy. Grypa, powiedział lekarz i wcisnął mu receptę na leki, które stały teraz na nocnej szafce obok żółtych pobudzających, niebieskich na koncentrację i białych optymistycznych. Wyjął po jednej tabletkę z każdego słoiczka i położył obok szklanki. Zastanawiał się, czy brać je przed śniadaniem, bo zawsze w takim wypadku pół dnia odbijało mu się chemią. Ale na

śniadanie nie miał wcale ochoty. Zje coś w oddziałowym bufecie. Lekarz mówił też, żeby nie mieszać tych na grype z pobudzaciami i odczekać godzinę między zażyciem jednych i drugich. Chrzanić to, pomyślał Stach. Wiedział, że jak nie weźmie ich teraz, to później zapomni. Łyknął całą garść proszków i popił je wodą z kubka, który przed snem postawił przy łóżku.

- Propozycję sentencji na dzisiaj znajdziecie w mojej książce *Pozytywny dzień*. Myślę, że wszyscy słuchacze mają już egzemplarz w domu, ale przypomnę, że to doskonały prezent. Bliskim i znajomym można ją kupić w księgarni Caudex na Pierackiego 3.

Staszкови wystarczył głos prowadzącego, nie zamierzał kupować jego radosnych wypocin. Ale pomysł cytatu na cały dzień wydawał mu się doskonałym ćwiczeniem umysłu. Tekst nie zawsze pasował do wydarzeń dnia, wtedy miał okazję, nieraz na siłę, łączyć to, co go spotkało, ze znalezioną przypadkowo sentencją. Wstał, rozprostował kości i podszedł do regału swojej chłopięcej biblioteczki. Wybrał jedną z książek stojących na półce wydzielonej dla klasyki, otworzył tom i z teatralną manierą przeczytał na głos:

- Alceście, ty znasz ból, co w sercu moim płacze, Znasz moich uczuć głąb, więc krok ten mi wybaczysz.<sup>1</sup>

Po chwili otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich pociągła twarz jego matki.

- Już nie śpisz, Stasiu? - zapytała. Jej szybką reakcję na przebudzenie syna tłumaczyła cienka ściana dzieląca

kuchnię od jego dawnej sypialni. – Śniadanie gotowe. Woda na herbatę się grzeje...

– Kawę – rzucił, ruszając powoli za matką w głąb mieszkania.

– Jesteś chory. Herbata rozgrzeje, kofeina tylko wypłucze minerały.

– Witaminy – poprawił ją szorstki głos z zaschniętego gardła.

– Jedno i drugie. Mocna herbata też budzi.

– Kawa. Mamo, proszę.

– Czarna herbata ma dużo polifenoli, przeciwutleniaczy i jeszcze teaflawinę, to dobre na mózg, na twoje narzędzie pracy, na funkcje poznawcze. – Kobiecie zachwalającej zalety naparu nie przeszkadzało karcące spojrzenie syna, który sadowił się przy kuchennym stoliku. – Jeszcze witaminy ma, kofeiny też trochę.

Stach przeniósł wzrok z kobiety na widok za oknem. Drzewa po drugiej stronie Elekcyjnej gubiły liście, cmentarz prawosławny szykował się na nadejście zimy. Przypomniawszy sobie, ile razy w dzieciństwie uciekał przed trajkotaniem matki, żeby z książką posiedzieć wśród najstarszych grobów. Dla większości jego kolegów była to dziwna praktyka, woleli zakradać się na teren nekropolii, żeby podpalać zgarnięte w kupki liście i ze śmiechem uciekać przed dozorcą. On miał układ ze starym Ludwikiem, który pozwalał mu spacerować alejkami cmentarza nawet wieczorami, kiedy brama główna była już zamknięta. W zamian Staszek przynosił mu stare kolorowe

magazyny i raz w tygodniu grał z nim w domino, słuchając syberyjskich opowieści wiekowego zesańca. Ludwik, namiastka nieobecnego ojca, zmarł jakieś dziesięć lat temu. Stach zaczynał wtedy pracę w służbach. W ostatnich miesiącach życia dozorca odwiedzał go bardzo rzadko, tylko po niedzielnych obiadkach u matki. Przeprowadził się wtedy do służbowego pokoju w hotelu dla funkcjonariuszy średniego szczebla. Pamiętał, jak stał na jego pogrzebie i zastanawiał się głupio, czy dozorca nie odszedł, bo uszło jego źródło kolorowych magazynów, jedyne okna na pozacmentarny świat.

- ...rozumiem, że wpadasz, gdy musisz odchorować albo odespać. Ale choć w niedzielę mogłeś staruszkę zaprowadzić do świętego Wawrzyńca.

Zamyślony Staszek nawet nie zauważył, kiedy matka zmieniła temat.

- Chciałaś się przekupom z osiedla pochwalić synusiem? - zapytał, patrząc jak matka z wyraźną niechęcią zalewa kawę wrzątkiem.

- Pewnie. Ta nowa z parteru to chyba nawet nie wierzy, że mam syna. Tyle jej opowiadałam, a ciebie, odkąd tu mieszka, nie widziała ani razu. - Matka odstawiła czajnik i zaczęła grzebać w lodówce. Postawiła przed synem przygotowany wcześniej talerz pokrojonej cienko suchej krakowskiej, udekorowany pomidorem i ogórkiem konserwowym.

- Mamo, ja nie jem śniadania tak wcześnie - zaprotestował Stach.

- Wiem jak was karmią w stołówkach. Tylko zdrowe, zbilansowane i niesmaczne. Tu widać, co dobre. W sklepach z tymi zbilansowanymi trocinami pustki, a po kielbasę stoi się godzinę na bazarze.

- To mówi ktoś, kto karze pić zdrową herbatkę? - zaatakował z uśmiechem syn.

- Herbata była dobra zawsze, a tego stojącego w gardle suplementu jeszcze przed wojną nie... - kobieta przerwała, zdając sobie sprawę z użycia kłopotliwego słowa.

- Gówniane suplementy - podsumował Stach.

- Wiesz, że nie chciałam. Łatwo się przejęzyczyć, co chwila ta nowomowa. - Kobieta pogłaskała syna po ramieniu. Nie zareagował, skupiając się na mieszaniu kawy. Matka podparła dłonie na biodrach i różnym głosem dodała:

- Teraz się obrazisz i już będzie powód, żeby nie jeść śniadania. Mały Stasio znowu się boczy na mamę?

Popatrzył na nią, po czym dla świętego spokoju wyciągnął rękę po plasterek krakowskiej. Kobieta rzuciła mu spojrzenie, którego treść natychmiast odczytał. Położył kielbasę na kromce chleba, pamiętając z dzieciństwa naukę, że wędlina bez pieczywa to marnowanie jedzenia, z chlebem człowiek się szybciej naje i więcej zostanie na później.

Kobieta usiadła naprzeciw syna. Posłodziła herbatę jedną kostką cukru i zaczęła powoli mieszać. Stach czuł, że chce go o coś zapytać. Miał nadzieję, że nie zepsuje mu



dnia wypytywaniem o najbardziej drażliwe sprawy. Kobieta wypła łyk naparu i zadała najgorsze z możliwych pytań.

- A coś słyszałeś, co u Jadzi?

- Przecież wiesz... - zaczął, cedząc słowa przez zęby.

- To moja wnuczka... Nasza krew przecież... - kobieta próbowała zagadać zbliżający się wybuch syna. Niestety drażnienie tematu rozjuszyło mężczyznę.

- Zapomnij o tym bachorze. Nigdy nie będzie naszą rodziną. Nigdy, rozumiesz?! - rzucił w gniewie. Ostudziły go dopiero łyki kobiety. - Przepraszam... Nie możemy o tym rozmawiać. Nie chcę, a ty mogłabyś uszanować...

- A ty uszanuj to, że tylko ciebie mogę o nią zapytać - odparła, zaciskając dłoń na kubku z herbatą.

- Mamo, przepraszam, poniosło mnie. Jeśli się czegoś dowiem, to zaraz przylecę do ciebie.

- Musiałbyś potknąć się o nią na ulicy, żeby się czegoś dowiedzieć - odpowiedziała, wstając i wychodząc z kuchni.

- Znasz moich uczuć głęb, więc krok ten mi wybaczysz - powiedział Stach, patrząc na puste krzesło po drugiej stronie stołu.

\*\*\*

Kolejna rozwiązana sprawa Domagały - pomyślał Stach, patrząc na skupione oblicze przełożonego. Inspektor w gumowych rękawiczkach przeszukiwał powoli kieszenie denata. Technicy już wcześniej zrobili zdjęcia ofiary i pozwolili mundurowym wyciągnąć połamane ciało z wielkiego pojemnika na śmieci. Stach się gotował, widząc

tak nieregulaminowe zachowanie. Powinni poczekać na przybycie ekipy śledczej. Nie wolno im było ruszać ciała, zanim on i mistrz dedukcji Domagała nie obejrzą miejsca zbrodni. Wiedział, że inspektorowi podobał się taki rozwój wypadków, bo nie musiał wchodzić do śmietnika i brudzić swoich wypastowanych bucików. Nadgorliwców dotykających wcześniej trupa nagroził papierosami, gwiazda wydziału wychodziła z założenia, że najważniejsze to dobrze żyć z pracownikami niższego szczebla. Oczywiście zasada ta nie dotyczyła Stacha, jego najbliższego współpracownika, któremu na każdym kroku przypominał, że jeden z nich lepiej się urodził.

- Ja wiem, Kubiak, że myślisz już o kolacji, ale zapisz z łaski swojej, że przy denacie nie znaleziono żadnych dokumentów - wystudiowanym głosem profesjonalisty zwrócił się do współpracownika, nawet na niego nie patrząc. Doskonale wiedział, że takich szczegółów się nie zapisuje, bo są na tyle proste, że każdy je zapamięta, a już na pewno Stach, szkolony do pamiętania wszystkiego. Domagała miał publikę złożoną z zabezpieczających teren mundurowych i szefa techników. Dopóki byli jego widownią, zamierzał odgrywać rolę perfekcyjnego detektywa. Robiąc długie pauzy między zdaniami, monologował o tym, że ofiara została dwa razy postrzelona w brzuch i tym samym uśmiercona około ośmiu godzin temu, złamano jej też kończyny, wcześniej poinformował go o tym szef techników. Zresztą wszyscy widzieli zalaną krwią koszulę, którą jakiś ambitny krawężnik podwinął, żeby ukazać rany wlotowe.

Stach chciał przejść do drugiego aktu, przesłuchiwania sąsiadów, bo w czasie, kiedy jego bezpośredni przełożony odtwarzał scenkę z denatem, on zdążył już zlustrować scenę zbrodni. Zauważył, że zwłoki przeciągnięto do śmietnika z drugiej strony podwórka. Obejrzał miejsce, w którym wcześniej leżały. Odkrył tam ślady krwi. Powiadomił o tym techników, którzy zabezpieczyli miejsce przy okienku do piwnicy. Zastanawiał się, z którego piętra wypadła ofiara i czy wykręcone kończyny były skutkiem upadku. Przeklinał powracający ból głowy. Brał mocne leki i był w stanie pracować, ale jego efektywność spadała o jakieś dwadzieścia procent. Do tego nie był z siebie zadowolony – po wyjściu od matki, w drodze do pracy, miał zrobić obowiązkową codzienną prasówkę, niestety kolejną ofiarą sezonu grypowego okazała się kioskarka na Górczewskiej, właścicielka jedynej w okolicy punktu z prasą. Miał wybór, drałować całą przecznicę w bok, do innego kiosku i spóźnić się do pracy prawie pół godziny – biorąc pod uwagę wydobyty z zakamarków pamięci aktualny rozkład jazdy – albo zjawić się w biurze bez przygotowania i ryzykować przepytanie przez nadgorliwego Inspektora Gotowości Zawodowej. Na szczęście zaraz po wejściu do budynku wydziału dopadł go dyżurny kurier i przekazał wiadomość od Domagały, że ten zmierza już na miejsce zbrodni. Inspektor powinien był na niego zaczekać, zapoznać z dokumentami zgłoszenia, ale bezwzględna hierarchia jednym pozwalała na dowolne zachowanie w pracy, a innych zmuszała do latania za nimi po mieście

z wywieszonym ozorem. Dziadkowie Jadzi, manipulując licznymi znajomościami, pilnowali, żeby ta sytuacja nigdy się dla Stacha nie zmieniła, a Domagała wiedział, że w relacjach z podwładnym może sobie na wiele pozwolić. Oczywiście nie było go stać tylko na jedno – stracenie tak wartościowego współpracownika jak Stach. Dlatego raz na miesiąc zapraszał go na kolację, podczas której udawał koleżeńską sztamę i próbował nie rozmawiać o pracy. Niższy stopniem i ustawową klasą funkcjonariusz nie mógł odmówić przyjęcia dowodów udawanej sympatii.

Domagała wyprostował się i odwrócił twarzą do publiczności.

- Denata wrzucono do śmietnika, ale ciało wcześniej leżało gdzieś indziej – spojrzał na zebranych, wyławiając spośród nich szefa techników, a ten ruchem głowy wskazał oznaczone miejsce pod oknami. Inspektor kontynuował przedstawienie.

- O tam, przy okienku. Denata zapewne wyciągnięto z piwnicy, tak wydedukowałem.

Stacha zalała fala złości, miał ochotę zrugać Domagałę, powiedzieć, że jego popisowe bełkotanie nie ma nic wspólnego z dedukcją. Dać wykład z prawidłowego rozumowania logicznego opartego na zbiorze przesłanek. Podać szereg przykładów adekwatnych do zastanej tu sytuacji. Uspokoił się w duchu. Opanował potrzebę korekty słów mówcy. Wiedział, że musi interweniować, ale delikatnie. Domagała był w wyjątkowo marnej kondycji. Widząc jego wystudiowane, teatralne zachowanie, powinien

był się domyślić, że inspektor przesadził z porannym kielichem, który jeszcze bardziej obniżył jego nie najwyższe loty. Musiał ratować honor ich duetu śledczego.

- Panie inspektorze, z góry. Ciało przypuszczalnie zostało rzucone z któregoś z okien - poprawił przełożonego, nie zwracając uwagi na uśmieški mundurowych. Tylko szef techników zdawał się przejmować smutnym losem komisarza informacji i uraczył Stacha współczującym spojrzeniem. Spojrzeniem, którym on gardził, bo w toku myślenia technika na pewno pojawiło się określenie „biedny suplement”. Właśnie suplementem ulica nazywała gromadzących dane asystentów ustosunkowanych funkcjonariuszy.

Rozpoczęli obchód po klatce, pod którą znaleziono ślady. Pięć kondygnacji, dziesięć mieszkań. W siedmiu zastali lokatorów lub służbę. Wychodzących wcześniej mieszkańców przepytali mundurowi. Stach na osobności poprosił ich o szybkie dostarczenie raportów. Nie był zaskoczony, rozmawiając z mieszkającym tu prawnikiem. Dokładnie sześćdziesiąt trzy dni wcześniej włamano się do prokuratora Jarzyny i to komisarz przesłuchiwał poszkodowanego oraz sąsiadów. Była to jedna ze spraw na boku, o jakie czasami prosił go naczelny. Do kradzieży wysyłano zwykle żóltodziobów, ale ze względu na pozycję poszkodowanego sklecono zespół odpowiednich ludzi. Okoliczności były podejrzane, bo z mieszkania nic nie zginęło, a jedynym śladem bytności złodzieja były wyłamane drzwi. Wszystko wskazywało na to, że

włamywaczy ktoś spłoszył. Tamtą sprawę umorzono, a poszkodowany rozpaczał, bo zniszczono framugę tuż przed zakończeniem generalnego remontu mieszkania. Podobnie jak pozostali mieszkańcy klatki, Jarzyna nie zauważył wczoraj nic podejrzanego. Wszyscy słuchali wieczornej audycji o dzielnym szpiegu, jedni dobrowolnie, inni zmuszeni przez sąsiadów, którzy w czasie serialu podkreślali głośność w odbiornikach. Stach spodziewał się tego, znając słupki słuchalności popularnej opowieści. Stróż ze służbówki podzielał radiowe zainteresowania reszty obywateli, a policjanta z budki na rogu ulicy zmusiła do opuszczenia stanowiska grupka awanturujących się pijaczków. Ich dane zostały spisane i przekazane Stachowi. Jarzyna spytany o pozostałych sąsiadów wiedział tylko, że profesor Gerke, pod nieobecność żony, pracował w dziwnych godzinach. Połowa nazwisk z listy lokatorów często pojawiała się w gazetach, w tej okolicy mieszkała większość warszawskich prominentów. Był jeden wiceminister, w którego mieszkaniu zastali zmartwioną zamieszaniem gosposię i dzieci żywo zainteresowane trupem na podwórku. Szef urzędu prasy i widowisk był w domu, bo odsypiał wczorajszy raut, z którego niestety wrócił około drugiej w nocy i nie zauważył niczego podejrzanego. Nie zastali w domu znanej aktorki, ale dzięki codziennym prasówkom Stach wiedział, że przebywała na amerykańskim tournée. Sąsiedzi, których mieszkania były zamknięte, między innymi Gerke, z tego, co komisarz

pamiętał, szycha w Instytucie Analiz Epidemiologicznych – mieli zostać namierzeni w ciągu najbliższych godzin.

\*\*\*

Złość przeszła szybko. Pulsujący ból nosa pomógł się opanować. Gdyby w tym stanie ruszył w dalszy pościg za uciekinierem, po schodach kamienicy spłynęłaby krew. Dobrze, że się wtedy zatrzymał, przysiadł na półpiętrze, chwilę pomyślał i wrócił do mieszkania. Ścigać spanikowanego dziada nie było już po co, a jak na swój wiek miał sporo energii. Wpakowałby się w jeszcze większe bagno, gdyby go zabił i wrócił z informacją o dwóch trupach, a tak musiał zająć się tylko Bednarskim. Nie mówili, co się robi w takich sytuacjach. W ogóle niewiele powiedzieli. Polecili przerwać standardową obsługę klienta, ubrać się i iść za kolegą, który kazał mu tylko groźnie wyglądać i wykonywać polecenia. Wykonywał, tylko ten Niemiaszek ich nie słuchał.

Kłujący ból promieniował od nosa w głąb czaszki. Myślenie nie było jego dobrą stroną, a teraz utrudniał je ogień pulsujący na środku twarzy. Żałował, że nie zabrał ze sobą fiołki aktywatorów, wzięłby podwójną dawkę i przekuł ból w działanie. Kwadrans chodził po mieszkaniu, co chwila zerkając na leżące w przedpokoju zwłoki. Wyłączył rozpraszające go radio. W końcu wymyślił, że jedyne, co może zrobić, to utrudnić ewentualne śledztwo i odciągnąć zwłoki od miejsca zbrodni. Wyrzucił Bednarskiego przez okno, wcześniej upewniając się, czy nikt nie chodzi po

podwórku. Na szczęście wszyscy siedzieli przy radiodbiornikach i słuchali nowego odcinka serialu. Miał nadzieję, że wszystko się do jutra ułoży i zdąży do domu na wieczorną powtórkę. Z drugiej strony bagno było takie, że pewnie zostanie w robocie dzień dłużej. Zamknął mieszkanie, zszedł na dół i wrzucił zwłoki do śmietnika.

Przez telefon zreferował dyżurnemu całe zajście i godzinę później był już na oddziale. Kazano mu opatrzyć nos, iść do piwnicy i poczekać na oficera operacyjnego. Obudził lekarza, który swoją nocną zmianę jak zwykle przesypiał. Ten sprawnie zajął się jego nosem, oblepiając go kawałkiem bandaża i grubym plastrem. Kazał zgłosić się rano do szpitala na prześwietlenie i wcisnął do ręki tabletki przeciwbólowe. Rozwalony nos już tak bardzo nie przeszkadzał, tętno wybijało w nim bolesny rytm, który orzeźwił przysypiający o tej porze umysł. Nie potrzebował tych lekarstw. Zostawił lekarza i zszedł do piwnicy. Na dole zaledwie chwilę siedział beczynnie, z pokoju obsługi wyszedł Radziak i zapytał, czy go nie zmieni. Ucieszył się, że będzie mógł zająć się czymś produktywnym. Zakasał rękawy, włożył rękawice i przyduże kalosze, po czym wszedł do pomieszczenia z wysokim sufitem – swojego gabinetu, jak lubił o nim myśleć.

Zadanie było proste. Podlewanie z impulsem. Wolał nie używać pięści, bo nie znał pytań ani sprawy. Farba na ścianach pękała od zbierającej się pod nią wilgoci. Dominował zapach pleśni, a pod nim nuta uryny. Podeszedł do kranika, żeby odkręcić wodę. Idealna robota,



nieskomplikowana. Czysta siła. Proste pytania, krótkie odpowiedzi. Gdyby klient zaczął więcej mówić, należało przekręcić przełącznik przy drzwiach i zaraz przychodził podoficer spisywać zeznania.

Z wysokiego stropu zwisała tania lampa. Kiedyś była to zwykła żarówka, ale po kilku spięciach od wszechobecnej wilgoci, kiedy wywaliło korki na całym oddziale, wprowadzono izolowaną kulę, dającą mniej światła, ale większe bezpieczeństwo pracy. Trzy metry pod lampą, na metalowym krześle, trząsał się klient. Okrywał go szary worek, tak wielki, że wystawały z niego tylko żyłaste łydki i sine stopy. Mężczyznę przywiązano do oparcia grubym skórzanym pasem. Nie było otworu na twarz. To dobrze, funkcjonariusz nie chciał oglądać tych proszących o litość małych oczek komucha, który właśnie dał się przekonać do zmiany spojrzenia na świat, czy jeszcze gorszego elementu, bezmyślnie sprzedającego informacyjną własność ojczyzny. Do tej pracy trzeba mieć silny kręgosłup moralny, tak powtarzał świętej pamięci Bednarski, oraz nienawiść do zdrajców, kontrolowaną, bo łatwo było przedobrzyć. Wziął szlauch, z którego na podłogę mocnym strumieniem lała się lodowata woda. Wszystko spływało do otworu pod klientem. Wykonał znak krzyża, jak zwykle utwierdzając się w tym, że to okrutne, ale dobre dla innych, żeby ojciec i Kryśka nie musieli się w życiu brudzić. Ścisnął gumową końcówkę, żeby zwiększyć ciśnienie, i polał dygoczącego mężczyznę. Ten nawet nie pisnął, widać przesłuchanie trwało już trochę czasu i klient przysypiał. Odłożył gumowy przewód. Na

myśl o użyciu agregatu poczuł iskierkę radości. Zaraz zdusił to nieprofesjonalne uczucie. Kilka razy dał się ponieść przyjemności płynącej z pracy i musiał wzywać dyżurnego lekarza. Polecieli mu za to po premii i wysłali na szkolenie, podczas którego zgłębił techniki panowania nad emocjami. Zastosował jedną z nich, wizualizację papierkowej roboty, zaznaczania kolejnych punktów w niekończącej się tabeli. Ta praca to wypełnianie listy obowiązków. Nic więcej. Odkręcić wodę - raz. Podać - dwa. Dać impuls - trzy. Wydać polecenie lub zadać pytanie - cztery. Poczekać na odpowiedź - pięć. I od początku, jeśli zachodzi potrzeba. Żadnej przyjemności, tylko obowiązki do wykonania. Z tego żyję. Oczywiście technika była bardziej skuteczna, kiedy wspomagało się ją farmakologicznie, ale żeby sięgnąć do apteczki, musiałyby zdjąć ogumienie rąk i nóg, po czym wyjść na korytarz. Za dużo zachodu.

Odetchnął zmęczony trudami pracy. Przesunął pokrętko maszynki stojącej na stoliku w rogu pokoju. Nacisnął guzik i 200 000 woltów popłynęło po przewodzie łączącym agregat z nogą krzesła. Mężczyznę w worku zatrzęsło, po czym zwiotczałe mięśnie bezsilnie opadły.

Nagle otworzyły się drzwi. Na popękanych kafelkach stanęły lśniące lakierki. Ciemny garnitur skrojony idealnie do szczupłej sylwetki kontrastował z obskurnym pomieszczeniem. Miał nadzieję, że rozmowa z operacyjnym odbędzie się w biurze na końcu korytarza, a nie w miejscu jego brudnej przecież pracy. Mimo że była noc, mężczyzna nosił okulary z przyciemnianymi szklami. Dziewczyny

z finansowego uważały, że był przystojny, ale zimny. Miały rację. Wysokie zakola i zaczesane do tyłu jasne włosy jeszcze bardziej wyciągały twarz oficera. Funkcjonariusz, wciąż trzymający w dłoni szlauch, poczuł, że w pomieszczeniu zrobiło się chłodniej. Operacyjny zdjął okulary i, jak zwykle w takich chwilach, podwładny poczuł, że do celi zajrzało lipcowe słońce. Błękitne oczy promieniały dobrocią, rozlewającą się na całą twarz i otoczenie. W niemal magiczny sposób zmienił się wygląd mężczyzny. Teraz miało się ochotę na szczerą, przyjacielską pogawędkę zakończoną wypaleniem drogiego papierosa w niekrępującej ciszy.

- Narozrabiałeś, kolego - powiedział oficer, w którego perfekcyjnej polszczyźnie wciąż pobrzmiwał obcy, anglosaski akcent. - Rozumiem, że działałeś w pośpiechu. Że pewnie chciałeś usunąć trupa z mieszkania tego człowieka. Wiem, że zadanie wymagało od ciebie zaangażowania ponad możliwości. Rozumiem. To był nasz błąd. Za duże wymagania. Ale straciliśmy pożytecznego pracownika. Zamiast klienta i informacji mamy trupa. Trupa, który w mieszkaniu, niezauważony, przeleżałby tydzień, a teraz kolejni ludzie zainteresują się naszym profesorem. Będę musiał zadzwonić do następnych ludzi. Może obędzie się bez pytań w zamian za kosztowne przysługi. Stracimy czas i pieniądze, to będzie kara dla mnie za wysłanie nieodpowiedniego człowieka. Konsekwencje mojego błędu...

Mężczyzna stał w miejscu, przy drzwiach, ze splecionymi z tyłu rękami. Po chwili bezruchu drgnął, podszedł w stronę klienta, zatrzymał się i mruknął, nie tracąc przy tym kontaktu wzrokowego z rozmówcą w gumiakach:

- I ty też... -z całej siły przywalił dłonią w głowę torturowanego, aż ten razem z krzesłem przewrócił się na podłogę - odczujesz konsekwencje tego błędu. Mogę zrobić to tak, żebyś zapamiętał naukę. Bez obijania twojej, już i tak cierpiącej twarzy, tylko docierając wprost do serca.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której oficer poszedł wyłączyć agregat, usiadł na stoliku i zapalił papierosa.

- Otwórz okienko - poprosił rozmówcę, rozganiając ręką tytoniową chmurę. Począł aż tamten wykona polecenie i kontynuował przemowę.

- A teraz wyobraź sobie, że po twoim telefonie, półtorej, zdaje się, godziny temu, odwiedziliśmy twojego ojca. - Funkcjonariusz zbladł, słysząc te słowa. - Zaprosiliśmy go na małą przejażdżkę i wizytę w zakładzie pracy syna. Zwiedzanie było niestety krótkie, ale tato dał się namówić na prezentację zawodowych umiejętności, jakimi dysponuje jego syn. Radziak zgodził się poczekać z tym wspaniałym, jak słyszałem, staruszkiem na powrót pierworodnego. Ojciec twój wylewnie dziękował za możliwość poznania tajników twojej pracy. Musieliśmy zająć mu czymś usta i otulić go, bo zmarzł, biedaczysko. Niestety staruszek miał też wypadek. Nietrzymanie moczu, rzecz normalna w tym wieku. Akurat, kiedy zaczęliśmy go myć, wróciłeś

z terenu... - oficer spojrział na leżące na podłodze, bezwładne ciało - ...i pomogłeś zająć się naszym gościem.

Funkcjonariusz niskiego szczebla drgnął. Od razu chciał rzucić się do ciała leżącego na wilgotnej podłodze, ale czekał na pozwolenie przełożonego. Pojawił się impuls bezmyślnej zemsty, ale tym razem rozsądek wyprzedził spontaniczną reakcję. Wiele razy widział tego mężczyznę podczas pokazowych ćwiczeń, kiedy niewinnym ruchem ręki powalał większych o głowę przeciwników. Doskonale opanował sztukę wykorzystywania masy i energii napastnika.

Operacyjny skinął głową i ruszył do drzwi. Mężczyzna w gumiakach padł na kolana i zaczął odwiązywać spętane ciało od krzesła. Długo mocował się z workiem. Jego zwierzchnik zatrzymał się przed wyjściem, odwrócił i z uśmiechem zakończył przemowę:

- Zrozum, że kara musi być. Musisz zapomnieć o trzynastce i pod choinkę kupić tacie skromniejszy prezent.

Pod workiem kryło się martwe już ciało staruszka. Funkcjonariusz odetchnął z ulgą. Widział tego mężczyznę po raz pierwszy w życiu. Żadna kara dyscyplinarna nie była w stanie przyćmić jego radości. Do domu wrócił późnym przedpołudniem. Ze łzami w oczach ucałował ojca.

\*\*\*

Kiedy Domagała poszedł na swoją południową drzemkę do oddalonego o kilka przecznic domu, Stach usiadł

w pobliskiej kawiarni, zamówił kawę z obniżoną zawartością kofeiny i zabrał się za przeglądanie zakupionych przed chwilą gazet. Pierwsze strony wydań z poniedziałku 8 listopada 1965 roku zdominowała informacja o nowym ognisku wirusa na Mazowszu i to w najbliższym sąsiedztwie stolicy. Artykuł okraszono zdjęciem ze szpitala polowego, szereg łóżek zajmowali bladzi ludzie. Na pierwszym planie zaopatrzony w maskę przeciwgazową lekarz poił siedzącą na pryczy dziewczynkę. Wiedział, że oddziały medyczne nie używają tego typu sprzętu, ale zdawał sobie też sprawę z namiętności fotografów prasowych do upiększania rzeczywistości. Wzruszył go jednak widok autentycznego bólu w oczach dziecka. Zgroza, pomyślał. Część tytułów sugerowała, że za sprawą stoją przedstawiciele Wschodniej Warszawy. Od dwudziestu lat, czyli od chwili, kiedy kraj i stolicę podzielono na dwa oddzielne państwa znajdujące się pod wpływem wrogich bloków, o prawie wszystko, co działo się na terenie miasta, najpierw obwiniano praskich agentów. Kiedy za nieprzestrzeganie norm sanitarnych zamknięto popularną cukiernię, ulica żartowała o karaluchach wrzucanych do pączków przez piątą kolumnę komunizujących cukierników. Po nieudanym zamachu na mokotowskiego bandziora, Grzesia, szukające sensacji gazety rozpisywały się o zemście szmuglerów alkoholu z drugiej strony Wisły, oczywiście pracujących dla władz Polski Ludowej. Ile razy z rzeki wyłowiono trupa, zaraz szła fama, że to wierny syn III RP, służący pod przykrywą na

Pradze i zdemaskowany przez kacapski kontrwywiad. Tylko jedna z czytanych przez Stacha gazet zawierała obawy, że sprawa odkrycia nowego ogniska choroby zaszkodzi małej odwilży i akcji „Spotkania na moście”, podczas której rodziny z dwóch stron Wisły jednały się po latach i odwiedzały pod czujną kuratelą władz.

Obchodzący w tym roku czterdziestolecie istnienia Instytut Farmakologii informował o nowych specyfikach wprowadzanych na rynek, zarówno tych powszechnie dostępnych, jak i zalecanych specjalistom z różnych dziedzin. Stach dowiedział się, że już niebawem uprzywilejowane Jednostki Przetwarzania In formacji otrzymają nowy środek jednocześnie wzmacniający pamięć i koncentrację, umożliwiający przyswojenie większej ilości danych. Oczywiście, jak zwykle, zapewniano o braku skutków ubocznych. Natychmiast przypomniał sobie jak po wprowadzeniu cudownego Memactu 34 przez dwa miesiące nie mógł spać, analizując mało znaczące szczegóły, takie jak zależność aktywności trzody hodowlanej od sprzedaży pasz z wzbogacanym białkiem.

Zwyczajowo na ostatniej stronie warszawskich wydań, nazywanej „tablicą chwały”, umieszczano informacje o pracownikach średniego szczebla dzięki ciężkiej pracy awansowanych do decyzyjnej elity. Czytał, wiedząc, że nie ma szans. Kiedyś bardzo tego chciał, starał się, potem się zakochał i dostrzegł szansę na spełnienie za jednym zamachem klasowych i osobistych marzeń. Los chciał inaczej, ale i tak zaszedł daleko jak na startującego

z najniższej pozycji syna uciekiniera. Jebać to, pomyślał. Jest jak jest. Mam co jeść i o czym myśleć. Przełknął pigułkę z mieszaniną witamin i minerałów podawaną do każdej kupowanej na mieście kawy i zamówił sobie porcję deseru na bazie odtłuszczonego koziego sera. Pożałował, że nie zabrał od matki kanapek z kiełbasą.

\*\*\*

Z Domagałą był umówiony o drugiej na odprawę u naczelnego. Można było się tego spodziewać, szef wzywał do siebie zawsze, kiedy trup leżał pod oknem jakiegoś nuworysza. Stach miał czas, żeby odwiedzić pijaczków awanturujących się w nocy pod kamienicą na Unii. Ich adresy miał świeżo zanotowane w głowie. Na pierwszy ogień wziął starego znajomego, Sikorę, mokotowskiego złodzieja, który rok temu próbował po pijaku zatrzymać tramwaj i przeszedł ponoć na przestępczą emeryturę.

Biedaczek leczył kaca. Na początku milczał, udając, że próbuje wrócić z półsennego stanu do rzeczywistości. Wtedy Stach rozejrzał się po jego melinie, suterenie na tyłach Puławskiej i zaczął wyliczać: alkohol z PRL-owską banderolą, farmaceutyki dla pracowników fizycznych klasy ciężkiej, których pozbawiony lewej ręki rentier mieć nie powinien i paczki z emblematem delikatesów, które obrobiono pięć dni temu. Widać Sikora nie zrezygnował z aktywności zawodowej i przebranżowił się w pasera.

- Wyliczać dalej? - zapytał Stach. - Bo tu się materiału znajdzie dla niejednego wydziału.



- A jak się rozgadam, to pan komisarz zapomni? - zmulona dotąd ofiara kaca okazała się całkiem trzeźwo myślącym rozmówcą.

- Ja z tych, co nie mogą zapomnieć. Ale życie dają, Sikora.

- To ja już skłonny jestem. - Mężczyźnie zaschło w gardle, więc pociągnął łyk z opróżnionej do połowy butelki mleka. - Wczoraj w Łazienkach my w krzakach stali, jak co wieczór. Jak się cicho jest, strażniki się nie interesują. I podeszło takie brunecisko, pana wzrostu, w płaszczu lepszym, szaro-żółtawym chodził. - Opis pasował Stachowi do denata. - Za nim, na alejce, stało takie wielkie bydlę, rude chyba, ale ciemno już było, więc za dobrze nie widział.

- Czego chciał ten ciemny?

- A żeby za godzinkę szumu narobić na rogu Unii. Niebieskiego z budki wyciągnąć. Tylko punktualnie być.

- A coś więcej pamiętasz o tym, co z nim gadałeś?

- Wszystko już powiedziałem. Typ, ciemny charakterniak, tylko dobrze ubrany. Ten drugi, to żem facjaty nie widział, ale nie wyglądał na takiego od myślenia. Dostalim po banknocie i poszli się wywiązać.

- Dobra. - Stach zbierał się do wyjścia, ale zerknął jeszcze na butelki z praską wódką. - Tylko tę kontrabandę stąd zabierać. Bo jak cię przypadkiem nakryją i się rozgadasz, to jeszcze beknę, że nie doniosłem. A przemyt z prawego brzegu to gratka dla chłopaków z zewnętrznego.

- Ależ skąd, panie komisarzu, ja nie gadatliwy. Mruk jestem.

- Słyszę właśnie. - Komisarz zmierzył go wzrokiem.

- Ja tylko z takim miłym panem jak wy rozmawiać lubię - uśmiechnął się, ale widząc, że ten wyraz twarzy nie robi na Stachu wrażenia, dodał szybko: - Zaraz brudy zabiorę, tylko chłopców do pomocy zwołam.

Policjant wiedział, że będzie musiał donieść o paserskiej działalności swojego gospodarza. Zdecydował się wstrzymać do czasu zakończenia śledztwa.

Mężczyzna mógł się jeszcze przydać, szczególnie przy rozpoznaniu drugiego z podejrzanych typków.

Na zewnątrz siąpił deszcz. Głowa coraz bardziej bolała, więc wyjął z kieszeni kolejną tabletkę i połknął ją bez popijania. Stała przez chwilę w gardle, po czym z oporem ruszyła.

Zastanawiał się, w którą stronę iść. Do spotkania miał ponad godzinę. Wybrał Pola Mokotowskie, na których tuż po wojnie stworzono zespół Eksperymentalnych Farm Miejskich. Wiejskie pejzaże roztaczały się aż po Szczęśliwice i Raków wyludnione pod koniec wojny przez niemiecki wirus bojowy. Teraz pasła się tu rogaczka, a w pawilonach przy Niepodległości można było kupić świeże mleko i nabiał, oczywiście odtłuszczony. To była spożywcza alternatywa dla odległych od miasta wielkich farm. Zamyślony ruszył Rakowiecką.

- Trzysta trzystaście, trzysta siedemnaście, trzysta trzydzieści jeden, trzysta trzydzieści siedem, trzysta

czterdzieści siedem - wymieniał pod nosem. Próbował rozruszać umysł prostym ćwiczeniem, obliczaniem liczb pierwszych. Choć pierwszy tysiąc potrafił bez trudu wyłowić z pamięci, czasem sprawdzał, czy aby na pewno nie mają nadprogramowych dzielników.

Do mleczaka dotarł w miarę suchy, w duchu dziękując matce, która przed wyjściem wcisnęła mu do skórzanej torby stary parasol. Zamówił mleko z miodem, wypił, patrząc na ludzi uciekających przed deszczem na stację kolejki. W barze siedziało zaledwie kilka osób, prawie wszyscy czytali gazety. Sami mężczyźni i tylko jedna kobieta, która weszła tuż po nim. Zgrabna, niewysoka blondynka około trzydziestki, w zielonym płaszczyku, modnie łączącym zachodnie trendy z odrobiną militarnym charakterem. Miał pojęcie, co się teraz nosi, bo jego obowiązkiem było posiadanie nawet tej wiedzy. Co czwartek, podczas prasówki w bibliotece na Koszykowej, przeglądał magazyny o modzie, kulturze i sporcie. W piątki zapoznawał się z najnowszymi informacjami dotyczącymi nauki i ekonomii. W pozostałe dni tygodnia dobierał tematykę zależnie od nastroju. Dochodziło do tego jeszcze poranne czytanie prasy codziennej. W ramach pracy miał obowiązek spędzać przynajmniej godzinę dziennie na lekturze, chyba że sprawa pochłaniała przeznaczony na to czas. Oczywiście wydział dostarczał mu część materiałów na biurko, ale on wolał posiedzieć w klasycznym wnętrzu ulubionej biblioteki i w przerwach pogapić się na zwykłych ludzi. Przyswajał olbrzymie ilości informacji dzięki częstym

szkoleniom z szybkiego czytania, zapamiętywał, stosując się do farmakologicznych zaleceń swojego wydziału.

Gdyby nie spowodowane przeziębieniem zmęczenie, pewnie już na Rakowieckiej zauważyłby, że kobieta w zielonym płaszczu go śledziła. Dopijał mleko z wysokiej szklanki, czując na sobie jej wzrok. Przez chwilę starał się jej nie przyglądać, tylko lustrować przechodniów za szybą. Po trzech minutach obliczania stosunku kobiet do mężczyzn, ludzi w szarych, zielonych i jasnożółtych płaszczach do tych w modnych kurtkach z demobilu wstał i ruszył do wyjścia. Minął kobietę w zielonym. Był już za drzwiami, kiedy ona niespiesznie zakładała płaszcz. Gdy skręcił do wejścia na stację kolejki, zobaczył, że i ona zmierza w tym kierunku.

Peron znajdował się na wysokości drugiego piętra standardowej kamienicy. Tory ustawione zostały na stalowych podporach i bieły nad ulicą, Alejami Niepodległości aż do Dworca Gdańskiego. To był prezent od Amerykanów, oddany do użytku w 1955 roku. Eisenhower chciał nam coś podarować, zaproponował metro, ale po wstępnych ekspertyzach okazało się, że kopanie zajmie lata i pochłonie zbyt wiele funduszy, więc prezydent wyszedł z propozycją stworzenia kolejki na powierzchni, nad ulicami Warszawy. Trasy trzech linii obliczono tak, żeby podczas budowy zniszczyć jak najmniej budynków. Bieły przez tereny osiedli zburzonych w czasie wojny podczas działania niemieckiej Wunderwaffe. Kolejka miała ożywić okolice i tak też się stało. Między przystankami rosły całe kwartały

nowoczesnych osiedli. Trasa A łączyła Szopy Niemieckie z Dworcem Gdańskim. Trasa B biegła z Marymontu, przez Gdański, wzdłuż wybrzeża na Czerniaków, mówiło się, że to praska trasa widokowa, bo było z niej widać drugą stronę Wisły. Trasa C startowała przy moście Kierbedzia, szła tunelem Waszyngtona pod Placem Zamkowym, a potem nad Leszmem i Górczewską, aż do Ulrychowa, nowej dzielnicy fabrycznej. Stach przeklinał zaoranie tamtejszych sadów i pól pełnych kwiatów. Od małego biegał po okolicy. Teraz rozbudowano tamtejszy węzeł kolejowy i otwarto zakłady produkujące farmaceutyczne półprodukty. Kawałek dalej rosło już nowe osiedle mieszkaniowe dla pracowników fabryk.

Warszawiacy żartowali, że kolejka to przeprosiny od prezydenta, po tym jak upubliczniono wypowiedź Eisenhowera, twierdzącego ponoć, że „Warszawa to tylko geograficzna definicja, tylko teatr, który można bez obaw pozostawić Rosjanom”. Potem wykpił się z tego w słynnym przemówieniu, nazwanym od pierwszych słów *Ta rzeka to mur*. Tak stolica dostała nowoczesny system komunikacji, oficjalnie w zamian za wojenne poświęcenie.

Nadjechała kolejka. Stach wsiadł do pierwszego wagonu, kobieta w zielonym do drugiego. W środku czuć było wilgoć przemoczonych płaszczy. Usiadł na wolnym miejscu i zaczął przyglądać się reklamom umieszczonym między oknem a sufitem. Ta linia łączyła kilka jednostek akademickich i większość komunikatów skierowana była do studentów. Uśmiechnięta para w mundurkach SGH

odwracała uwagę od drobnego tekstu okraszonego czerwonymi literami tytułu: „Buduj z nami stabilną III RP”. Pod hasłem zachęcano: „Rozwijaj swój umysł, najwspanialszą maszynę wspierającą nasz handel; Podnoś kwalifikacje, awansując do wyższych grup zawodowych; Zdobywaj certyfikaty otwierające dostęp do elitarnych środków wzmacniania Twojego intelektu; Dołącz do elity”.

Następny przystanek GUS. Przez okienko między wagonami spojrzał, czy widać kobietę w zielonym. Na nieszczęście i ona akurat zerkała w jego stronę. Natychmiast odwrócił wzrok i wyjął w torby książkę. Krzykliwie litery informowały, że powieść *Tłusty pasikonik* napisał Hawthorne Abendsen. Czytanie powieści fantastycznych odprężyło go bardziej niż kieliszek koniaku. W chwilach wolnych od służby lubił sięgnąć po czytadło w miękkiej okładce. Szczególnie pociągał go modny ostatnio nurt sztucznej informacji, tekst jego przedstawiciela trzymał teraz w rękach. Mimo że tytuł sugerował pokaźne tomiszczce, książka była cieniutka. Należała do gatunku, który narodził się w głowach amerykańskich literatów zmęczonych dominującym trendem w technologii i szukających alternatywnych rozwiązań dla farmakologicznej dehumanizacji. Abendsen i jego koledzy prześcigali się w rysowaniu utopijnych wizji przyszłości, w których to nie człowiek, a maszyna stoi za postępem technologicznym. Ludzi wyręczają w myśleniu pozytronowe mózgi. Harmonijnie rozwijającej się ziemskiej

społeczności zagrażają tu nie kosmici, a zbuntowane maszyny, które osiągnęły samoświadomość i walczą o swoje prawa. Tytuł *Tłusty pasikonik* dotyczył właśnie technologicznego potwora, który, po zebraniu wszystkich możliwych danych i osiągnięciu informacyjnego przesytu, zaczął się sam programować. Literacki kicz mieszał się tu z geniuszem wyobraźni. Mrzonki, ale Sowieci, gdzieś pod Uralem, bawili się ponoć w eksperymenty z technologiczną suplementacją mózgu. Czytał o czymś takim w jednej powieści szpiegowskiej, ponoć inspirowanej autentycznymi przeżyciami brytyjskiego weterana z MI6. Nawet mieli zrobić z tego film.

Przerywał lekturę, od czasu do czasu kątem oka obserwując kobietę w płaszczyku. Zbliżali się do przystanku przy rogu Leszna i Żelaznej, tutaj wysiadał. Do pałacu Teppera-Dückertha zamierzał dostać się na piechotę. Już przy drzwiach wyjściowych zerknął do drugiego wagonu. Ona też opuszczała kolejkę. Pewnym krokiem ruszył w jej kierunku, ale kobieta wyszła na peron i nawet nie patrząc w jego stronę, podbiegła do najbliższych schodów prowadzących na ulicę. Postanowił jej nie ścigać, tylko baczenie rozglądać się na ulicy. Niestety przez całą drogę do urzędu nigdzie nie zauważył już niskiej blondynki w modnym płaszczyku.

\*\*\*

Pałacem Teppera-Dückertha w latach dwudziestych interesowało się Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej,

ale poprzednik dzisiejszego szefa wydziału, notabene jego stryj, pociągnął za sznurki i budynek dostał się w ręce Policji Państwowej. Dziś mieściła się tu Centrala Służby Śledczej i Służba Informacyjna, pod którą Stach podlegał. Informacja była pionem zrzeszającym funkcjonariuszy przezywanych „suplementami”, „ludzkimi maszynami obliczeniowymi” lub „chodzącymi archiwami”. Mimo że z portierem byli po imieniu, musiał się wylegitymować i złożyć podpis w księdze wejść. Natychmiast popędził na piętro i znalazł się w poczekalni biura Wróblewskiego. Usiadł obok Domagały, który wyjrzał zza kolorowego magazynu i prawie niezauważalnym ruchem głowy dał znak, że zauważył przybycie podwładnego. Podobnie jak reszta budynku, i to pomieszczenie wykończone było w surowym stylu. Białe ściany, marmurowe kafle na podłodze, trzy niskie, obite zieloną tkaniną fotele i stolik, a na nim wymięte czasopisma. Przestrzeń ożywiała tylko stojąca w rogu palma. Drzwi strzegła zasuszona sekretarka. Zza otwartego okna dało się słyszeć kościelny dzwon wybijający okrągłą godzinę, chwilę potem zadzwonił telefon na biurku kobiety. Zdążyła odebrać po pierwszym sygnale. Rzuciła oschłe „tak” w odpowiedzi na to, co miał do powiedzenia rozmówca. Odłożyła słuchawkę.

- Możecie panowie wejść - zwróciła się do siedzących w poczekalni mężczyzn. Kiedy wstali i ruszyli do drzwi, zapytała jeszcze: - Kawa czy herbata?

Stach już stawał tego dnia przed takim dylematem i grzecznie podziękował. Domagała nigdy nie rezygnował



z darmowego poczęstunku i poprosił o espresso z mlekiem.

Przejście z poczekalni do gabinetu Wróblewskiego było magiczne. Opuszczało się świat suchej biurokracji i wkraczało do kolorowej krainy stworzonej przez ekspertów z biura projektowania wnętrz. Nowoczesna szafa na akta była wmontowana w ścianę tak, że po zasunięciu drzwi stawała się jej częścią. Kanciaste biurko było ołtarzem ku czci czystej geometrii. Dwa fotele dla interesantów odlane z czerwonej masy plastycznej, stojące na malutkich nóżkach. Szef lubił o nich opowiadać, zdobyły nagrodę na jakimś francuskim biennale sztuki użytkowej. Wyprodukowano je na polskiej licencji w fabryce należącej do samego Le Corbusiera, o którym w Warszawie zaczęło być głośno, gdy ogłoszono budowę osiedla za Ulrychowem. Dwa miesiące temu Wróblewski chodził przybity, bo kochany przez niego reformator architektury modernistycznej odszedł na tamten świat. Szef nawet odwołał swojego wieloletniego kierowcę, kiedy ten zażartował, że skoro stary Korbus jest w niebie, to teraz chmury będą kwadratowe. Wróblewski ubóstwiał wszystko co nowe. Zapewne cierpiał w duchu, że zamiast zarządzania ludźmi nie dano mu działki przestrzeni, widać rodzinne koneksje nie sięgały wydziału architektury. Do klasycznych elementów gabinetu należały wiszące za fotelem decydenta godło i Ślepowron - herb Wróblewskich, z wielkim krukiem trzymającym w dziobie pierścień. Ten sam herb widniał na sygnecie zdobiącym spuchnięty palec szefa, korpulentnego mężczyzny po pięćdziesiątce. Na

widok gości pod cienkim wąsikiem pojawił się uśmiech. Odziana w przepisowy garnitur postać podniosła się z fotela. Jedynym nowoczesnym elementem jego stroju był pstrokaty krawat w romby, skutecznie odwracający uwagę od mikrego wzrostu nosiciela.

- Siadajcie, panowie. - Wskazał dumę swojej nowoczesnej kolekcji i patrząc na zegarek, dodał: - Mało czasu, a roboty w bród.

Domagała od razu wpasował swój wielki tyłek w siedzisko. Stach poczekał aż usiądzie ich przełożony i zajął miejsce w drugim fotelu. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że może i ładne to nowoczesne wzornictwo, ale niewygodne jak cholera.

- Nie ukrywam, że poranną sprawę z Unii monitoruję - zaczął Wróblewski. - Mimo że wasze raporty powinienem dostać dopiero wieczorem, kazałem wypytać mundurowych obecnych na miejscu i przyspieszyć sekcję zwłok...

- Jeśli to pilne, to Kubiak zaraz zabierze się do pisania - wtrącił Domagała, nawet nie patrząc na Stacha. - Powinien się pospieszyć, bo okolica faktycznie wpływowa.

- Nie trzeba - przerwał mu naczelnik. - Znaczy trzeba, tylko raportem zajmiesz się wyjątkowo ty. Sprawa jest rozwojowa. Są nowe elementy, o których nie zdążyłem was powiadomić.

Zdziwiony inspektor pochylił się do przodu i poru szył najbardziej dla niego niewygodny aspekt rozmowy.

- Jak to, ja sam, raport?

- Czytacie raporty sporządzane przez Kubiaka?

- No... tak - odparł Domagała.

- Pisaliście kiedyś własne, to teraz przejmiecie poranne sprawozdanie. - Wróblewski znowu spojrzął na zegarek. - A teraz nie przerywajcie, bo sprawa jest pilna.

Rozległo się pukanie. Mężczyźni spojrzeli w kierunku drzwi.

- Wejść - zezwolił gospodarz.

Sekretarka wniosła kawę i postawiła na maleńkim stoliczku otoczonym przez fotele. Domagała podziękował. Kobieta bez odpowiedzi wycofała się za drzwi.

- Pijcie kawę i nie przeszkadzajcie - zarządził Wróblewski. - Kubiak będzie mi potrzebny w terenie. A wy, Domagała, skupicie się na zabójstwie, kogoś wam przydzielę na te kilka dni.

Naczelnik wstał zza stołu, dając zrywającemu się Stachowi znak, żeby siedział dalej. Zaczął spacerować przy oknie. Stach przypomniał sobie, że szef dostawał szwendacza, kiedy miał dużo do powiedzenia.

- Nasz detektor twarzy, pracujący po praskiej stronie, zanotował dzisiaj znajomą facjatę na Targowej, czy jak ją tam teraz nazywają. Profesor Gerke przemierzał ulicę, jakby szedł w odwiedziny do starych znajomych. Kiedy zjawili się nasi z aparatem, już go nie było, więc zdjęć nie mamy. Jak przekroczył granicę? Nie wiemy. Ale jest po drugiej stronie Wisły...

- Gerke? - Domagała po raz kolejny odważył się przerwać przełożonemu.

- Kurwa, czy wy się w ogóle interesujecie swoim śledztwem? Kubiak, powiedzcie mu, kto to jest Gerke.

- Lokator, z którego okna mógł wypaść denat - odparł Stach, jak na apelu, powstrzymując wybuch śmiechu na widok twarzy spłoszonego inspektora.

- Dlatego wy, Domagała, zaraz ruszacie na Plac Unii, mieszkanie otworzyła ekipa techniczna, wspomagają ich mundurowi. Moja sekretarka da wam nakaz, na wszelki wypadek.

Słowa Wróblewskiego przerwał przeciągły dźwięk alarmu chemicznego. Domagała wyskoczył z fotela, oblewając kawą swoją kremową marynarkę. Trzęsącymi się dłońmi próbował odstawić filiżankę na niewielki blat stoliczka kawowego. Kiedy mu się to udało, spojrzał na szefa pytająco. Stach w tym czasie rzucił się do drzwi torować drogę swoim przełożonym. Naczelny stał, przypatrując się komicznej krzątaninie.

- No, co się gapicie, Domagała. Alarm jest. Pyskać mi do schronu, bo jeszcze jakiegoś syfa złapiecie i stracimy cennego pracownika.

- Tak jest! - ryknął w odpowiedzi adresat wiadomości, starając się przekrzyczeć wyjący alarm. Podbiegł do przytrzymywanych przez Stacha drzwi. Za nim ruszył spokojnie Wróblewski. Zamiast opuścić swój gabinet, wyjrzał za Domagałą do poczekalni.

- Poszedł - stwierdził i przejąwszy od Stacha klamkę, zamknął ich w pomieszczeniu. Przekręcił klucz. Podeszedł do biurka i sięgnął do szuflady po papierośnicę, wyciągnął ją

w kierunku zdziwionego Stacha, który wciąż stał przy drzwiach.

- Zapal, Staszek. Spokojnie. To ćwiczenia.

Komisarz poczęstował się papierosem i wziął od szefa ogień.

- Nareszcie i ja mogę spokojnie zakopcić, bo ta papla Domagała zaraz by doniósł swojej starej, a ona się z Halinką przyjaźni.

Stach o tym wiedział, ale nigdy nie rozmawiał z szefem na aż tak przyjacielskiej stopie. Zaciągnął się papierosem, luksusem, na który pozwalał sobie tylko od święta. Po czym zapytał:

- Rozumiem, że ma pan dla mnie coś specjalnego?

- I pewnie się domyślasz, co? - dodał tajemniczo naczelnik. - Pojedziesz powęszyć za Gerkem.

- Tak po prostu? Za... granicę?

- Przykrywkę masz, jak każdy średniego szczebla. My za wysoko na świeczniku stoimy, żeby nie mieli na nas teczki, ale twojej jeszcze mogli nie założyć. Za krótko siedzisz w wydziale. Zresztą inwigilujemy ich inwigilację - zaśmiał się, wypuszczając dym. - Nic na ciebie nie mają. Jesteś zwykłym Stanisławem Kubiakiem, inżynierem informacji w fabryce na Ulrychowie, który dzisiaj wieczorem pojedzie na wymianę. Po pierwsze, masz do kogo. Po drugie, rozmawiałeś już kiedyś z Gerkem przy okazji sprawy tego prokuratora. Bez trudu wyłowisz go z tłumu, gdybyśmy oczywiście mieli aż takie szczęście.

- Na szczęście bym nie liczył.

- I dobrze. Wiem, że nie na rękę ci to wieczorne spotkanie, ale on już wie, że go odwiedzisz. Może ci pomoże odszukać profesora? Ale pamiętaj, dyskretnie. - Wróblewski się zamyślił.

- A jak to nic nie da? Niewiele wiem o tamtej stronie. Od dzieciństwa nie byłem na Pradze.

- Spokojnie, będzie wsparcie. Dostaniesz kontakt. Jutro rano jesz śniadanie w barze przy ZOO. Jest tylko jeden, więc trafisz.

- Jakies hasło? Odzew? - zapytał Stach, strzepując papierosa do popielniczki, którą szef chwilę wcześniej wyciągnął z parapetu po drugiej stronie okna.

- Nie wygłupiaj się, to nie powieść szpiegowska. Twój łącznik już wszystko wie.

- A ja powinienem jeszcze coś wiedzieć?

- Ryzyko jest duże. Dlatego nagroda też będzie. - Naczelnik przyjacielsko poklepał Stacha po ramieniu. - Uwolnimy cię od Domagały, już samo to powinno wystarczyć. Poza tym awans o jeden szczebelek. Będziesz prawie samodzielny. Jest też małe „ale”... - Wróblewski przerwał. Przysunął się bliżej rozmówcy i kontynuował nieco ciszej. - Namówisz Gerkego do powrotu. Tutaj została jego rodzina. Żona to córka generała Jastrzębskiego, który współpracuje z nami i na razie nie poinformował jej o ucieczce męża. Pilnuje córę i wnuków u siebie, w Milanówku, i niech tam zostaną.

- Rozumiem, że powrót będzie zorganizowany? A jeśli on się nie zgodzi? Bo raczej odmówi. Nie po to uciekał bez

żony i dziecka, żeby grzecznie wracać na moją prośbę.

Uciążliwy dźwięk alarmu nagle zamilkł.

- Umiejętnie omijasz podstawowe pytanie: „Dlaczego?”.  
- Zadowolony naczelnik zgasił papierosa. - Wiesz, że nie mogę ci na nie odpowiedzieć. Wyczerpująco odpowiedzieć. Musi ci wystarczyć, że Gerke miał hobby. Kompletował informacje na temat kogoś bardzo ważnego, kogo my musimy chronić, jakie by tam się smrody nie kryły. Typowa sprawa bezpieczeństwa państwowego. Jeśli profesor nie będzie chciał wracać, wyciągasz z niego, gdzie schował teczkę i niestety się brudzisz. Jeśli to załatwisz, gratyfikacja będzie znaczna. Na pewno zapomnisz o swoim upierdliwym teściu. Już go urabiamy.

Zatarł cwaniacko ręce.

- Postaraj się, bądź delikatny, porozmawiaj jak z przyjacielem. No i jeszcze ważne dla twojego bezpieczeństwa... - Wróblewski spojrzał podwładnemu głęboko w oczy.

- Nie interesuj się tym, co jest w teczce - dokończył Stach.

- Dokładnie. Rozumiemy się. Dzięki Bogu, że padło na ciebie, a nie jakiegoś średniaka ograniczonego do pamiętania tylko tego prasowego gówna. Sporo u nas ludzi bez polotu, dlatego takich jak ty trzeba pchać wyżej.

Po raz kolejny Stach miał ochotę poprawić rozmówcę, rozrysowując siatkę służbowych zależności i biurokratyczne problemy związane z uzasadnieniem szybkiego awansu. Ale trzymał język za zębami. Natrętna potrzeba prostowania

czyichś wypowiedzi zwykle psuła jego relacje z przełożonymi. Nim zdążyło mu się wymknąć choć słowo na ten temat, Wróblewski kontynuował:

- Dobra. To na tyle ze mną. Szczegóły i sprzęt u kwatermistrza. Do osiemnastej się wyrobisz. Zmykaj - rzucił, podając Stachowi dłoń na pożegnanie. - Powodzenia.

Wyszedł przed budynek. Wiedział, że takim prośbom się nie odmawia. Ale wszystko tu śmierdziało. Zastanawiał się, na którego z wysoko postawionych profesor ma haka. Skoro sprawa jest tak pilna, pewnie to jakiś Wróblewski. Szansa na potknięcie i zostanie w komunistycznym raju była duża. Musiał się zabezpieczyć i miał na to niewiele czasu. Już po chwili siedział w tramwaju jadącym na Mokotów.

\*\*\*

Przy wjeździe na most minęli tablicę „Uwaga! Opuszczają Państwo Warszawę Zachodnią”. Autobus zatrzymał się przed szlabanem przylepionym do jednopiętrowego pawilonu oznaczonego wielkim orłem w koronie. Otworzyły się drzwi przy kierowcy i do pojazdu wsiadł mundurowy trzymający przed sobą listę pasażerów. Rozpoczęło się sprawdzanie paszportów. Mężczyzna powoli porównywał twarze ze zdjęciami w dokumentach. Wszystkie miejsca były zajęte. Całe rodziny jechały odwiedzić swoich bliskich mieszkających na Pradze, ale typową przy takich okazjach radość z rychłego ujżenia rodziców, kuzynów i dziadków zastępowała grobowa cisza. Prawie wszyscy patrzyli na drut kolczasty opinający konstrukcję mostu Kierbedzia.



Druga strona nazywała go, razem z biegnącą do Dworca Wileńskiego aleją, Trasą Zwycięstwa. Komuniści dawali znać, że tędy powędrują ich oddziały w czasie zbliżającej się już od dwudziestu lat wielkiej wojny o pokój.

Dokumenty sprawdzono. Szlaban został podniesiony. Autobus powoli ruszył przeprawą, oświetloną przez liczne latarnie. Stach podrapał się w miejsce na prawej ręce, w które zaaplikowano mu nowy lek wzmacniający. Jeszcze nie wszedł do sprzedaży, ale służby już nim dysponowały. Dostał zastrzyk, bo obawiano się, że męczące go przeziębienie może wpłynąć na szybkość reakcji podczas wykonywanej misji.

Żółta poświata latarni wyznaczała drogę do masywnego przejścia granicznego. W porównaniu ze stróżówką za nimi budynek po drugiej stronie Wisły budził grozę i przytłaczał swoją trzypiętrową sylwetką.

- Mają rozmach - powiedziała starsza kobieta siedząca obok Stacha.

- Tak i zaraz nas połkną - odparł, przyglądając się wielkiej bramie obłożonej szarym marmurem, w której kryły się nie tylko pomieszczenia celników, ale i mały oddział zaopatrzonego w kilka karabinów maszynowych. Im bliżej budynku się znajdowali, tym lepiej było widać lufy wystające z czterech wąskich okienek na piętrze. Po zachodniej stronie utrzymywano podobną gotowość bojową, ale żołnierze siedzieli ukryci w dwóch wieżach pasujących do architektury Mariensztatu. Warszawiacy nazywali je

rogatkami. To pod nimi trasa kolejki nadziemnej schodziła do poziomu gruntu.

Stach żegnał się ze swoją Warszawą, wkraczał na tereny jej bliźniaczej siostry przedstawianej przez media jako posepna metropolia monumentów i stali górujących nad sypiącą się zabudową starych kamienic. Za gęsto plecionym drutem próbował dojrzeć powierzchnię rzeki.

---

[1](#) J. W. Goethe, *Dzieła wybrane*, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1956, t. 2, s. 33.

## 2.

Major Jaworski lubił sobie pochrapać. Niemal za każdym razem po odbytych stosunkach zasypiał na boku, ignorując partnerkę. Teraz, po dodanym do bułgarskiego wina środka nasennym, nie miał prawa się obudzić. Jego masywne ciało, przykryte wilgotnym prześcieradłem, leżało po prawej stronie łóżka.

- Boże, jak tu gorąco - powiedziała na głos, pewna, że tego wieczoru nic już go nie obudzi.

W hotelu oficerskim grzali już od początku listopada. Kotłownia pracowała pełną parą, żeby tylko kadra miała w pokojach ciepło jak u mamy. Nie lubiła tak wysokich temperatur. Nie dość, że jej kochanek pocił się jak świnia, to jeszcze lubił szybki i forsujący seks, który i od niej wymagał nie lada wysiłku. Przez dwadzieścia minut musiała go dosiadać przytrzymując się olbrzymiego brzucha i wykonując rytmiczne ruchy. Zgrzała się niemiłosiernie i teraz stała naga w oknie, chłodząc lśniąca skórę rześkim powietrzem. Jeszcze nie było tak zimno, ale gęsia skórka na brzuchu zawsze stanowiła dla niej przyjemne uczucie. Rozmasowała prawą pierś, którą dochodzący grubas ścisnął zbyt mocno. Spojrzała na swoje ciało i pomyślała, że szkoda go dla takich wieprzy jak on. Ale jeszcze rok aktywności i ułoży sobie życie u ciotki. Nigdy nie pamiętała, gdzie dokładnie mieszka krewna, jak nazywa się ten zakątek Oceanu Indyjskiego. Wiedziała, że to wyspa administracyjnie należąca do Wielkiej Brytanii, więc

pozwolenie na wyjazd mogła zdobyć tylko po drugiej stronie Wisły. Tam, niemal po drugiej stronie świata, będzie spokojnie, bezpiecznie, atrakcyjni krajanie, słońce, woda i tylko trochę za gorąco. Kilka lat wytrzyma pod palmami, a potem ruszy dalej. Teraz, żeby dogonić marzenia, musiała gnić w mieście podzielonym między dwie potęgi. Wietrzyć się przy oknie wychodzącym na Aleję Zwycięstwa i czekać aż wlokący się autobus pokona most Kierbedzia, który z tego punktu widzenia nazywał się mostem Zwycięzców. Kiedy pojazd stanął, żeby celnicy mogli sprawdzić dokumenty i przetrząsnąć bagaże, ruszyła do krzesła, na którym w nieładzie leżały jej ubrania. W samą porę, bo nagie ciało zaczęło już domagać się okrycia. Kiedy walczyła z zacinającym się suwakiem od spódnicy, usłyszała, że za oknem włączono muzykę. Z głośników zamocowanych wzdłuż alei leciała pieśń chwająca wspólną pracę i harmonijny rozwój ukochanej ojczyzny. Obowiązkowy podkład dźwiękowy każdej międzynarodowej wymiany. Zwrotki o ukochanej ziemi, triumfalnym lotniku, sprawnym robotniku, murarzach, cieślach i żołnierzach echem odbijały się od budynków po parku. Instalacja nadawcza nie poradziła sobie z ref renem, chór wszedł na wyższy poziom i jeden z głośników zaczął emitować drażniący pisk. Kilka dni temu, o tej samej porze, spacerowała po nadwiślańskim molo po zachodniej stronie i słyszała PRL-owskie przeboje tak wyraźnie, jakby siedziała w pierwszym rzędzie amfiteatru. Wisła dobrze niosła, szczególnie propagandę – przypomniała sobie ulotki spuszczone przez III RP do rzeki

w miejscach, gdzie prąd znosił je na prawy brzeg. Przekląła, próbując trafić głową w kołnierz ciasnego golfu. Wiedziała, że za chwilę otworzy się boczna brama i odwiedzający razem z praskimi rodakami ruszą w kierunku najbliższych przystanków autobusowych. Pięć minut i wszyscy dotrą pod cerkiew, do jednego z nielicznych miejsc na Pradze, w których ustawiono modernistyczne bryły przystankowych wiat. Wyglądały jak wejścia do schronów, a nieliczni konfabulowali, że są nimi naprawdę.

Była gotowa do wyjścia. Z płaszczem przewieszonym przez ramię stała przy oknie i patrzyła na pierwszych ludzi opuszczających strefę graniczną. Major zachrapał głośniej, po czym ucichł i przewrócił się na drugi bok. Była spokojna. Nawet gdyby się obudził, to przecież powiedziała mu, że lubi spotkania w hotelu, bo podoba jej się widok na rzekę. Nie rozumiał tego, ale szanował. Miał w sobie trochę z dżentelmena, w odróżnieniu od kolegów ze sztabu. Znowu rozległo się chrapanie. Pojedyncze grupki na ulicy już zmierzały w głąb miasta, część ludzi nadal stała przed bramą i ścisnęła się z bliskimi. Nagle pojawiła się para mężczyzn. Wysoki trzydziestokilkulatek w brązowej, skórzanej kurtce i dużo starszy od niego brodacz w szarym płaszczu, modnym wśród panów po tej stronie miasta. W odróżnieniu od reszty otaczających ich ludzi nie płakali. Starszy wyglądał na o wiele bardziej podnieconego spotkaniem niż jego gość. Coś do niego powiedział, na co tamten odparł połączeniem wzruszenia ramion i zdawkowo rzuconego słowa. Ruszyli w milczeniu. Brodacz od czasu do

czasu przyglądał się młodszemu towarzyszowi. Musiała już iść, chciała odprowadzić ich aż do przydzielonej gościowi kwatery. Odwróciła się od okna i skierowała do drzwi wyjściowych, w przelocie zostawiając ślad umalowanych czerwona szminką ust na wiszącym w wąskim przedpokoju lustrze. Wiedziała, że majorowi to wystarczy za wiązanek: „Dziękuję, musiałam iść, do zobaczenia”. Sam mógł sobie dodać, zależnie od potrzeby, „ogierze” albo „kocham”.

\*\*\*

Rozmowa się nie kleiła. Stach praktycznie nie znał tego człowieka. Nie chciał poruszać tematów, które pewnie zainteresowałyby rozmówcę, bo nie wiedział, od czego zacząć. Miał tylko pewność co do tego, że może mu ufać. Przez pierwsze kilka minut, które upłynęły od mało wylewnego powitania, brodacze wyjaśnił mu jedynie, że zmierzają teraz do hotelu dla zagranicznych turystów, mają kilka godzin na rozmowy, a jutro rano, po śniadaniu, muszą jechać na obowiązkową wycieczkę do fabryki Wedla, chluby PRL-owskiego przemysłu cukierniczego przemianowanego po wojnie na Zakłady „Manifestu Lipcowego”. Kiedy dotarli do przy stanku, mężczyzna zaproponował Stachowi, żeby poszli do hotelu na piechotę. Widocznie liczył, że rozmowa się rozkręci. Po chwili wahania gość zgodził się na spacer. Ruszyli w lewo, wzdłuż parku praskiego. Już po chwili Stach zauważył, że w odległości kilkunastu metrów podąża za nimi dwóch smętnych panów.

- Obowiązkowa obstawa. - Brodacz uśmiechając się, skomentował ich obecność. - Nie będą się naprzykrzać, jeśli nie zaczniesz nagle agitować przechodniów kapitalistyczną propagandą.

Znowu zapadła cisza, podczas której prażanin wyraźnie szykował się do zadania jakiegoś pytania. Zerkał na młodszego towarzysza. Długo szukał po kieszeniach papierosów, a kiedy je znalazł, poczęstował Stacha. Po podpaleniu swojego patrzył przez chwilę na żarzący się czubek „rarytasa” i odezwał się drżą cym głosem:

- Nie możemy tak milczeć. Jest tyle do powiedzenia...

- Pytaj - rzucił Stach znudzonym głosem.

- Wiem, że masz córkę. Jak się nazywa? Ile ma lat? - brodacz spojrzał na rozmówcę z obawą w oczach.

- To cię interesuje? Nie zapytasz o matkę? Jak sobie radzi? Czy w ogóle żyje?

W Stachu zaczęła narastać złość. Brodacz wbił wzrok w ziemię.

- No dobra. Niech będzie córka. Jadzia jej daliśmy. Chwilę się cieszyłem szczęściem ojcostwa, trochę krócej niż ty. Zabrała dziecko i poszła do rodziców. Córki nie widuję. Nie chcą mnie dopuścić, zresztą już nie próbuję. A wiesz, dlaczego ją zabrała? - Stach coraz bardziej się nakręcał. Nie czekał na słowo rozmówcy i sam udzielił odpowiedzi. - Bo ja niepewny jestem. Matka dziecka z dobrej rodziny, ustawionej, a ja mam pochodzenie kłopotliwe. Ojciec mnie zostawił, uciekł, komunista...

- Socjalista - brodacz mruknął pod nosem.

- Co?

- Socjalista. Jestem socjalistą, synu. - Popatrzył na Stacha i już śmiało dodał: - Nie było wyboru. Wtedy była tylko jedna droga...

- Tak, wiem. A matka nie chciała tu jechać. Dlatego wybrałaś. Najlepszą drogę dla siebie...

- To nie jest takie proste. Nie było...

- Kurwa! A myślisz, że mi jest łatwo. Że ja nie chcę żyć z moim dzieckiem? Że wybrałem swoją drogę? Wiesz, ile bym dał, żeby z nią być? Niestety ty dwadzieścia lat temu wybrałaś za mnie.

- To nie był wybór.

- Gówno prawda. Wolałaś budować swój socjalizm niż męczyć się pod kapitalistycznym butem. A dzisiaj widzisz, ile to jest warte? Tyle samo, co po tamtej stronie Wisły. Wszędzie zapierdalają naszprycowani robole.

- Ciszej! - Ojciec złapał Stacha za ramię.

- Pierdol się! - krzyknął mężczyzna i wyrwał rękę z uścisku. - Siebie i swoją socjalistyczną ojczyznę!

Brodacz jeszcze raz złapał syna za ramię i wskazał na mężczyzn za nimi. Wyraźnie przyspieszyli. Jeden grzebał w kieszeni płaszcza. Stach odwrócił się do nich i krzyknął:

- Już spokojnie. Będę cicho. Przepraszam.

Tajniacy na szczęście dali sobie spokój. Widać często byli świadkami podobnych kłótni. W ręku tego, który szukał czegoś w kieszeni pojawił się notesik, w którym skrupulatnie coś zanotował. Stach zbeształ się w myślach



za tak głupie zachowanie. Mógł już na starcie spalić całą akcję.

\*\*\*

Usiadł z daleka od latarni, ale tak, żeby widzieć ludzi idących trasą Zwycięstwa. Mało kto zbaczał w nieoświetlone parkowe alejki. Posiadacze psów woleli trzymać się głównego traktu zielonych płuc Pragi. Tutaj miał spokój. Tylko wyteżając wzrok, ktoś mógł dostrzec postać kulącą się z zimna na ławce pod konarami drzew, nie było szans, żeby brodacz go rozpoznał. Za cienko się ubrał. Nie pomyślał, że śledzenie wiąże się przede wszystkim z beczynnym siedzeniem na zimnie. Zdrętwiałymi paluchami wygrzebał z kieszeni papierosa, ale w ostatniej chwili zdecydował się nie palić. Ognik żaru mógł zwrócić na niego uwagę.

Kiedy nadeszli, dokładnie przyjrzał się nieznanej twarzy. Trzydzieści kilka lat, wysoki jak on. Skręcili w aleję Stalingradzką. Minęła go jakaś odważna kobitka, niebojąca się łązić po zmroku przez parkowe knieje. Na chwilę odwróciła jego uwagę i obserwowany duet zniknął z pola widzenia. To mu wystarczyło. Zapamiętał rysy. Mógł już iść i zastanowić się, czy przy najbliższym spotkaniu pytać o gościa z Zachodu, czy też dalej prowadzić swoje małe śledztwo. Inwigilacja go podniecała. Fajna przygoda połączona z możliwością odkrycia skrywanej przeszłości brodacza.

\*\*\*

Stach z ojcem w milczeniu dotarli do hotelu przy Stalingradzkiej, mieszczącego się na tyłach ZOO. Znaleźli się w pokoju wyposażonym w lodówkę, łóżko i tanią podróbkę zestawu Wróblewskiego: dwa fotele plus stoliczek kawowy. Stach nawet nie zdjął kurtki, wyjął z torby butelkę śliwownicy i rozlał na dwa palce do szklanek, które znalazł w szafce nad lodówką.

- Przepraszam. - Podał ojcu szklankę. - Nie chciałem tak zaczynać... znajomości.

- Wiem, ale chciałeś to powiedzieć.

- Nie musiałem. Nie dałem ci szansy na obronę.

- Dziękuję. - Ojciec powąchał alkohol. - Dziękuję, że przyjechałeś.

- Wiesz, że spotkanie z tobą nie było moim życiowym priorytetem.

Brodacz przerwał synowi, stukając jego szklankę. Kiedy wlewali w siebie śliwownicę, starszy mężczyzna rozglądał się po pomieszczeniu. Obaj się wzdrygnęli, czując w gardłach palący alkohol.

- Mocna - rzucił ojciec, po czym chwycił butelkę i szklankę jedną dłonią, a ruchem głowy wskazał drzwi. Stach natychmiast zrozumiał, złapał swoją szklankę i ruszył za ojcem. Na korytarzu skręcili w prawo, dotarli do klatki schodowej i poszli nią do góry. Właz na dach nie był zaryglowany. Wyszli na otwartą przestrzeń. Pokonali obłany smołą odcinek i usiedli za kominem, na niskim murku, z którego roztaczał się piękny widok na wysokie drzewa

parku zoologicznego i odległe światła lewobrzeżnej Warszawy. Stach postawił kołnierz, bo wiało tu mocniej niż na ulicach. Ojciec przysunął się bliżej i rozlał alkohol do szklanek.

- Tam mogli podsłuchiwać - powiedział. - Nie widziałem nic podejrzanego, ale chyba ukryli sprzęt. Pewnikiem cały hotel okablowali, a tutaj tak wieje, że gówno usłyszą.

- Nie będą nas szukać?

- Spokojnie. Mamy czas, zanim się domyślą, że wyszliśmy z pokoju. Proponuję poświęcić go nie na rodzinne rozliczenia, a służbową, przynajmniej w twoim przypadku, rozmowę.

Stuknął szklanek syna. Wypili.

- Masz jakieś normalne fajki?

Stach wyciągnął marlboro, które dostał jako część wyprawki terenowej.

- Dzięki.

- A więc nie muszę cię przekonywać, żebyś mi pomógł?

- Zgodziłem się tylko dlatego, że wysłali ciebie. Z nimi bym nie rozmawiał. Dowiadywałem, co i gdzie porabiasz. Dostałem jakiś perfumowany bełkot, nieudolnie łatanie dziury w twoim życiorysie. Domyśliłem się, że robisz na państwowym. Pomogę, bo pewnie coś dla siebie ugrasz dzięki tej akcji.

Stachowi zrobiło się odrobinę głupio, że tak niewiele wiedział o swoim ojcu. Był zdziwiony, kiedy na odprawie informacyjnej powiedzieli mu, że doktor Tadeusz Kubiak

jest jednym z założycieli Ruchu Obrony Robotników, opozycyjnej organizacji, która, mimo że działała w PRL-owskim podziemiu, niechętnie współpracowała z wolną Polską. Wspierani jedynie przez francuskich socjalistów, unikali zależności od służb RP, marzących o wstawieniu w ich szeregi kilku marionetek. Stach zdawał sobie sprawę, że nie ma pełnej wiedzy o wpływach swoich przełożonych. Mogli i w ROR-ze mieć swoich ludzi, ale pewnie nie tak głęboko zanurzonych w opozycyjną działalność, jak jego ojciec, który miał ponoć dostęp do wielu informacji. Na pewno wiedział, kto kogo zna i gdzie na Pradze może się ukrywać emigrant z fałszywym paszportem.

- Franciszek Gerke, kiedyś Frantz, wypłynął dzisiaj na Targowej, a jeszcze wczoraj popijał winiaczek w swoim apartamencie na Unii Lubelskiej. Profesor, epidemiolog, obracał się w lepszych sferach. Młoda żona z oficerskiej rodziny, też ustawiona. Bliskich na Pradze nie miał, zresztą warszawiakiem jest dopiero od czterdziestego piątego, wcześniej dumny syn Swinemünde. Ale jakichś Niemców pewnie tu zna, może i miejscowych, bo w stolicy bywał w czasie wojny. Świetnie mówi po naszemu, bez akcentu, ponoć jego niańka była Polką i od małego jest dwujęzyczny. A, i lubi się odprężyć...

- To chyba jak każdy - zauważył ojciec.

- Nie, nie każdy - uśmiechnął się zadowolony, że nareszcie może pofolgować natrętnej potrzebie wyłuszczenia faktów. - On bierze „odprężenie”, środek odurzający, narkotyk. W jego papierach znalazłem

informacje o kilku odwykach. Biorąc pod uwagę kilkuletni nałóg, dawkę musi sobie strzelić codziennie, może co dwa dni.

- A jak to wygląda?

- Narkotyk czy skutki?

- To i to.

- Mała fiolka, taka jak z próbką perfum. W środku gęsty, fioletowy płyn. Najczęściej się to łyka. Potem ogarnia cię spokój i mózg spowalnia. Myślisz w zwolnionym tempie. Znajdujesz sobie jakiś element otoczenia i całkowicie skupiasz się na nim. Na trzeźwo znałeś jego działanie, a teraz na nowo, mozolnie je rozgryzasz, czerpiąc z tego olbrzymią przyjemność. Z godzinę może ci zająć pojęcie konstrukcji otwieracza do konserw. Potem znajdujesz sobie kolejny przedmiot i tworzysz w głowie fantastyczną siatkę połączeń między tym otwieraczem a książką na przykład. Wydaje ci się, że to wszystko trwa wieki, ale czas nie ma znaczenia, bo jest ci dobrze. Kiedy narkotyk przestaje działać, przedmiotów i połączeń jest coraz więcej, czas przyspiesza. Wszystko trwa kilka godzin, a potem nagle spada na ciebie ciężar realnej komplikacji wszystkiego, dostajesz młotem rzeczywistości w łeb.

- Dostyc szczegółowy opis - zauważył ojciec.

Stach przemilczał uwagę i jeszcze kilka minut opowiadał o szczegółach z życia profesora przydatnych w jego namierzeniu. Mimo że wiało coraz mocniej, mężczyznom zrobiło się cieplej. W żyłach krążył alkohol. Kiedy skończyli rozmawiać o Gerkem, skłękli zgodnie wielkie

mocarstwa zastraszające się wizją epidemiologicznej zagłady.

Stach szukał w swoim towarzyszku ojca, o którym opowiadała mu matka. Z dzieciństwa nie pamiętał zbyt wiele, a ona rzadko wspominała o mężu, zwykle porównując go z synem, kiedy ten zrobił coś złego. Mówiła wtedy „zupełnie jak ojciec”. Kilka razy próbował coś od niej wyciągnąć, ale kiedy w rozmowie pojawiał się Tadeusz Kubiak, szybko przechodziła na inny, irytujący Stacha temat. Brak ojca wcale go nie dziwił, wielu jego kolegów wychowywały tylko matki. Byli wojennymi półsierotami.

Biesiadę skończyli w pokoju, wspominając czasy dzieciństwa Stacha, ale pomijając temat rozpadu rodziny. Tadeusz zapowiedział, że o trudnych sprawach porozmawiają następnego dnia po śniadaniu.

\*\*\*

Niski pawilon Baru Mlecznego ZOO otwierano o ósmej, ale zmiana zaczynała się godzinę wcześniej. Przeklinała, że po ciężkim wieczorze musiała tak wcześnie zjawiać się w robocie, która w rzeczywistości była tylko okresową przykrywką. Najpierw umęczył ją major, a potem musiała kicać po parkowych krzakach, obserwując nowy obiekt, który kłócił się z ojcem i prowokował tajniaków do interwencji. Pracę skończyła po północy, z bezpiecznej odległości obserwując starego Kubiaka idącego na Dworzec Wileński. Zabrał go stamtąd dostawczy moskwicz. Została

na pustej o tej porze ulicy. Dalsze śledzenie, ze względu na brak środka transportu, było niemożliwe.

Na zapleczu założyła mundurek, uśmiechając się do chłopaka ze zmywaka, który podglądał ją przez szparę w drzwiach. Młodziak zaraz się spieszył i wrócił do układania lśniących talerzy. Poprawiła kokardę spinającą włosy, obowiązkowy element stroju pracownic lokalu usługowego dla zagranicznych gości. Bar lśnił czystością, a wielkie okna zapraszały do środka przechodniów spragnionych ciepłego posiłku. Ceny były zaporowe, żeby odpędzić mieszkańców Pragi. Rozciągające się po drugiej stronie ulicy Osiedle Praga II przykuwało wzrok monumentalną zabudową o jasnych elewacjach. Na parterach mieściły się dobrze zaopatrzone sklepy, a środek placu Leńskiego porastały niskie drzewka. Prażanie przychodzili tu popatrzeć na wystawy pełne dewizowych artykułów, a zagraniczni turyści mieli opuszczać okolice w przekonaniu, że dobrobyt dotarł w końcu na prawą stronę Wisły. W okolicznych budynkach mieszkali głównie wyżsi oficerowie z rodzinami oraz zadbani cywile o grubo ciosanych twarzach i wielkich dłoniach, porozumiewający się językiem polskim z naleciałością wschodniego akcentu. Ta enklawa dobrobytu, mieszcząca się między dzielnicą fabryczną a starą, zaniedbaną Pragą, była głównym terenem jej zawodowej działalności, a dla zagranicznych wycieczek pierwszym punktem w programie zwiedzania Wenecji Mazowsza. Propagandziści pilnowali, żeby w przewodnikach i opracowaniach dotyczących Pragi

zaznaczano jako jej walor sieć rozbudowanych po wojnie kanałów łączących kluczowe punkty miasta.

Zawiązała fartuch i stanęła przy kasie. Pozostało jej obsługiwać klientów i czekać na tego najważniejszego.

\*\*\*

Stach chciał jak najwcześniej rozpocząć działania i spotkać się z kontaktem, który miał go odnaleźć w barze na dole. Wstał kwadrans po siódmej, przełknął poranną porcję tabletek, wziął prysznic, upakował po kieszeniach najbardziej potrzebne rzeczy i usiadł przy stoliku, czekając na ojca. Tadeusz zjawił się punktualnie o ósmej. Na powitanie objął syna i wcisnął mu do ręki złożoną kartkę. Stach zerknął na otrzymaną wiadomość: „Na Różycu poszukaj największego stoiska z pierogami, pytaj o starą Zochę, powiedz, że jesteś od Ślepaka. W razie czego szukaj pomocy w stróżówce w drukarni na Mińskiej”.

Stach wskazał ojcu fotel i zaproponował:

- Zapalimy przed śniadaniem?

- Z chęcią - odparł Tadeusz i usiadł, wyciągając napoczętą dzień wcześniej paczkę marlboro. Stach przypalił mu papierosa i przeniósł ogień zapałki na karteczkę. Namiar spłonął w popielniczce. Chwilę rozkoszowali się amerykańskim tytoniem.

- Możemy iść. Konam z głodu.

- A ja z pragnienia - Tadeusz uśmiechnął się do syna. - Ty stawiasz.



W barze zajęte były tylko dwa stoliki, oba przez rodziny, które dzień wcześniej witały się nad Wisłą. Usiedli przy oknie. Stach zapytał ojca, co zamawia, i ruszył do bufetu. Byli jednomyślni - dwie kawy, dwie wody mineralne i dwie jajecznice. Wyjął portfel i stanął przy kasie, tuż za obsługiwanym właśnie korpulentnym człowiekiem w sztruksowej marynarce. Czekał na swoją kolej, patrzył na ojca, którego wzrok błędził wśród brył osiedla po drugiej stronie ulicy. Gruby jegomość zapłacił i przeszedł do oszklonego baru, zza którego kucharka wydawała posiłki. Stach odwrócił się do kasjerki i zamarł. Uśmiechała się do niego dziewczyna, która dzień wcześniej śledziła go na Mokotowie. Pozbawiona modnego płaszczyka, ubrana w uniform pracownicy baru, była jeszcze bardziej pociągająca. Pomyślał, że jest całkiem niezła w szpiegowskiej robocie, skoro tak swobodnie przeskakuje przez rzekę.

- Masz już namiary? - wyszeptała, patrząc mu prosto w oczy.

- Mam.

- Świetnie. Po odebraniu posiłku pójdziesz do ubikacji. Druga kabina, paczka na spółczce. Potem zielone drzwi obok kibla i korytarzem do końca, na ulicę. Gdybyś miał problemy albo trop okazał się fałszywy, kolejny kontakt będzie w pociągu do Ząbek o szesnastej trzydzieści, znajdę cię - przekazała wiadomość, po czym głośno i radośnie zapytała: - Co pan zamawia?

- Dwie jajecznice i dwie kawy... i jeszcze po wodzie mineralnej.

Zapłacił, dostał kwitek i przesunął się do odbioru. Przy stoliku podsunął ojcu jego talerz i filiżankę kawy. Swoją pośladził, sprawdził, czy nie jest za gorąca, i pociągnął duży łyk. Żałował, że nie spędzą tego dnia razem. Nie poznają się lepiej i nie wyjaśnią tych kilku odkładanych od dziesięcioleci spraw. Nachylił się do ojca solącego jajecznicę i wyszeptał:

- Do zobaczenia, tato.

Tadeusz spojrzał na niego zdziwiony i zapytał:

- To już?

- Przepraszam. Muszę do ubikacji - powiedział i wstał od stolika.

Ojciec pozbył się z twarzy wyrazu zdziwienia i zaczął jeść. Z pełnymi ustami rzucił za odchodzącym synem:

- Tylko umyj potem ręce, synu.

Stach zamknął za sobą drzwi do sali. Otworzył męską ubikację i wszedł do wskazanej kabiny. Na olbrzymiej misie spłuczki leżał pakunek, który natychmiast otworzył. Na głowę założył znaleziony w środku wymięty kapelusz, na ramiona szary płaszcz, swoje poprzednie okrycie zostawił na oparciu krzesła w barze. W wewnętrznej kieszeni płaszcza znalazł portfel, a w nim pieniądze, bilety, kartę pracy i dowód, którego zniszczona okładka skrywała jego nową tożsamość. Pistolet znaleziony pod płaszczem schował za pasek z tyłu spodni. Miał nadzieję, że w ostateczności będzie to tylko narzędzie perswazji. Spuścił

wodę i wyszedł z toalety, ale zamiast wrócić na salę, wybrał zielone drzwi. Za nimi ciągnął się długi korytarz. Ta część budynku była wyraźnie przedwojenna, odświeżona jedynie pistacjową farbą olejną. Minął pomieszczenia magazynowe i otworzył kończące korytarz ciężkie wrota. Znalazł się na wąskiej uliczce oddzielającej ogrodzenie ZOO od budynków gastronomicznego zaplecza. Ruszył w prawo, wzdłuż ceglanego muru, i kilkanaście metrów dalej znowu skręcił w tym samym kierunku. Wyszedł na Stalingradzką tuż przy przystanku tramwajowym. Nie czekał zbyt długo na transport. Szczegółowy plan Pragi i rozkład jazdy komunikacji miejskiej znał na pamięć. Józef Koc, brygadzysta z elektrociepłowni na Żeraniu, wsiadł do pierwszego wagonu tramwaju jadącego w stronę Targowej.

Po opuszczeniu lśniącego nowością osiedla tramwaj wjechał w typowo praskie okolice. Mijał ceglane ściany i budynki, w których elewacje upstrzone były trądzikiem dziur pozostawionych przez wojenny ostrzał. Spękane powierzchnie pokrywała pajęczyna instalacji elektrycznych. Nad ulicami zwisały kable, tworząc abstrakcyjną siatkę. Przymocowano do nich wielkie lampy, które wieczorami zastępowały latarnie. Mniej więcej co piąta kamienica była pozbawioną charakteru, współczesną protezą uzupełniającą zgryz próchniejącej ulicy. Po mieście przemieszczały się głównie autobusy, tramwaje i stare ciężarówki. Między nimi lawirowały riksze, praski odpowiednik taksówek. Produkowano je w fabryce na Żeraniu, ponoć były przebojem na rynkach azjatyckich.

Chodnikami wzdłuż Targowej brnęły setki ludzi mijających ciemne bramy, w których kwitło życie, dając o sobie znać żarzącymi się czubkami papierosów. Niektóre mury oblepiono szarymi plakatami wypełnionymi słupkami drobnego druku. Tylko wielkie litery nagłówek informowały, że jest to repertuar pobliskiego kina lub program obchodów jakiegoś robotniczego święta. Ta strona Warszawy wypadła blado w porównaniu z siostrą dotkniętą zarazą kolorowej reklamy. Tam sklepy obwieszczały dostawę świeżego towaru, oklejając całą okolicę barwnymi plakatami, tutaj tylko na rogach ulic kwitły ogólnospożywcze oazy handlu. Zakurzone witryny obramowane wyblakłą żółcią, oficjalnym kolorem spółdzielni spożywców. Zauważył też liczne punkty apteczne oznaczone czerwonymi krzyżami. To w nich zmierzający do zakładów pracy mieszkańcy realizowali kartki na swój przydział farmaceutyków. Braki w dostawach towarów codziennego użytku Praga uzupełniała na bazarze Różyckiego, wylewającym się na Targową centrum wymiany towarów, usług i informacji. Straganów było tak wiele, że chodnikiem szło się gęsiego. Wysiadł na przystanku przy targowisku i zanurzył w skłębioną ludzką masę.

Powoli przepychał się wśród licznych klientów. Gdziekolwiek padał jego wzrok, zaraz zachęcano go do kupienia damskiego futra, skutecznego lubczyku, najlepszych na Pradze flaków lub kiełbasy prosto z Kamionka. Zorientował się, że nikt tu nie sprzedaje tylko

tego, co zachwała. Sprzedawca garnków podawał spod lady słoiczki z lekami pochodzącymi z sowieckich magazynów. W dziurze za jednym ze straganów suchy dziadek, ostrzący jeszcze przed chwilą noże, wymieniał walutę pulchnej kobiecie trzymającej gruby sznur, do którego uwiązany był rozwrzeszczany dzieciak. Właścicielka kramu z dorodnymi warzywami co drugiego klienta częstowała podejrzenie przejrzystym płynem ze słoików z olbrzymimi ogórkami. Od chłopaczka nawołującego amatorów tytoniu Stach kupił paczkę papierosów, w których filtr zastępował kawałek zrolowanej tektury. Podczas zakupów został zapoznany z ofertą modnych, męskich czasomierzy. Podziękował, dyskretnie sprawdzając, czy ma jeszcze na ręku swój zegarek. Minął kolejne stoiska z bazarową galanterią i dotarł na mały placyk. Przez mrowie ludzi nie widział stoisk po jego drugiej stronie, ale nad głowami unosiła się para, zapewne pochodząca z garkuchni. Ruszył w tym kierunku. Rzeczywiście, napis nad sporych rozmiarów budą informował, że sprzedaje się tutaj „pierogi i kluchy”. Mężczyzna w brudnym fartuchu wyniósł z zaplecza wielki parujący gar. Ustawił go na taborecie obok kotła na kółkach i do metalowych misek nakładał gorące pierogi. Bystre oko stojącego z boku nastolatka obserwowało amatorów bazarowej gastronomii. Pilnował, żeby nikt nie zwinął bufetowej zastawy. Stach ominął kolejkę ustawiającą się po wyborze pierogi i podszedł do pryszczatego wyrostka.

- Szukam starej Zochy - zagadał małolata. Chłopak spojrzał mu prosto w oczy i przypalił sobie skiepowanego w połowie skręta.

- Pójdiesz pan między kamienicami, do Ząbkowskiej - instruował powoli. - Potem na Brukową, po drugiej stronie Targowej. Pierwsza brama po lewej. Tam w rogu stoi kij. Wsadź se pan go w dupe.

- Jak cię pizdnę, to nie zdążysz najechać. Ja nie pająk, jestem od Ślepaka - Stach wyszeptał przez zęby wiązanekę, wyciągając z pamięci słownik warszawskich doliniarzy.

- A, izwienicie - powiedział nastolatek i wyprostowaną dłonią kazał mu zaczekać. Wszedł do środka budy. Za odsłoniętą przez chwilę kotarą Stach dojrzał grupę mężczyzn grających w karty przy stole zrobionym z drzwi.

Kuchmistrz obsłużył trzech klientów, nim podrostek wrócił z prowizorycznego kasyna. Chłopak kazał mu iść za sobą. W tłoku poruszał się tak sprawnie, że Stach prawie go zgubił. Dotarli do budy obłożonej książkami. Frontową ścianę, aż po wystający dach, zastawiono regałami. Tylko tutaj nie kręcił się żaden klient. Pilnujący kramu dziadek nawet na nich nie spojrzał. Weszli do niskiego pomieszczenia wypełnionego woluminami. Chłopak podszedł do wnęki między regałami, odstawił stojące w niej krzesło i pchnął ścianę, która okazała się wąskimi drzwiami.

Ruchem ręki zaprosił gościa do środka, wskazał dalszy kierunek marszu i zamknął za nim przejście.

Stach został sam w szerokim na dwa metry korytarzu, a właściwie obdrapanej szparze pomiędzy dwiema kamienicami. Nad sobą widział wąski pasek zachmurzonego nieba. Ruszył tam, gdzie kazał mu iść przewodnik. Przecisnął się obok cuchnącej sławojki i znalazł na zamkniętym podwórku. Pośrodku rosły rachityczne drzewka, ich nasiona musiał przynieść tu wiatr. Kilka otwartych okien, wywieszane pranie i odległy, płynący gdzieś z góry, dźwięk radia wskazywały na to, że kamienica jest zamieszkana. Cały parter był jednak zamurowany poza jedną parą otwartych drzwi. W pomieszczeniu za nimi paliło się światło. Nie widząc innej możliwości, ruszył w tym kierunku.

\*\*\*

Ksywka „stara Zocha” była nieporozumieniem. Do czterdziestokilkuletniej kobiety bardziej pasowało „gruba Zośka”. Nawet siedząc, robiła monstrualne wrażenie, musiała być wyższa od mierzącego metr osiemdziesiąt pięć Stacha. Jej wielka jak łopata dłoń głaskała po główce małą dziewczynkę bawiącą się na kocyku rozłożonym u stóp kobiety. Do pokoju na pierwszym piętrze przyprowadził go młody Cygan o twarzy poznaczonej głębokimi bruzdami.

- To ten od Ślepaka - przedstawił gościa i wyszedł. Skrzypiące schody zdradziły, że wraca na parter.

Stach ukradkiem zlustrował pomieszczenie. Kobieta siedziała na popękanej skórzanej kanapie, w której brakujące nóżki zastąpiono cegłami. Pokój był przechodni,

obok kanapy znajdowały się kolejne drzwi. Ścianę po prawej zajmowały dwie olbrzymie szafy, pamiętające jeszcze poprzednie stulecie. Po lewej znajdowało się okno, przez popękane szyby widać było niemal cały Różyc. Pod parapetem stała kozetka. Spał na niej duży chłop o rysach podobnych do gospodyni. Stach nie miał gdzie usiąść, więc stał pośrodku pokoju. Rumiane oblicze kobiety natura wyposażyła w żywe spojrzenie, które przeniosło się z dziecka na interesanta.

- Dobry - powiedziała pozbawionym emocji głosem. - Od Ślepaka, znaczy się chemia? A co?

- Odprężenie...

- O, kolejny kwiatek z Warszawki? - W kąciku jej ust pojawił się uśmieszek. - Fiołek.

Spod długiej, wzorzystej spódnicy wysunęła się pulchna bosa stopa i kopnęła śpiącego mężczyznę w wystającą spod głowy rękę. Stach pomyślał, że tak pieśczośliwie nazywa swojego kompana, ale kobieta szybko wyjaśniła:

- U nas mówi się na to Fiołek. Odprężają się za Wisłą, tu trza pracować.

Mężczyzna na kozetce ruchem dłoni odpędził jej nogę i kontynuował drzemkę.

- Obudź się, kurwa! - wrzasnęła.

Dziewczynka u jej stóp nie zauważyła wzburzenia opiekunki, dalej obracała w dłoniach główkę porcelanowej lalki. Śpioch otworzył oko i spojrzał na Stacha.

- Bruno, zapierdalaj do magazynku, po... - popatrzyła pytająco na gościa.



- A po ile? - zapytał Stach.
- Dwie stówki.
- To pięć biorę.
- Przynies panu pół kompleciku fioletowych.

Mężczyzna usiadł na kanapie, przetarł brudną łapą zaspane oczy i wyszedł z pokoju drugimi drzwiami.

- Kapitalizm chyba w kryzysie, potrzebujących zza Wisły od wczoraj przybywa. Nie łatwiej się dogadać, spółdzielnię założyć i za jednym zamachem nabyć dla całej grupy?

- A gdybym to ja wiedział, kto jeszcze, to może hurtem bym kupił. - Wyjął z kieszeni trzy tysiące w kilku banknotach i zaczął przeliczać na jej oczach. - Częściej bym wpadał. Może mnie skojarzycie z tymi, co się wczoraj zaopatrywali.

- Jest jeden dziadzio, wieczorem zamówił. - Kobieta zrozumiała aluzję. - Ja takiego towaru pod ręką nie kiram, sprowadzać trzeba. Coś mnie tchnęło, że więcej trza nawieźć. Teraz i dla ciebie, kochanieńki, starczy. Jeśli to fiołki ci naprawdę w głowie?

- Bardziej ten stary. - Do pliku w rękach Stacha dołączyły kolejne banknoty. Za jego plecami znowu zaskrzypiały schody.

- Kogo tam niesie? - wrzasnęła Zocha.
- Klient, po odbiór - zapowiedział jej odźwierny.

Stach się odwrócił. Za pooraną twarzą Cygana zobaczył siwą głowę. Gerke dygnął powitalnie, patrząc na kobietę, a potem przeniósł wzrok na jej gościa. Skupione oblicze

zaczęło się zmieniać, brwi lekko drgnęły, przymrużył oczy i rzucił się w stronę klatki schodowej. Stach z całej siły odepchnął zaskoczzonego Cygana i już zbiegał po schodach. Od profesora dzieliły go dwa zakręty. Wybiegł na podwórko i natychmiast zlokalizował mężczyznę kierującego się w stronę bramy. Gerke wyskoczył na ulicę przez uchyloną furkę. Stacha dzieliło od niej kilka metrów. Kątem oka zauważył ruch w zakamarku bramy – cień uzbrojony w coś długiego. Nie zdążył uskoczyć przed metalową rurką, która trafiła go prosto w brzuch. Stracił równowagę i padł do przodu, barkiem uderzając w bramę. Z ust wyrwała mu się fala żółci. Próbował wstać. Drugi cios trafił go w plecy.

- Nie rurą! - W oddali usłyszał głos starej Zośki. - Chuj wie, co za jeden!

Stach zwijał się wśród rozrzuconych w bramie odpadków. Nogą kopnął jakąś butelkę, która rozbiła się o ścianę.

- Bierzcie go - rozkazała kobieta. - Skurwysyn klientów płoszy.

Dwóch mężczyzn złapało Stacha za nogi i zaczęło wciągać z powrotem do studni podwórka. Wróciła mu woła walki. Próbował wierzgać całym ciałem, łapać ubitą ziemię palcami. Sił pozbawił go kopniak w brzuch.

\*\*\*

Kierownik baru przy ZOO był zniewieściałym młodzieńcem. Bardzo delikatnym i czułym na wszelką niedolę pracowników. Nie dyskutował, kiedy pracownica

powiedziała, że zaczął się jej okres i musi iść na chwilę do domu. Nie chciał ciągnąć tego tematu. Zapewne pierwszy raz słyszał to określenie z ust kobiety, wcześniej babka, matka i siostra ukrywały przed nim tę tajemną wiedzę, kryjąc ją za hasłem „kobiece sprawy”. Powiedział tylko „leć” i postawił na kasie dziewczynę z sali. Ruch i tak był niewielki, bo większość ludzi z wczorajszej wymiany poszła zjeść śniadanie na mieście lub u swoich bliskich. Nocleg w hotelu i program zwiedzania były obowiązkowe, ale mieli też czas wolny do swobodnego zagospodarowania.

Szybko włożyła płaszcz, zdjęła z głowy kokardę i zawiązała chustę w brzydkie, szaro-zielone wzory. Wyszła na ulicę, rozglądając się za mężczyzną w kapeluszu. Stach czekał na przystanku tramwajowym. Nie zauważył jej, zachowywała bezpieczną odległość. Wsiadła do drugiego wagonu. Tym razem doskonale wtapiała się w tłum. Jeleń robił dokładnie to, czego od niego chciała.

Wysiadł przy bazarze. Patrzyła, jak spaceruje po handlowym sercu Pragi. Był ubrany jak reszta mieszkańców, ale rzucało się w oczy, że rzadko tu bywa. Zachowywał się jak turysta, zwiedzał, zamiast załatwić swoje i opuścić to ludzkie mrowisko. Węszył przy stoisku z pierogami. Rozmawiał z jakimś chłopakiem. Poszedł za nim na północną stronę bazaru. Tam zniknął. Kwadrans krążyła między przekupami, przeklinając pod nosem, po czym wróciła do jadłodajni. Pryszczyty przewodnik nie wracał. Musiała działać. Jeszcze raz rozejrzała się po

rejonie, w którym Kubiak przepadł. Nie było po nim śladu, więc bocznym wyjściem wydostała się z bazaru.

Siedział na murku, przy ogrodzeniu, schowany za stertą śmieci. Masując szczękę, pluł krwią. Myślał, że nie rzuca się w oczy, ale jej czujne spojrzenie natychmiast wyłowiło znajomą postać ukrytą za górą gnijących odpadków. Podeszła. Zauważył ją, ale się nie odezwał. Wyciągnęła paczkę papierosów, przypaliła dwa naraz i podała mu jednego. Wziął i zaciągnął się w milczeniu.

- Musimy stąd iść - powiedziała, rozglądając się po okolicy.

Przeczesał włosy dłonią. Zauważyła, że zgubił kapelusz. Zaczął powoli wstawać, próbując odciążyć kolano. Chciała mu pomóc, ale odmówił gestem dłoni. Na początku kulał, ale już po kilku me trach rozruszał bolącą nogę. Poszli w stronę ulicy. Zatrzymała riksę, usiadła obok niego i zamówiła kurs do domu. Zapytała, co się stało.

- Poznałem starą Zochę - odpowiedział, masując się po karku. - Wspaniała kobieta.

Zdjęła z głowy chustę i sięgnęła nią do jego twarzy. Chwilę się bronił, ale powiedziała, że wygląda jak bej spod Karcelaka, więc pozwolił jej zetrzeć choć odrobinę zaschniętej krwi zmieszanej z błotem.

Wdrapali się na trzecie piętro. Kiedy weszli do jej mieszkania, zapaliła grzejnik w łazience i zaczęła napełniać wannę ciepłą wodą. Płaciła krocie za takie luksusy, ale bez regularnych kąpiei nie mogła pracować po tej stronie Wisły. Rozebrał się i wszedł do wanny. Przyniosła z apteczki

proszki przeciwbólowe i podała mu je ze szklanką wody. Wypił i podziękował.

Kiedy obmył twarz, okazało się, że poza guzem na czole i kilkoma powierzchownymi zadrapaniami nie było na niej śladów pobicia. Gorzej wyglądały sine ślady na żebrach – jedno mogło być złamane.

- Nie jest źle – uśmiechnął się i stęknął, próbując sięgnąć do obitego kolana.

Namydloną gąbką zaczęła myć mu ramiona. Spojrzała pod taflę wody i zobaczyła, że naprawdę czuł się dużo lepiej. Nie protestował, kiedy zanurzyła rękę i zaczęła go rytmicznie masować. Chwilę patrzyli sobie w oczy. Zaczął ją całować. Mokrą dłonią dotknął jej karku. Wyjęła rękę z wanny i zdjęła bluzkę. W tym czasie on wyszedł z kąpieli. Już po chwili stali przed sobą całkiem nago. Pieścili się delikatnie, potem ją odwrócił i stał się bardziej energiczny. Mocno złapał ją za pośladki i wszedł głębiej. Kiedy zaczęła jęczeć, pochylił się i przeniósł dłonie na jej piersi. Tutaj był delikatny, lekko ściskając sutki, doprowadził ją do końca. Czowała, że i on finiszuje. Potem przeszli do sypialni. Przez cały wieczór zamienili raptem kilka zrodzonych z rozkoszy słów. Zasypiali zmęczeni, tuląc się do siebie. Potrzebowała tego, mężczyzny, z którym mogła spędzić choć jedną bezinteresowną noc.

\*\*\*

Otworzył oczy. Na dworze było jeszcze ciemno. Postarał się jak najciszej wyjść z łóżka. Nie chciał jej budzić. W łazience

przechręścił uwalone błotem ubranie. Na palcach poszedł do kuchni i wyjął z apteczki tabletkę lekkiego przeciwbólowca i jakiś amfetaminopodobny środek. Łyknął wszystko, popijając kranówką. Udało mu się opuścić mieszkanie, nie przerywając snu gospodyni. Świtało. Na ulicach było już sporo ludzi. Większość szła leniwie do swoich miejsc pracy. Tylko nieliczni, jak on naszprycowani metylową pochodną  $\beta$ -fenyloetyloaminy, stawiali różne kroki. Chciał wykorzystać ten zastrzyk energii do szybkiego pokonania kilku przecznic. Dziewczyna mieszkała na Targowej, za wiaduktem. Kiedy wyszedł z jej kamienicy, natychmiast zobaczył potężną bryłę Pałacu Pokoju stojącego przy rondzie Waszyngtona. Wyjątkowa budowla, którą zaczęto stawiać tuż przed wojną jako Wieżę Niepodległości, w stylu art deco, a ukończono już w PRL-u, dodając socrealistyczne elewacje. Przy dobrej pogodzie było ją widać aż z Woli.

Nieustanne zaciskanie szczęki, skutek uboczny farmaceutyku, promieniowało lekkim bólem po całej czaszce. Z czasem uczucie to stało się nieznośne. Dokuczało mu też obite żebro i stłuczone kolano. Nie mógł się skupić. Na dnie wyczyszczonej przez ludzi Zośki kieszeni znalazł małą tabletkę Butorfanolu i połknął ją, żeby uśmierzyć ból. Pomogło. Uśmiechnął się na myśl o minionym wieczorze. Dawno nie było mu tak dobrze. Zaczął fantazjować, że po wszystkim ją odzyska, zaproponuje spotkanie podczas jednego z jej wypadów na zachodnią stronę i może tak zwyczajnie pójdą do kina. Choć przez chwilę będą udawać normalnych ludzi. Opanował

myśli, skupiając się na akcji. Bez planu szedł na spotkanie z ludźmi Zochy. Pozbawiła go broni i pieniędzy, więc nie miał już nic, co zachęciłoby ją do współpracy. W kieszeni ciążył mu tylko nóż zabrany z domu dziewczyny. Ostry, ale nie pokona nim ludzi doświadczonych w ulicznych bijatykach.

Bazarowi handlarze otwierali już pierwsze stragany. Na rogu stała para milicjantów, więc dołączył do długiej kolejki po świeże pieczywo. Zaobserwował u siebie lekkie drżenie rąk. Pomyślał, że to może brak porannej kawy. Kiedy mundurowi przeszli na drugą stronę ulicy, opuścił ogonek i skręcił w Ząbkowską. Dotarł do kamienicy Zochy i stanął w bramie po przeciwnej stronie ulicy. Na szczęście typy, które przeczesaly mu kieszenie, uznały miejscowy tytoń za towar niewart uwagi. Mógł zapalić gryzącego w gardło papierosa, tutaj takie kosztowały grosze, ale były tak kiepskiej jakości, że od rana rozważał nikotynową abstynencję.

To wielka baba, rozmyślał o królowej Różyca, mogłaby złamać kark pstryknięciem olbrzymich paluchów. Powalić na ziemię i zmiażdżyć czaszkę, siadając na głowie. A wcześniej jej zbiry potną mnie żyłkami. Będę miał szczęście, jak się wykrwawię przed jej atakiem. Wyczuł u siebie nutę hysterii. Spojrzał na przechodzących obok ludzi. I nikt nie pomoże. Blade, ponure robole mają gdzieś, co się dzieje na ich ulicy. Chcą tylko dotrzeć do fabryki, odbębnić swoje i wrócić do nor. Pogrzebią mnie tam, za śmieciami, pod płotem. Zimny pot zapowiadał nadchodzącą

falę lęków. To tylko chemia, znał to uczucie. Przesadził z lekami. Skutki uboczne wspomagaczy. Mroczne myśli to pożywka dla strachu, trzeba pozytywnie. Woda, powinien napić się wody, dużo wody. Wtedy wypłucze to świństwo.

Przetarł mokre czoło i zobaczył znajomego Cygana wyłaniającego się z bramy po drugiej stronie ulicy. Pomagier oparł się o ścianę. Pałac papierosa, obserwował ruch uliczny na pobliskiej Targowej. Po chwili dołączyła do niego mała dziewczynka, którą dzień wcześniej opiekowała się stara Zocha. Mężczyzna wziął dziecko za rękę. Przeszli przez ulicę i skręcili w kierunku Stacha. Schował się głębiej. Minęli bramę, nie patrząc w jego stronę. Dostrzegł okazję. Miał gotowy plan działania. Skupił się na nim, odganiając depresyjne myśli. Pójdzie za nimi. Złapie bandziora i przystawi mu do gardła nóż. Zabierze dziewczynkę i rozkaże mu, by poszedł po Zochę. Na miejsce przekazania małej wybierze jakieś bezpieczne miejsce. Tam, gdzie dużo ludzi. Albo inaczej, pod siedzibą SB, ze dwie przecznice dalej. Tam mu nic nie zrobią. Doskonale, odzyska swoje fanty i wyciągnie namiar na profesora. Atak na dziecko, najgorsze, co mógł zrobić. Ale przecież nie chciał jej skrzywdzić. Rozpalony mózg zaakceptował plan. Ruszył za Cyganem. W kieszeni ścisnął rękojeść noża. Przyspieszył. Jeszcze kilka kroków i draśnie kolesia po ciemnym gardle.

- Nie trzeba, synu - głos Zośki za plecami stłumił całe podniecenie.



Stanął i powoli się odwrócił. W grubym kożuchu wyglądała na jeszcze większą.

- Porozmawiajmy, zanim zrobisz coś głupiego - dodała.

Cygan i dziewczynka zostali odesłani gestem potężnej dłoni. Stara Zocha zaprosiła go do pobliskiego zakładu fryzjerskiego. Zamknięte o tej porze drzwi otworzył wąsaty staruszek. Wpuścił ich do środka. Wskazała fotele w części lokalu przeznaczonej na poczekalnię. Stach usiadł. Pomarszczony mężczyzna wstawił wodę w czajniku i schował się na zapleczu.

- Nie wyglądasz najlepiej - zaczęła kobieta, syjąc do szklanki herbatę. - Trochę moja wina. A trochę chemiczne nawyki, prawda?

Stach nie odpowiedział, wpatrywał się w nią, czekając na to, co powie.

- Po wczorajszym wypytałam trochę, ktoś ty, od kogo, bo nie od Ślepaka. - Zośka podeszła do blatu pod wielkim lustrem i otworzyła szufladę na przybory fryzjerskie. Stach po raz pierwszy od kilkunastu minut zareagował w zdrowy, niezmacony lekami sposób i napiął mięśnie gotowy na atak wyciągniętym stamtąd narzędziem. Kobieta grzebała przez chwilę w przepastnym wnętrzu schowka, po czym wyjęła z niego jego portfel. Podała Stachowi fant i podeszła do czajnika. Zalała ukropem herbatę i wręczyła gościowi gorącą szklankę. - Trochę śmierdzi, ale to dobre ziółka. Odtruwają. Będziesz sikać jak strażak w dyngusa, ale pomogą. - Przetawiła fotel fryzjerski tak, żeby siedzieć naprzeciw Stacha. - Ta mała to moja wnuczka, oczko

w głowie. Córka wyrodnej matki, o której świat, mam nadzieję, już zapomniał. Rok temu, latem, mała się bawiła i nagle upadła. Krew z nosa i zmysły kruszynie zabrało. Zemdląca. Lekarza wezwałam, znajomego, rodzinnego. Od wojny porody przyjmował, zszywał, pestki wyjmował. I chuj. Nic nie znalazł. Mała przytomność odzyskała, ale jakaś zaspana, zmęczona była. Do szpitala kazał, a w praskim dziecko na korytarzu przez trzy dni trzymali i tylko pielęgniarki podchodziły. Za fraki wzięłam jednego w kitlu i zbadał. Też nic. Nie wiedział, co jej. Zostało tylko brać małą na łódkę i szukać pomocy po waszej stronie, bo tutaj najlepszy jest Praski. Ale ona już za słaba była, żeby ją taszczyć przez rzekę. Stałam na tym korytarzu. Dziecko mi w oczach gasło. To koniec. Wtedy nagle ruch. Pielęgniarki w podskokach zasuwwały. Lekarze się zebrali i na obchód po śmiertelnikach szli. A na czele taki, co żem go wcześniej nie widziała. Zapytałam, kto to, kobietę, co po sąsiedzku leżała. Okazało się, że zastępca ordynatora z urlopu wrócił i teraz będą leczyć. Kiedy doszli do małej, ten nowy zaraz zlecił badania jakiegoś. Tego kapacza dziecku zmienił. Po tygodniu żywą wypisał, tylko instrukcje dał, jakie leki podawać i żeby za miesiąc wrócić, skontrolować. Rok minął i mała zdrowa.

- Wytarła nos w rękaw. - Dzisiaj nareszcie choć część długu spłacę. Gdyby nie twój ojciec, znicze bym na Bródnie paliła, a ty wykrwawiałbyś się teraz za oknem. - Z kieszeni kozucha wyjęła pistolet i oddała go Stachowi.

- Dziękuję - powiedział, chowając broń.

- A teraz słuchaj i pij herbatkę, bo stygnie. Z tym fiołkowym staruszką sprawdziłam sprawę. Nie mogę ci go podstawić, bo klient polityczny. Za dużo mam gęb do wykarmienia, żeby do butów czerwonym srać. Rozumiesz?

- Tak - odparł Stach, przerywając sączenie cuchnącego szmatą naparu.

- Ale na Ząbkowskiej trzydzieści osiem mieszka szewc, Staroń się nazywa, i gdzieś tego twojego kwiatka trzyma. Po wczorajszym tamten się nie wychyla, nikt go nawet przed kamienicą nie widział, a postawiłam tam chłopaka, żeby się kręcił. Tyle mogę.

Zocha wstała i podeszła do kotary oddzielającej zakład od zaplecza.

- Edek, odśwież pana! - krzyknęła do fryzjera, po czym znów zwróciła się do Stacha. - Idę. A ty odpocznij chwilę. Edzio o ciebie zadba, ogoli, żebyś ulicy nie straszył, może trochę tego guza przypudruje. A herbatkę do dna wypić - rzuciła, wychodząc na Ząbkowską.

\*\*\*

W zakładzie spędził godzinę. Zioła uspokoiły rozedrgany organizm, a Edzio zgolił jego poranny zarost i opowiedział kilka praskich historii. Dowiedział się między innymi, że stara Zocha przejęła schedę po bazarowym królu, Leszku Kulasie. Podziękował za gościnę i wyszedł na rześkie powietrze. Czuł się dużo lepiej. Doskwierał mu głód, więc najpierw poszedł na bazar i zjadł porcję pierogów. Na stoisku nie było chłopaczka pilnującego zastawy, a klientów

obsługiwała młoda dziewczyna o smutnym spojrzeniu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić do kochanki i razem z nią ująć profesora. Ale zaraz uznał, że pewnie wyszła już z domu. Zresztą rozmowa z Gerkiem, w porównaniu z wydarzeniami ostatniej doby, wyglądała na dziecinną zabawę. Marzył o kawie, ale bazar Różyckiego nie oferował aż tak luksusowych produktów. Z targowiska wyszedł przez bramę na Brzeskiej.

Na Markowskiej skręcił w podwórka. Staął na tyłach Ząbkowskiej trzydzieści osiem, zapalił i chwilę patrzył na elewację budynku. Na wszelki wypadek starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Jeśli Gerke naprawdę się tu zadekował, to miejsce wybrał idealnie. Wiadomo, pod latarnią najciemniej, a po drugiej stronie Ząbkowskiej, w zabudowaniach dawnej wytwórni wódek, mieściła się praska Służba Bezpieczeństwa.

Skończył palić i podszedł do wejścia na klatkę schodową. Zbigniew Staroń okazał się wiekowym kierownikiem mieszczącego się w oficynie szewskiego punktu usługowego, a razem z rodziną zajmował lokal na drugim piętrze, pod numerem cztery. Przez sięgające poziomu chodnika okienko widział, że szewska robota wre. Pomarszczony staruszek wywijał młotkiem, pouczając młodziutkich terminatorów. Kierowniczy stołek, nawet w tak małym punkcie jak ten, sytuował go odrobinę wyżej na drabinie społecznej równości. Była więc szansa, że mieszkanie zajmuje tylko jego rodzina. Nie pomylił się. Drzwi na drugim piętrze zdobiła jedna tabliczka

z nazwiskiem. O tej godzinie ewentualne wnuki powinny być w szkole, a dzieci i ich małżonkowie w pracy. W mieszkaniu niemal pewna była obecność żony szewca. Chyba że sezon grypowy powalił całą rodzinę. Stach zdecydował się działać według scenariusza „sprowokować i obserwować”. Wyciągnął portfel i zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zapukał jeszcze raz, mocniej. Drzwi otworzyła staruszka, zgarbiona kobiecina szczelnie zawinięta w podomkę.

- Pani Staroń?

- Słucham?

- Jestem z elektrociepłowni. - Pokazał kartę z wyraźnym stemplem zakładu pracy.

- Ale u nas węglem się grzeje - odparła, trzymając Stacha w drzwiach.

- No właśnie. Rusza ciepło dla Pragi, Żerań pracuje i podłączamy kolejne ulice. Przygotowujemy mieszkańców. Informujemy, jak przekształcić zabudowę, żeby grzejniki można było podłączyć. Muszę zobaczyć lokal.

Staruszka wciąż blokowała wejście, wyraźnie mu nie ufała. Zerkała na jego guza.

- Siniak? - zapytał, wskazując czoło palcem. - Wczoraj miałem inspekcję przy Różyckiego i lokatorzy wyraźnie nie chcieli taniego ciepła. Właśnie! Musi pani wiedzieć, że jak podłączymy, komorne stanieje o siedemdziesiąt procent.

Staroniowa westchnęła i wpuściła go do domu. Poprosił o wskazanie kuchni, a potem kolejnych pokoi. W mieszkaniu poza nią nie było nikogo. Wszędzie panował

porządek. Nic nie wskazywało na obecność niespodziewanego gościa z zagranicy. Jeden pokój używany był jako sypialnia, drugi stanowił połączenie salonu z jadalnią. Zajrzał pod stół stojący pod oknem, udając, że ogląda przestrzeń przy ścianie. Docenił urodę kaflowego pieca, informując, że już niedługo nie będzie potrzebny. Wrócili do przedpokoju. Stach podziękował kobiecie za wpuszczenie do mieszkania i wyszedł na klatkę schodową. Staruszka zamknęła drzwi, w których na szczęście brakowało wizjera, nie mogła więc sprawdzić, czy człowiek z elektrociepłowni odwiedza kolejne mieszkania. Zaczaił się na podwórku, za śmietnikiem, w miejscu, z którego widać było okna klatki schodowej. Nie minęła minuta, a Staroniowa już biegła po schodach do warsztatu męża. Upewnił się, że jest na dobrym tropie. Niestety okienko szewca umieszczone było poza zasięgiem jego wzroku, nie dojrzał wymiany zdań pomiędzy małżonkami. Po chwili oboje ruszyli po schodach. O dziwo, ona weszła z powrotem do mieszkania, a on poszedł na górę, na poddasze. Stach popatrzył na wystające poza granicę dachu strychowe okna. Nie dojrzał w nich żadnego ruchu. Zapalił jeszcze jednego i akurat, kiedy zanosił się nikotynowym kaszlem, Staroń opuścił poddasze i wrócił do warsztatu. Stach ruszył w kierunku klatki, starając się unikać szewskiego okienka.

Doszedł na ostatnie piętro, drzwi były zamknięte na kłódkę, ale otwierały się do wewnątrz, więc bez problemu wyłamał je kopniakiem. Teraz trzeba było działać szybko, narobił hałasu i mógł spłoszyć uciekiniera.

Otaczał go półmrok. Panowała cisza. Pomacał ścianę i znalazł pokrętko włącznika światła. Żarówka zapaliła się, migocząc. Zobaczył duże pomieszczenie na długość całej kamienicy. Po lewej przestrzeń z krzywizną dachu zawalona była kłopotami, po prawej wymurowano szereg sporych rozmiarów schowków. Na końcu zobaczył drzwi prowadzące zapewne do sąsiedniego budynku. Idealna droga ucieczki, pomyślał i ruszył przed siebie. Nie dało się zachować całkowitej ciszy, bo deski podłogowe skrzypiały. W każdej chwili spodziewał się ataku. Przez szparę we framudze pierwszego pomieszczenia zobaczył stary rower i regał wypełniony gazetami. To tutaj znajdowało się jedno z okien. W sąsiedniej komórce spodzie wał się ujrzyć cel swojej podróży. Wyciągnął zza paska visa i podszedł do drugiego schowka. Nagle otwarte od wewnątrz drzwi uderzyły Stacha w uzbrojoną dłoń. Upuścił pistolet. Z pomieszczenia wypadł mężczyzna i biegiem ruszył do wyjścia po drugiej stronie strychu. Stach rzucił się za nim w pogoń.

- Stój! - krzyknął w biegu.

Uciekinier zwolnił. Wydawało się, że posłuchał, ale zrobił to, żeby otworzyć kolejne przejście. Zabezpieczał je prosty rygiel. Mężczyzna wypadł na odrapaną klatkę schodową sąsiedniej kamienicy i rzucił się w kierunku schodów. Stach zdecydował się na skok. Odbił stopy od framugi i padając, złapał tamtego na wysokości kolan. Zbite zebro zabolalo. Ścigany runął na schody, osłaniając głowę rękami. Kiedy uderzył łokciem w drewniany schodek, wydał z siebie rozpaczliwy jęk. Ręka wzięła na siebie ciężar

upadku, ale głowa i tak odbiła się od ściany. Stach podciągnął oszołomionego mężczyznę na piętro. Przez chwilę siedział na plecach uciekiniera, po czym pomógł mu wstać i trzymając go za kark, zaprowadził do opuszczonego pomieszczenia. Sześćdziesięcioletni mężczyzna stracił wolę walki. Trzęsły mu się ręce, był zlany potem. Nie doskwierało mu zmęczenie krótkim biegiem, a głód. Organizm potrzebował „odprężenia”.

\*\*\*

- Wyjścia są dwa. Grzecznie wracasz i rozmawiasz z kim trzeba, wtedy może coś ugrasz i ocalisz skórę. Albo mówisz mi na miejscu, gdzie schowałeś materiały, i do końca życia ukrywasz się po tej stronie Wisły. Wtedy polują na ciebie nasze asy i miejscowe bezpieczeństwo spragnione skarbów, które nosisz w obitej główce.

Siedzący na krześle Gerke masował stłuczoną kość policzkową. Lewa ręka zwisała mu bezwładnie wzdłuż ciała. Patrzył na Stacha, a w jego oczach widać było strach przed wymierzoną w czoło lufą i trzymającym pistolet człowiekiem. Człowiekiem, który sam się bał, że profesor wybierze drugą opcję i blef z puszczaniem go wolno zamieni się w egzekucję. Stach strzelał już do ludzi, ale nigdy żadnego nie zabił. Widział dosyć śmierci, wałęsając się w dzieciństwie wśród ruin Warszawy. Nie chciał pozbawiać go życia. Gerke milczał.

- Tam została twoja żona i dzieci, wrócisz, to jeszcze ich zobaczysz. A tu co? Znowu zaczniesz życie od nowa



i zgnijesz w jakimś ośrodku za Uralem?

- Ja... - Po policzku profesora popłynęła łza, żłobiąc na brudnej twarzy czystą ścieżkę. - Ja spanikowałem... - pociągnął nosem i powoli kontynuował. - Kiedy przyszło tych dwóch, byłem jeszcze na roboczych wspomagaczach. Myślałem automatycznie. Zaskoczyli mnie. Jednego trafiłem, a drugi ruszył za mną. Ale udało się, uciekłem. Miałem dokumenty na inne nazwisko. Już dawno je kupiłem na taką okazję, bo wiedziałem, że ten dzień nadejdzie. Trzeba będzie uciekać. A gdzie, jak nie na tę stronę, kiedy chcą się do ciebie dobrać ludzie z samego świecznika?

- Idziesz ze mną?

Stach zaczynał się niepokoić. Ich szamotanina mogła zwrócić czyjąś uwagę, a Staronie, szczególnie po wczorajszym incydencie u Zośki, już pewnie organizowali przerzut uciekiniera do bezpiecznego lokum. Poza tym profesor, snując swoją opowieść, niebezpiecznie się rozkręcał.

- Człowieku, jak? Ty wiesz, co jest w tych dokumentach? Myślisz, że przeżyję przesłuchanie?

- Ktoś taki jak ty, taki mózg, zawsze będzie potrzebny. Nic ci nie grozi.

- Wiesz, co tam jest? - zadając pytanie, Gerke dziwnie się ożywił. - Zrozumiesz, powiem, ludzie muszą wiedzieć.

- Nie chcę tego słuchać. Idziesz ze mną.

Stach podszedł do profesora, złapał go za zranioną rękę i pociągnął. Mężczyzna nawet nie pisnął. Zacisnął zęby, po policzkach pociekły kolejne łzy, ale twarz była pełna złości.

Przekrwione oczy patrzyły na funkcjonariusza trzymającego pistolet.

- Oni mordują. Na masową skalę. Mordują ludzi!

\*\*\*

Była na siebie zła. Wyszedł po cichu i jej nie obudził. Dawno nie spała tak twardo. Dawno też nie miała kochanka skupionego nie tylko na sobie. Domyśliła się, dokąd pójdzie, nie miał innego wyjścia jak kontynuować śledztwo tam, gdzie je brutalnie przerwano. Z powrotem pchał się do paszczy lwa. Wolała go ubezpieczać, więc szybko się ubrała i wybiegła z domu. Przez wydarzenia poprzedniego dnia zapomniała zadzwonić do pracy i poprosić o urlop zdrowotny. Trudno, straciła świetną przykrywkę i musiała zakręcić się za nową robotą zapewniającą jej obowiązkową kartę pracy.

Dojrzała go przez witrynę zakładu fryzjerskiego. Jakby nigdy nic gaworzył sobie z najniebezpieczniejszą kobietą na starej Pradze. Była pod wrażeniem. Po wyjściu królowej Różyca marudził tam jeszcze z godzinę. Kiedy opuścił lokal, ruszyła za nim. Za długo krążył po bazarze i wokół domu na Ząbkowskiej. Palił papierosy, gapił się w okna, wszedł do kamienicy, wyszedł, posiedział za śmietnikiem, marnował czas, zamiast od razu przejść do rzeczy. Choć po prawdzie wcale się nie dziwiła. To nie był jego teren, a i robota nie w jego stylu.

Znowu ruszył, kiedy szewc wrócił do warsztatu. Po chwili z zakładu wyszedł młody chłopak i pognął

w kierunku Targowej. Poczekała, aż na podwórku nikogo nie będzie, i poszła tropem Kubiaka. Kiedy była już w środku, usłyszała dźwięk otwieranych na górze drzwi. Po sapaniu poznała, że to jakaś starowinka wychodzi z domu. Nie mogła ryzykować rozpoznania. Sprawa powinna być czysta. Tylko ich dwóch, żadnych dodatkowych osób widzianych przez ewentualnych świadków. Wycofała się za śmietnik. Staruszka długo pokonywała schody, co chwilę przystając. Dziewczyna przeklinała w duchu jej niedołężność, która utrudniała akcję i dawała jej celom zbyt dużo czasu na działanie. Na szczęście stara kobieta opuściła klatkę drzwiami prowadzącymi wprost na Ząbkowską.

Na wszelki wypadek drogę na strych pokonała, spokojnie wspinając się po schodach. Biegnącego na górę człowieka mógł zauważyć ktoś z podwórka, a takie rzeczy pamięta się podczas zeznań. Minęła wyważone drzwi i dopiero teraz wyciągnęła broń trzymaną wcześniej w płócienną torbie na zakupy. Miała zareagować natychmiast, kiedy Kubiak znajdzie poszukiwanego mężczyznę, ale prowadzona przez nich rozmowa okazała się wyjątkowo ciekawa. Wytężyła słuch. Wiedziała, że odpowiednio pogrywając ze swoimi zwierzchnikami, może wykorzystać informacje i opuścić Polskę już w przyszłym tygodniu. Przyczaiła się za ceglany murkiem i spokojnie słuchała wyznań profesora Gerkego.

- ...nigdy cię nie zastanowiło, że największe ogniska zarazy są po naszej stronie Wisły? Co jakiś czas

kwarantanna odcina jakiś obszar. Tak jak ostatnio pod Warszawą... I wiesz, co tam robią?

- Mów - odparł drugi, zrezygnowany głos.

- A myślałeś, że co się dzieje z komunistyczną opozycją? Że gdzie znikają odkryte siatki? Co robią ze spalonymi agentami? Ciężkich przestępców też pewnie wysyłają.

- Ale po co?

- Tak wygodniej. Ludzie się boją powtórki z wojny. Zarazy. Świecznik stara się to podtrzymać, wykorzystać strach. Mówią, że robią wszystko, żeby zlikwidować zagrożenie. Ale najlepsze jest to, co się tam dzieje. Myślisz, że ta cała broń, która trzyma ruskich z daleka od nas, powstaje gdzieś daleko? W bunkrze na amerykańskiej pustyni? W laboratorium na bezludnej wyspie gdzieś na Morzu Północnym? Nie, to my ją robimy. Ja też. Wszystko oparte na ich teorii, której praktyczne zastosowanie sprawdza się w polskich obozach. Bez eksperymentów na ludziach nie znamy pełnego zastosowania kolejnego wirusa. Nie wiemy, które elementy wykluczyć, jak kontrolować rozprzestrzenianie. Po to są obozy. Łagry, gdzie pracą jest umieranie. Od wojny prawdziwych ognisk zarazy było zaledwie pięć. Reszta to polowe ośrodki badawcze. Właśnie teraz, tam, pod Kampinosem, oddział przygotowawczy wjeżdża do odciętej wioski. Wybiera rodziny, które akurat mają normalną grypę. Ci zostają na miejscu jako nosiciele pierwszego stadium. Zdrowa reszta jedzie do fałszywej kwarantanny, przez tydzień siedzą tam, chłepcząc herbatę i biorąc placebo, potem się ich przesiedla na drugi koniec

Polski. Do tych, co zostali, dołącza się zbiórkę z ciężkich więzień i aresztów politycznych, mają szansę naprawdę przysłużyć się ojczyźnie...

- Byłeś tam?

- Ściągałem ropę z ran, wydzieliny płucne, badałem wypatroszone narządy po sekcjach. Kiedyś jeszcze zbierałem próbki, teraz już tylko analizuję. Wypaliłem się. Pewnie główkujesz, co się zmieniło? - Profesor przełknął głośno ślinę. - Dzieci. Jak tylko któryś z moich chłopców ma katar, panikuję, że coś przywlokłem do domu.

Stach starał się opanować emocje. Na analizę tego wszystkiego przyjdzie jeszcze czas, teraz musiał działać i myśleć racjonalnie. Skupił się. Czy wspomnienie własnych dzieci pozwoliło jego rozmówcy choć na chwilę zapomnieć o beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znajdował? Widział jego papiery, znał życiorys i nie wątpił w prawdziwość jego części dotyczącej wojny. Wiedział, że Gerke zamienił pracę dla nazistów na wsparcie swoją wiedzą zachodniej strony. Zdecydował się sprowadzić rozmowę na inny tor.

- Przecież to powtórka z wojny. To przemysłowe mordowanie...

- Dla utrzymania ładu. Wygrania pojedynku z Sowietami. Podtrzymania władzy i...

- Nie pierdol mi tu, Gerke.

Stach wycelował mocnego kopniaka w obolałą rękę mężczyzny. Tamten wył przez chwilę, dopóki na jego ustach nie zacisnęła się dłoń Kubiaka.

- Jesteś pierdoloną nazistowską mendą, która w dupie ma zamęczonych ludzi. Lubisz eksperymentować. Kochasz sprawdzać, po którym z twoich góvien człowiek gnije żywcem, a po czym wpada w szal i zabija aż pęknie mu serce. Myślisz, że nie pamiętam, że nie widziałem waszych eksperymentów? Byłem tu, byłem w Warszawie, kiedy zarążeni rozrywali własne dzieci!

Gerke opadł z sił, więc Stach odsunął dłoń od jego ust i wymierzył mu potężny policzek. Mężczyzna spadł z krzesła na zdrową rękę.

- Gdzie schowałeś dowody?! Gdzie są papiery, które chciałeś przehandlować z ruskimi? Planowałeś spokojne przejście na drugą stronę, tylko noga ci się powinęła. Wpadłeś i spierdoliłeś bez papierów. Gdzie one są?!

- Po co ci to? - wyszeptał mężczyzna wijący się na podłodze.

- Powiedz, gdzie je schowałeś, ścierwo, a zostawię cię tu żywego.

Gerke wytarł dłonią twarz, rozmazując krew płynącą z nosa.

- Pod boazerią. Na prawej ścianie od drzwi wejściowych, przedpokój Jarzyny, sąsiada... - wystękał.

Dało się słyszeć cichy świst. Mężczyzna na ziemi drgnął, a z jego czoła zaczęła sączyć się krew. Osłupiały Stach dopiero po chwili zauważył dziurę w jego głowie. Kiedy wpadł na to, co się właśnie stało, było już za późno. Do pomieszczenia weszła jego kochanka. Trzymała

wycelowany w niego pistolet, ale po chwili opuściła uzbrojone ramię.

- Groza narasta. Spłoną miasta. Runą laboratoria - wyrecytowała, wpatrując się w martwego profesora.

- Że co?

- Rozmowa skończona - ocknęła się. - Obiekt wyeliminowany.

Podeszła do leżącego na ziemi ciała i szturchnęła je nogą. Ze Stacha uszło powietrze. Podeszedł do ściany i oparł się o ceglana powierzchnię. Otarł pot z czoła.

Dziewczyna zostawiła trupa i ruszyła w stronę okna. Odwróciła się i spojrzała na niego, uśmiechając się zawadiacko.

- Został jeszcze obiekt numer dwa.

Czuła się pewnie. Zaopatrzoną w tłumik broń trzymała opuszczoną. Stach natychmiast uniósł swój pistolet i wymierzył w jej pierś. Zareagowała, mówiąc spokojnie:

- No co? Pozbywamy się świadków. Taki był plan. Nie wiedziałeś?

Nacisnął spust, ale vis nie wystrzelił.

- Och, zepsuty.

Uniosła rękę, lufa celowała teraz w głowę Stacha. Miał niewiele czasu na reakcję. Oceniał jej masę, odległość od uzbrojonej dłoni i elementy pobliskiej przestrzeni. Napiął mięśnie i odchylił się w prawo, po czym odbił od ściany i rzucił na dziewczynę. Pistolet wystrzelił, po skroni Stacha prześlizgnęło się coś gorącego. Trafił barkiem w jej klatkę piersiową. Część siły uderzenia pochłonęło niskie okno za

nią, ale energii wystarczyło, żeby wypchnąć dziewczynę na zewnątrz. Posypało się szkło i kawałki spróchniałego drewna. Uderzyła plecami o krótki daszek za oknem. Głową walnęła o wystającą rynnę, po czym zsunęła się z dachu. Stach zdążył złapać się framugi i patrzył jak jego marzenie o idealnej randce znika za linią dachu.

\*\*\*

Siedział w krzakach na nadwiślańskim piasku. Był chłodny wieczór. Draśnięcie na skroni, podrażniane przez naciśnięty głęboko kapelusz, pulsowało bólem. Patrzył na odległe światła drugiej strony Wisły. Wiedział, że gdyby wskoczył do lodowatej wody, prąd wyrzuciłby go gdzieś na wysokości portu czerniakowskiego. Obliczał, jakie o tej porze roku miał szanse na przeżycie zimnej przeprawy. Ryzyko wzrastało z powodu obecności straży granicznej. W duchu gratulował sobie braku zaufania do oficjalnych dróg ewakuacji. Po tej stronie rzeki każdy kontakt przysłany przez szefa mógł być egzekutorem. Dopiero pojawienie się w urzędzie i złożenie oficjalnego meldunku dawało mu jako taką szansę na przeżycie. Ojca nie mógł prosić o pomoc w wydostaniu się z Pragi, wiedział, że dwa trupy w miejscu, na które ten dał mu namiar, już dostatecznie utrudniły Tadeuszowi życie. Na szczęście przed wyjazdem z Zachodniej Warszawy odwiedził Sikorę, żeby odebrać dług wdzięczności. Paser zdziwił się, że tak szybko, i zażądał opłaty dla współpracowników, oczywiście rezygnując ze swojej prowizji. Załatwił Stachowi pasażerskie miejsce na



przemytniczej łódce. Wystarczyło, że uciekinier zjawił się we wskazanej melinie na Kamionku i tam przeczekał do wieczora, dezynfekując rany lewym spirytusem i dając pozszywać skroń dalekiej kuzynce Sikory. Kobieta przed wojną zaliczyła klasę szkoły pielęgniarstwa. Kiedy późnym popołudniem zjawił się jej mąż, musieli jeszcze wypić po słoiczku i rozgrzani ruszyli do odpowiedniej dziury w granicznym płocie. Teraz bimber przestał działać, a otrzymana od przemytników połatana kurtka wcale nie chroniła przed zimmem. Jego zęby wygrywały melodię rodem z Pendereckiego, eksportowej gwiazdy PRL-owskiej muzyki współczesnej.

Zza krzaków wyłoniła się łódka. Sprawny wioślarz prowadził ją w niemal całkowitej ciszy. Przybiła do brzegu. Dwaj towarzyszący Stachowi mężczyźni zaczęli znosić do niej skrzynki z obwiniętymi w szmaty butelkami wódki. Kiedy skończyli, na pokład wszedł pasażer. Kapitan łodzi kazał mu położyć się na dnie, zawinąć w stos leżących tam worków i nie ruszać na wypadek wykrycia i potrzeby dania łapówki, której cena wzrastała wraz z obecnością żywego towaru. Dno łodzi było suche, podobnie worki. Mężczyźni na brzegu odepchnęli łódź. Zawinął się w szorstką tkaninę i poczuł błogie ciepło. Słyszał tylko fale uderzające o burtę. Zaufał swojemu sternikowi, który, jak zapewniał Sikora, wiślane szlaki przemytnicze znał lepiej niż pryszcze na tyłku swojej starej. Stach był coraz bardziej zmęczony, po chwili zasnął.

### 3.

Zgrabna kelnerka przyniosła zamówienie. Na stoliku przy oknie postawiła gęstą kawę, parzoną z nie najlepszej jakości ziaren, ale stawiającą na nogi lepiej niż pochodne amfetaminy, którymi raczyła się większość przechodzących za oknem ludzi. Stach podziękował z uśmiechem i poprosił jeszcze o kieliszek winiaku. Stwierdził, że skoro za chwilę skończy się jego kilkudniowy koszmar, w którym o mały włos nie stracił życia, to jest co świętować. Spojrzał na zegarek. Do przyścia Ryszarda miał jeszcze kwadrans. Wyciągnął paczkę papierosów, które kupił jeszcze na Pradze. Rozejrzał się po gościach lokalu. Jeden zanurzony w lekturze gazety i drugi pochłaniający zestaw śniadaniowy. Spokojne przedpołudnie, nie rzucą się sępić papierosy. Specjalnie usiadł w Corso na placu Zbawiciela. Poza tym, że Rysiek pracował za rogiem, lokal ten był jednym z ostatnich, do których nie zawędrowała zachodnia moda na niepalenie. Moda, którą w Polsce wymuszono, podnosząc ceny i czyniąc papierosy towarem delikatesowym. Dlatego dawni smakosze, szukając okazji, co chwila zaczepiali palaczy i prosili o poczęstunek. Zaciągnął się gryzącym dymem i zajął pod sumowywaniem wydarzeń ostatniego dnia.

Po powrocie z Pragi zgłosił się u nocnego dyspozytora i na wszelki wypadek poprosił o nocleg znajomych z Powiśla. Gospodynię, lekarkę w śródmiejskim szpitalu, zszokował jego wygląd, ale szwy na skroni oceniła jako

profesjonalne. Wolał nie wracać do hotelu ani do matki. Dopóki nie porozmawiał z szefem, nie czuł się bezpiecznie. Rano pożyczył od gospodarza kurtkę, bo w łachmanie od przemytników nie wypadało chodzić po ulicach, a tym bardziej pojawiać się na dywaniku. Ruszył przez miasto, chyba po raz pierwszy w życiu doceniając jego urodę i czystość. Nawet wszechobecne tablice z reklamami środków i rozwiązań na każdą kieszeń cieszyły go swoją barwą i wymuszonym przecież pozytywnym przekazem.

Wróblewski nie miał wesołej miny. Zachowywał dystans, trzymając go przy drzwiach i nie pozwalając, jak poprzednio, usiąść na modnym fotelu. Przypuszczał, że na małomówność szefa wpłynęła poranna lektura jego raportu i doniesienia o śmierci agentki. Zabójstwo profesora nie osłodziło mu poranka. Nie wiedział przecież, ile Gerke zdążył powiedzieć Stachowi. Podsunął podwładnemu najświeższe wydanie praskiego dziennika. Na pierwszej stronie informowano o szpiegowskich porachunkach, prowokacji zachodniej Warszawy i oburzeniu władz.

- Czytałem raport, ale opowiedz jeszcze raz o wszystkim - zaproponował, mieszając łyżeczką w szklance z herbatą.

- Dostałem namiar od ojca. Trochę to trwało, zanim wyciągnąłem adres od ludzi z Pragi. Musiałem tam nocować. Następnego dnia zjawiłem się w lokalu, w którym ukrywał się Gerke. Złożyłem mu ofertę szybkiego powrotu. Milczał. Chyba się zastanawiał. Wtedy wkroczyła dziewczyna. Jeszcze raz zaoferowała pomoc w powrocie na

naszą stronę. On się ożywił. Zaczął krzyczeć, że się nie da, że choćby miał zginąć, nie powie, gdzie ukrył dokumenty. Wtedy ona wyciągnęła broń, a on nas zaskoczył. Rzucił się na nią tak niefortunnie, że wypadła przez okno. – Stach opracował całą historię już dzień wcześniej. – Kiedy do niej biegł, próbowała jeszcze strzelać, ale ramieniem podważył broń i drasnęło mnie. – Wskazał szwy na skroni. – Zanim się pozbierał, zdążyłem podnieść pistolet. Musiałem szybko działać, ludzie na dole pewnie już się zbiegali. Ocenilem sytuację i stwierdziłem, że najlepszym wyjściem jest zastrzelenie go na miejscu. Tak też zrobiłem. Udało mi się uciec, ale bałem się, że ewakuacja może być spalona, więc przedostałem się kanałem, który zorganizował ojciec.

– Widziałeś się z nim potem?

– Nie, już rano pierwszego dnia powiedział mi, gdzie i o kogo pytać, gdybym potrzebował pomocy.

– Gerke nie zdążył nic powiedzieć? Nie zostawił żadnej poszlaki?

– Nic. Wszystko działo się zbyt szybko. Gdyby ktoś dotarł do tego szewca, może jemu coś wygadał?

– Po południu chcę mieć to na biurku. Ze szczegółami, sekunda po sekundzie.

– Dziękuję.

– Za co?

– Za szansę spotkania z ojcem.

Sentymentalną nutą Stach chciał odrobinę zdezorientować rozmówcę.

- Nie ma sprawy - odparł Wróblewski i wyprosił go z biura, pozostawiając z wrażeniem, że nie we wszystko uwierzył.

Tylko Stach przeżył akcję, w której miał zapewne zginąć. Wrócił bez wartościowych dokumentów. Zastanawiał się, czy jest już bezpieczny. Od nocy widziało go kilkanaście osób. Zgłosił się u dyspozytora, w urzędzie rozmawiał z kilkoma kolegami z trzeciej zmiany, spał u znajomych, a nawet zadzwonił do Domagały, żeby zapytać, kiedy pójdą na odłożoną kolację, i zaoferować pomoc w domknięciu śledztwa. Za dużo osób do uciszenia, część z nich lubiła Stacha i drażyłaby temat jego zniknięcia. Oczywiście, jeśli szef postanowił się go pozbyć. Wróblewski nie wiedział, czy jego podwładny wyniósł z operacji coś poza lekkimi obrażeniami. Mógł jeszcze zadziałać, przekupując Stacha i spełniając choć część obietnic sprzed akcji na Pradze. Tak też się stało. Kiedy wychodził z budynku, został zatrzymany przez jednego z oficerów i zaproszony na obowiązkowe testy, które przechodzić musiał każdy nominowany na wyższe stanowisko. Dostał tydzień na przygotowanie się do egzaminu sprawnościowego.

Stach przypuszczał, że może być śledzony. Dostał dzień wolnego i zdecydował się zrobić coś najmniej podejrzanego - spędzić czas u matki. Całą drogę na Wolę dyskretnie się oglądał, ale żadnych pleców nie zauważył. Mimo tego, nie tracił czujności. Po drodze zatrzymał się na Górczewskiej i kupił kilka paczków u Zagoździńskiego, najlepszych

w całej Warszawie, jak głosił szyld. Matka je ubóstwiała. Najpierw go ochrzaniała za znoszenie do domu tłustego, a potem dziękowała pięknym uśmiechem, który rósł na przeżuwającej słodkości twarzy. Kilka godzin siedzieli i rozmawiali o troskach samotnej emerytki, parę razy kusiło go, żeby opowiedzieć o spotkaniu z ojcem. Nie mógł, bał się, że nawet ta wiedza może narazić ją na niebezpieczeństwo. Wieczorem poszedł na spacer po cmentarzu prawosławnym, nadal miał wrażenie, że nikt za nim nie chodzi. Z budki na rogu zadzwonił do Ryszarda i umówił się na „bardzo ważną kawę”. Został u matki na noc.

Wcześniej rano ruszył na miasto. Jako że z powrotem pracował przy porzuconym śledztwie, nie było nic dziwnego w tym, że udaje się na miejsce przestępstwa. Wszedł do mieszkania profesora. Przesunął dłonią po świeżo położonej w przedpokoju boazerii. Obejrzał ślady krwi na podłodze. Poszedł do kuchni i chwilę grzebał w szafkach pod zlewem. W końcu wyciągnął stamtąd krótki łom.

- Nada się - powiedział, mierząc jego ciężar.

Wrócił do przedpokoju i zaczął się przy wizjerze, obserwując klatkę schodową. Miał nadzieję, że sąsiad nie zmienił planu dnia i tak jak większość urzędników na podobnych stanowiskach, wyjdzie z domu przed dziewiątą. Nie mylił się. Kwadrans po ósmej mieszkanie naprzeciwko opuścił Jarzyna w towarzystwie młodej, zadbanej kobiety. Stach odczekał jeszcze pięć minut, po czym ruszył do drzwi prokuratora. Na wszelki wypadek zapukał. Nikt nie

pospieszył z odpowiedzią, założył więc rękawiczki i zestawem wytrychów, który nieoficjalnie wchodził do podstawowego wyposażenia każdego śledczego, pokonał dwa zamki. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i wyjął łom. Zaczął rozpruwać ścianę, odrywając deski boazerii. Podobne wykończenie przedpokoju profesora odsłaniało szczegóły misternego planu ukrycia dokumentów. Gerke obserwował remont u sąsiada i powiedział mu, że u siebie też zrobiłby boazerię. Często wpadał i przyglądał się pracy wynajętych przez prokuratora robotników. Zamówił ekipę na najbliższy wolny termin i poprosił o możliwość obserwowania wykończeń u Jarzyny. Czekał na odpowiedni moment, żeby podrzucić dokumenty, ale ludzie pracujący w wąskim przedpokoju prawie wcale go nie opuszczali. Stach pamiętał, że przesłuchiwanie robotnicy zostawili wykończenie na następny dzień i wyszli od Jarzyny wcześniej, gospodarz podczas remontu nie nocował w domu. Wtedy Gerke włamał się i podrzucił dokumenty, wpychając je jak najgłębiej w szparę między ścianą a deskami. Zamiast coś wynieść, włamywacz zostawił swoją własność. Ekipa remontowa dokończyła prace po dniu przerwy, podczas którego Stach przesłuchiwał świadków, a technicy, robiąc sobie żarty z powagi zlecenia, sprawdzali ślady przy rozwalonych drzwiach. Odciski profesora były oczywiste w mieszkaniu, które tak często odwiedzał podczas remontu.

Plan wyglądał na aż nadto skomplikowany, były setki innych sposobów ukrycia kłopotliwych papierów. Stach znał

ten sposób działania, typowy dla pracowników umysłowych, którzy, tak jak on sam, służbowo zażywali farmaceutyki wspomagające myślenie. Często komplikowali, nie zdając sobie sprawy z tego, że prostsze rozwiązania mogą być tak samo skuteczne. Niejednokrotnie utrudniało to pracę organów śledczych, mnożąc tropy, ale też doprowadzając do przypadkowych odkryć. Jak w przypadku jednego analityka, który planował zabić żonę ostrzem zrobionym z lodu. Przed kluczowym momentem doszło do awarii prądu, narzędzie zbrodni się rozpułyło i mężczyzna musiał ratować się obmyślonym na poczekaniu sposobem usunięcia małżonki. Doskonale zatarł ślady, tak że nic nie wskazywało na jego udział w zbrodni. Poza jedną rzecz – styropianową formą na lód w zamrażalniku.

Wystarczyło odprucie trzech desek, Stach nie musiał demolować całej ściany. Skórzaną teczkę owinięto szczelnie folią. Aby wywołać wrażenie przypadkowości zniszczeń, rozwalił jeszcze fragment boazerii po drugiej stronie przedpokoju. W kuchni znalazł komplet srebrnych sztućców, które wrzucił do torby na zakupy. Potem wpakował do niej jeszcze kolekcję wiecznych piór, którą znalazł w szufladzie biurka. Na widoku nie było żadnych pieniędzy, stwierdził, że tyle fantów wystarczy. Powyrzucił na środek gabinetu dokumenty z szuflad. W sypialni przeszukał szafki, robiąc przy tym jak największy bałagan. Wyszedł z lokalu. Odłożył łom tam, skąd go wziął. Zszedł do piwnicy. Minął komórkę lokatorską oznaczoną numerem mieszkania profesora. Tak jak się spodziewał, była otwarta,



a wewnątrz leżały porozrzucane deski i pobite słoiki z przetworami. Ekipa i tutaj szukała skarbów wykradzonych przez Gerkego. Podczas ostatniej wizyty w budynku zapamiętał, że na końcu piwnicznego korytarza znajduje się sporej wielkości kratka odpływowa. Wrzucił do niej fanty od Jarzyny. Pozbył się też folii. Szybko przejrzał teczkę, upewniając się, że zawiera kompromitujące dokumenty, umieścił ją na piersi i zaciągnął suwak kurtki. Opuścił kamienicę i udał się wprost na plac Zbawiciela, modląc się, żeby akurat teraz nie wyrosli przed nim tajniacy. To, że nie spotkał żadnego w drodze do Corso, utwierdziło go w przekonaniu, że Wróblewski łyknął praską historię. Zastanawiał się, czy przełknie jeszcze sfingowane włamanie do domu prokuratora. Wiedział, że za chwilę rozpęta się wielka polityczna burza na międzynarodową skalę. Drobne wpadki nie będą miały znaczenia, kiedy z góry zaczną lecieć głowy. Kto wie, czy nowym szefem wydziału nie zostanie Domagała, a wtedy zatuszowanie błędów nie będzie żadnym problemem.

Ryszard przybył punktualnie. Przywitał się, usiadł i zamówił kawę. Dał się poczęstować gryzącym papierosem zza Wisły. Zapytał, skąd tak nagląca potrzeba spotkania. Stach nie wyjaśniał. Podał mu teczkę, drżąc na myśl, że klient z gazetą lub ten kończący śniadanie może nagle wyciągnąć zza pazuchy broń i zakończyć całą historię dwoma ruchami palca. Pisaliby w jutrzejszych gazetach o egzekucji, podwójnym zabójstwie przekupnego funkcjonariusza i dziennikarza, który był mafijną

marionetką. Wymyśliliby coś w tym stylu. A wszyscy łączący zbrodnię z ciałami na Ząbkowskiej zostaliby wyznawcami teorii spiskowych. Ale nie. Nikt nie rzucił im się do gardeł, kiedy przeglądający dokumenty Rysiek coraz bardziej bladł. Wystarczyły mu pierwsze strony, żeby podnieść wzrok i zapytać:

- Masz broń?

- Tak. - Stach poklepał się po kaburze.

- Odprowadzisz mnie do redakcji - zdecydował.

Mimo że mieli do przejścia zaledwie kilkadziesiąt metrów, Stach nie protestował. Ryszard przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, tylko przyciskał do piersi wartościową teczkę. Weszli do bramy po drugiej stronie placu Zbawiciela.

- Do naczelnego chyba dotrę bez przygód. Znikaj. Odezwę się. Dobrze zrobiłeś.

- Wiem - odpowiedział Stach, ściskając dłoń kolegi. - Do zobaczenia.

\*\*\*

Zaparkowali zaraz za kościołem Najświętszego Zbawiciela. Siedzieli w służbowym fordzie oznakowanym jako taksówka. Mężczyzna w ciemnych okularach zwrócił się do pasażera na tylnym siedzeniu:

- Zdejmujesz zaraz tego z redakcji. Weź drugi samochód. My jedziemy za Kubiakiem. Dasz radę sam?

Spojrzał na rozmówcę, po czym przeniósł wzrok na jego towarzysza. Małe oczka obramowane siną opuchlizną

mrugały, czekając na słowa szefa.

- Dobra, idziesz z nim, zrobicie to bez zamieszania, a może tata dostanie od Mikołaja atlasowy szlafrok.

Kiedy mężczyźni wysiedli, ich przełożony złapał za wielką słuchawkę zamontowaną między kierowcą a fotelem pasażera. Na tarczy telefonu wykręcił numer do człowieka, który miał wielką siłę oddziaływania na przedstawicieli czwartej władzy.

Weszli do redakcji. Siedząca w głównym holu sekretarka protestowała, kiedy dwóch mężczyzn bez powitania ruszyło prosto do wielkich drzwi z napisem „Redaktor Naczelny”. Po drodze zaglądali do pokoi, w których siedzieli zapracowani dziennikarze. Niektórzy podnosili wzrok znad papierów i maszyn do pisania, ale wtedy nieproszeni goście znikali z ich pola widzenia. Jeden z żurnalistów ruszył nawet za sekretarką, która towarzyszyła intruzom, dopytując się „O co chodzi?” i „Jakim prawem?”. Funkcjonariusze śmiało weszli do naczelnego i zamknęli drzwi, przekręcając kluczyk wystający z zamka. Podeszli do Ryszarda siedzącego przed wielkim biurkiem.

- Pójdzie pan z nami - powiedział ten z podkrążonymi oczami.

Drugi pokazał odznakę służb specjalnych. Wystraszony Ryszard wstał bez słowa. Naczelny chciał protestować, ale na jego biurku zadzwonił telefon.

- To do pana. Proszę odebrać - nakazał drugi z funkcjonariuszy.

- Chyba się wam... - zaczął redaktor, ale służbista pochylił się nad biurkiem, podniósł słuchawkę i wcisnął mu ją w dłoń.

- Ważny telefon!

Naczelny w osłupieniu patrzył, jak służbiści wyprowadzają jego człowieka. Gestem dłoni uciszył protestujących pracowników, którzy zaglądali do jego biura, i skupił się na głosie w słuchawce, w kilku krótkich zdaniach zmuszającym go do zaakceptowania nietypowej sytuacji. Zanim mężczyźni opuścili budynek, wiedział już, że Ryszard od rana przebywa na bezpłatnym urlopie i tego dnia nikt go w redakcji nie widział. Z biurka zniknęła teczka, do której nie zdążył jeszcze zajrzeć. Może to i dobrze - pomyślał, odkładając słuchawkę, w ten sposób jedynym jego problemem było uspokojenie kolegów, wymyślenie jakiegoś przekonującego kłamstwa, które uciszy dociekliwy zespół. Dam radę - przekonywał sam siebie. Nie pierwszy raz zamykał usta wolnej prasie, bez tej umiejętności nie siedziałby za biurkiem szefa opiniotwórczego dziennika.

\*\*\*

Zakasłał. Głowa mu pękała. Nie otwierając oczu, namacał na niej olbrzymiego guza. Leżące na wznak ciało było zdrętwiałe. Wokół unosił się duszny odór szpitalnej dezynfekcji. Spróbował unieść ciężkie powieki. Zobaczył mrugającą żarówkę przymocowaną do metalowego sufitu, biegł do niej gruby czarny przewód. Śledząc go, dotarł do

ściany, również wykonanej z rdzewiejącego metalu. Żeby zobaczyć coś więcej, Stach musiałby usiąść. Zdecydował się wykonać serię bolesnych ruchów. To, na czym leżał, okazało się metalowym łóżkiem. Opuścił nogi, ale natychmiast wrócił ze stopami na posłanie, podłoga była przeraźliwie zimna, też z metalu. Wzrok oślepiiony światłem żarówki jeszcze nie widział, co kryje się w cieniu pomieszczenia. Dotknął pomarańczowej koszuli wykonanej z grubego płótna przypominającego dżins. Miał na sobie spodnie z tego samego materiału. Pod łóżkiem leżały dwa buty, zwykłe traperki wiązane nad kostką. Przymierzył, były w jego rozmiarze. Wstał i przytrzymując się ściany, ruszył w kierunku stojącej w rogu kozy. Przez chwilę grzał ręce, potem rozejrzał się po pomieszczeniu, wzrok już przystosował się do półmroku. Dostrzegł jeszcze trzy łóżka, takie jak jego. Przy każdym stała wojskowa skrzynia. Podeszedł do tej znajdującej się przy jego legowisku i wyciągnął kurtkę. Wojskowy krój, dużo kieszeni, tylko kolor dziwny, kamuflaż, który pozwalał ukryć się tylko w kontenerze pełnym dyń. Kontener - to właśnie przypominało mu wnętrze, w którym się obudził. Założył kurtkę i już pewniejszym krokiem ruszył do wyjścia. Po drugiej stronie wiało, musiał napierać całym ciałem, żeby otworzyć drzwi. Udało się. Oślepiło go pomarańczowe światło. Zachód słońca. Olbrzymie pole, na którym stało kilkadziesiąt takich samych metalowych kontenerów bez okien. Cały teren, z zewnątrz otoczony wysokim murem z drutem kolczastym na szczycie, wewnątrz podzielony był

na kilka stref, których granice wyznaczały niższe ogrodzenia. Nad wszystkim górowały wieżyczki strażnicze. Wokół wałęsało się kilkanaście postaci ubranych tak samo jak on. Jedna z nich ruszyła w jego stronę.

- Stach, obudziłeś się nareszcie - powiedział Ryszard głosem pozbawionym emocji.

- Gdzie...? Gdzie jestem?

- Obóz Wilków dwa, kwarantanna.

Ryszard podprowadził go do stojącej pod barakiem ławeczki. Usiedli. Dziennikarz wyciągnął z kurtki metalowe opakowanie po cygaretkach, które skrywało trzy skręty z twardej bibułki. Podał jednego Stachowi. Zapalili.

- Ale co? Jak?

Ostatnie, co Stach pamiętał, to powrót do hotelowego pokoju, po którym nagle podłoga uciekła mu spod nóg, a przed oczami zrobiło się ciemno. Nie zapytał już „dlaczego”, doszło do niego, że dołączył do ofiar sfingowanej zarazy.

- Rozmawiałem z nimi o tobie. Tutaj nie mają żadnych tajemnic. Wszystko zostaje w obozie - Ryszard zrobił pauzę. Patrzył na Stacha, a do oczu zaczęły napływać mu łzy. - Robili ci ostatnio zastrzyk?

- T... tak, na gripę, przed wyjazdem... na Pragę.

- To nie było szczepienie. Jesteś nosicielem. Każdy, kto spędził z tobą przynajmniej godzinę, kto cię dotykał, został zarażony. Nie zaraża dalej, umiera. Gorączka po upływie doby, krwotoki w ciągu następnych kilkudziesięciu godzin. Wykrwawia się. Każdy, kto nie dostał antidotum. Każdy,

kogo spotkałeś od wyjazdu. Umiera i ognisko choroby wygasa. Nowy środek. Eksperyment. Byłeś szczurem doświadczalnym i pozbyłeś się świadków. A sam nosiciel jest stabilny...

Zamilkł. W głowie Stacha wirowały setki myśli. Skupił się na tych o ojcu i matce. Ludziach, którzy

pomogli mu na Pradze, o Zośce, przemytnikach. Schował twarz w dłonie. Chciał wyć, krzyczeć, płakać, ale nie mógł zrobić nic poza zaciskaniem skostniałych palców na rozpalonej gniewem twarzy. Ryszard złapał go mocno za ramię, po czym powoli wstał i zaczął iść w stronę baraku. Żar palącego się między palcami papierosa dotarł do skóry Stacha. Syknął i rzucił niedopałek w błoto. Spojrzał na Ryszarda. Postarał się opanować, choć na chwilę wystarczającą, żeby zadać pytanie.

- A co z tobą? - krzyknął.

- Ja, ty? Żyjemy. Dali nam antidotum. Przeszliśmy do następnej fazy testów.

# INTERVALLUM

Od dawna leczyła się tylko aspiryną i tym, co dała natura. Tym razem zaparzyła sobie lipę, tabletkę chciała wziąć na noc. Dreszcze się nasilały, więc weszła pod pierzynę, wcześniej włączając radio i zabierając z szafy małą metalową skrzynkę, jedną z nielicznych rzeczy wziętych ze starego domu, kiedy w trzydziestym dziewiątym zaczęły się naloty. Wtedy uciekli z mieszkania zajmowanego tuż przy Szpitalu Starozakonnych do ciotki żyjącej samotnie w domku na Olbrachta. Peryferie Warszawy, ogródek i stadko kur. Idealne miejsce na przeżycie tych kilku miesięcy do końca wojennej zawieruchy. Jej mąż został w mieszkaniu, stamtąd miał blisko do pracy. Z miasta zwożono coraz więcej rannych, więc jego szpitalne zmiany trwały nawet kilka dni. W czasie krótkich przerw starczyło mu czasu tylko na przebranie się, spał i jadł na oddziale. Wojna się przedłużała. Po kilku tygodniach zorganizował wóz, żeby przewieźć część rzeczy na Ulrychów. Pech chciał, że akurat wtedy bomba, celująca zapewne w szpital, spadła kilkanaście metrów dalej, na ich kamienicę. Kiedy woźnica



zatrzymał się na rogu, zobaczyli tylko dym nad zgłiszczami. Tak zaczęli życie od nowa, jako jedyną pamiątkę zachowując skrzynkę po pralinkach. Jej zawartość była cenniejsza od kilku mebli, książek i wiekowej kołdry. W środku ukryte były stare zdjęcia i rodzinne dokumenty. Papiery zaczęły się z niej wylewać już jakieś piętnaście lat temu i na potrzeby nowszych zbiorów zaanektowała mocne drewniane pudełko, w którym Staszek trzymał kiedyś zabawkową kolejkę. Teraz w przedwojennym opakowaniu po czekoladkach mieściły się najstarsze fotografie. Każda opisana na odwrocie miejscem i w miarę dokładną datą wykonania.

Już wieczorem czuła się nie najlepiej, ale prawdziwych dreszczy dostała rano. Wiedziała, że gorączka zapowiada poważniejsze przeziębienie, więc robiąc podstawowe zakupy, przygotowała się na spędzenie kilku dni w domu. Powtarzała sobie, że listopad sprzyja infekcjom i trzeba swoje wyleżeć.

W radiu leciał ten rzewny utwór Schuberta, jeden z jej ulubionych. Pod plecami położyła sobie kilka poduszek, naciągnęła kołdrę pod pachy i otworzyła skrzynkę. Kilka dni temu, w Zaduszki, szukała ze Staszkiem fotografii wujostwa, często patrzyli na podobizny zmarłych po wizytach na ich grobach. Syn lubił słuchać jej opowieści o tym, jacy byli za życia, a ona z przyjemnością odświeżała pamięć. Obiecywał wtedy, że przy najbliższym urlopie zbierze dokumenty i zdjęcia, żeby popracować nad drzewem genealogicznym rodziny. Planował to już od

dobrych dziesięciu lat i do dzisiaj nie zaczął swoich badań. Ostatnio zaczęła nalegać, żeby się pospieszył, bo jak nie zrobią tego za jej życia, to w przyszłości nikt nie dojdzie, kto i z kim jest skoligacony.

- Ja mam pamięć lepszą niż stado słońi - uspokajał ją i pukając się w czoło, dodawał: - Wszystko odkładam na odpowiednie półki w najlepszym archiwum pod słońcem.

- Słonie, słońce, Afryka, toż to Biblioteka Aleksandryjska - zażartowała, przypominając ich ulubioną grę słowną.

- Poza tym, że słonie afrykańskie nie występują w Egipcie, to mniej więcej się zgadza.

Patrzyła teraz na zdjęcie siedmioletniego Stasia. Śliczny maluch trzymający do góry nogami swój pierwszy elementarz. Już wtedy tak się mądrzył. Poprawiał matkę na każdym kroku, a kiedy czegoś nie wiedział, uzupełniał wymyśloną na poczekaniu historią. A wyobraźnię od małego miał przebogata.

Spojrzała na kolejną fotografię, nastoletniego Stasia. Wtedy już kazał mówić do siebie Stach. Pamiętała, że gdzieś w czterdziestym czwartym, tuż przed tym, kiedy skończył się jej świat, przybiegł do niej nad ranem bardzo zdenerwowany.

- Mamo, straszny sen miałem. - Do dziś ma przed oczami to przejęte spojrzenie dwunastolatka. - Śniło mi się, że umarłem...

- Nawet mi nie opowiadaj...

- ...ale nie to było najgorsze. Trafiłem do czyścica...

- ...pomyłka chyba jakaś - przerwała mu opowieść.

- No daj powiedzieć. Byłem w czyścucu. Hitler też tam był. Poszedłem się poskarżyć świętemu Piotrowi. Powiedziałem, że ja chcę do góry, bo z tamtym nie będę siedział w jednym miejscu. Klucznik mi na to powiedział, że to, gdzie się trafia, zależy od bilansu, ilu się ludzi skrzywdziło i uszczęśliwiło za życia. A ten głupi malarz może i wojnę wywołał, może morduje nas i męczy, ale Niemcom dał nadzieję, miliony go kochają. Bilans ma na zero.

- No, a ty, dlaczego tam wylądowałeś? Chyba że czegoś mi nie mówisz i jak Bartoszczak żaby nadmuchujesz. Bo ten to w piekle z ropuchami jadowitymi będzie siedział.

- Ale ja nie umarłem dzisiaj, to było później, jak byłem stary.

- No to musisz się od dzisiaj starać i nikogo nie krzywdzić - odpowiedziała.

Wiele lat później przypomniał jej tę historię i powiedział, że była pierwszym z licznych argumentów za wstąpieniem do policji. Może dziecinnym, ale utkwiał mu w głowie ten Hitler w purgatorium.

Pamiętała dobrze ten czas. Wojna nie chciała się skończyć, żyli biednie, ale była szczęśliwa. Syn rósł na dobrego człowieka. O męża się bała, bo w podziemiu działał, ale rodziny tym nie obarczał. Nie opowiadał o niczym, mówił, że dla ich bezpieczeństwa. Ale kiedy był przy nich, hojnie obdarzał ich miłością.

Poznali się w 1930 roku. On był asystentem w Szpitalu Księżnej Anny. Przystojny brunet z lekką siwizną porastającą skronie. Pielęgniarki do niego wzdychały, mówiąc, że to ich oddziałowy Brodzisz. Faktycznie przypominał wschodzącą gwiazdę kina. Tyle że był bardzo małomówny. Oschły w kontaktach z personelem. W rozmowach pozasłużbowych porozumiewał się krótkimi zdaniami, do czasu zatrudnienia w biurze ordynatora nowej sekretarki. Bardzo przeżywała rozpoczęcie pracy w tak szanowanej instytucji. Osiem lat wcześniej skończyła kurs sekretarski i pracowała głównie w spółkach handlowych. Dopiero obrotna ciotka załatwiła jej rozmowę u doktora Chełmeckiego, ordynatora szpitala opalanego węglem prowadzonym ze składu założonego przez świętej pamięci wuja. To właśnie ciotka sprowadziła ją, kilkuletnią sierotę, do Warszawy. Otoczyła opieką i dała więcej miłości niż rodzona matka zdążyła ofiarować przez te kilka lat przed śmiercią. Pierwszą pracę podjęła w wujowskim składzie. Teraz obawiała się, czy podoła szpitalnym obowiązkom. Nocami spać nie mogła, myśląc o tym, jak jej błędy odbijają się na zdrowiu pacjentów. O dziwo, zadania, jakim musiała sprostać, okazały się łatwe – głównie pilnowała kalendarza ordynatora, odbierała telefony i zapisywała interesantów na spotkania.

Mniej więcej po tygodniu jej pracy do gabinetu ordynatora wszedł Tadek. Wyprężona postać niczym zjawą wyrosła przed biurkiem szefa, akurat gdy porządkowała skoroszyty w gabinecie. Odwrócona plecami nawet go nie

zauważyła. Kiedy odezwał się do Chełmckiego, westchnęła przestraszona, odwrócił się w jej stronę i było już za późno. Ich spojrzenia się spotkały. Od razu wiedziała, że to on, że nie umrze w staropanieństwie, które dla trzydziestoparoletniej kobiety było w tych czasach oczywiste. Zastygli w trwającym wieki zapatrzeniu. Otrzeźwił go głos ordynatora, który zapytał o coś, nawet nie podnosząc głowy znad przeglądanych papierów. Podczas rozmowy z pryncypałem, co chwila zerkał w jej stronę, a ona stała jak smarkula, której kolega z klasy sprzedał pierwszy niewinny pocałunek. Chciała uciec wzrokiem, ale nie potrafiła. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że tuli do piersi wielki indeks zamówień pozamedycznych. Zdecydowała się udawać oczekiwanie na uwagę szefa. Chełmecki postawił parafkę na jakimś dokumencie i podniósł głowę. Uśmiech wyrósł na jego skupionej dotąd twarzy, ale nie przestał zasypywać podwładnego lekarza wskazówkami dotyczącymi dyżuru.

- Pan mnie słucha? - zapytał akurat wtedy, gdy ich spojrzenia po raz wtóry się spotkały.

- Ja? Tak, panie ordynatorze! - odpowiedział Tadeusz, wracając wzrokiem i duchem do przełożonego.

- Kończy pan dyżur o szesnastej, zdaje się?

- Tak, o czwartej.

- A pani Helena o siedemnastej. Zaraz po pracy pan wyjdzie i pobiegnie szybko na Krakowskie Przedmieście. Tam przed kościołem powinna jeszcze siedzieć kwiaciarka. Kupi pan najpiękniejszy bukiet, najlepiej mieszany, i o piątej

stawi się przed wejściem do szpitala. To, jak spędzą państwo następne godziny, pozostawiam waszej wyobraźni. Ja poszedłbym na krótki spacer zakończony kawą w jakimś uroczym ogródku. A teraz, proszę, wracajcie państwo do obowiązków, bo dosłownie za kwadrans muszę stąd wybyć.

Kiedy skończył przemowę, posłali sobie po uśmiechu. Odłożyła indeks na półkę i schowała się w sekretariacie. Wyszedł od szefa pięć minut później.

- Polecenie służbowe, musimy się wywiązać. Czekałam na panią o siedemnastej.

- Jeśli ma pan inne sprawy, to spokojnie, ordynator się nie dowie.

- Już nie pamiętam, żebym kiedykolwiek miał inne sprawy. - Kolejny uśmiech pojawił się w kąciaku jego ust. - Do zobaczenia - zerknął na zegarek - za dwie godziny.

Boże. Pielęgnowała tę scenę w pamięci przez następne kilkanaście lat. Punktualnie o siedemnastej stał pod szpitalem z bukietem siedemnastu czerwonych róż. Usprawiedliwił się z jednego gatunku kwiatów, mówiąc, że nie chce mieszać na samym początku znajomości. Wtedy nawet przez myśl jej nie przeszło pytanie: „Czy później to już można?”. Zamiast tego przyjęła bukiet i dała się zaprosić na spacer. Czuli się jak mała dziewczynka drepcząca śmiesznie obok wspaniałego mężczyzny o sprężystym kroku. Poniosła ich rozmowa, doszli aż w okolice Dworca Gdańskiego. Chwilami się dziwiła, że coś w niej widzi. Wiedziała, że urody jej nie brakuje, ale on przecież promieniował klasą. Na jego szarmanckie

zachowanie reagowała dziecięcym chichotem. Potem się przyznał, że właśnie to roztopiło mu serce. Miał dosyć panien, które połknęły miotłę, zapominając o naturalnych odruchach.

Pierwszy rok to była bajka. Kradli dla siebie czas w pracy podczas zbyt częstych wspólnych przerw na papierosa, a później pocałunków w pobliskim parku. Po wizycie w kinie na *Urodzie życia* okazało się, że Tadeusz doskonale parodiował Brodzisza. Nawet wynajęli dorożkę i odtworzyli scenę filmowej ucieczki. Ze śmiechu nie mogła złapać tchu. Był specjalistą od aktorskich improwizacji gustującym szczególnie w scenach literackich. Kiedy podejrzwał, co czyta, zaraz zaskakiwał ją żywym nawiązaniem do aktualnej lektury. Najbardziej ubawił ją, wskazując w łazienkach do stawu i z braku nenufarów, zbierając dla niej pęk łodyg tataraku. Potem nie była już w stanie traktować poważnie westchnień Barbary do Toliboskiego. Zepsuł jej najnowszą Dąbrowską.

Pewnej letniej niedzieli znalazła się w innym świecie. Wszystkich odmieniło. Wujostwo od rana uśmiechało się tajemniczo. Zwykle to ona szykowała śniadanie, a tym razem ciotka czekała na nią przy nakrytym odświętnie stole. Nawet markotna zwykle sąsiadka powitała ją, pytając o „humor w ten piękny dzień”. Szła na spotkanie z Tadeuszem pewna, że zaraz się obudzi i nie będzie już słonecznej niedzieli, a deszczowy poniedziałek. Dopiero gdy zabrał ją nad Wisłę, zaprosił na statek wycieczkowy, wyczekał aż idący na poczęstunek ludzie opuszczą górny

pokład i uklęknął, wyciągając pierścioneł, zrozumiała, że wszyscy poza nią wiedzieli. Dzień wcześniej poprosił wujostwo o jej rękę. Zgodzili się bez wahania, bo i partia była z niego doskonała, i szczerze go lubili. Potem ciotka rozpowiedziała sąsiadkom, prosząc, żeby się nie zdradziły. Na pokładzie nie mogła odpowiedzieć inaczej niż - tak! Potem chowający się za sterówką majtek podał Tadeuszowi bukiet siedemnastu pięknie przybranych róż.

Schody pojawiły się kilka tygodni później, kiedy w końcu musiała poznać jego rodziców. Oczywiście wiedziała, że dla starej prawniczej rodziny zaręczyny z niemłoda już sekretarką, sierotą, którą wychowali handlarze węglem, oznacza megalians. Tadeusz uspokajał ją, że spotkanie ma formę wyłącznie informacyjną. Od kiedy się zbuntował i zamiast wybrać rodzinny zawód, wyjechał studiować medycynę, rodzice pojęli, że nie mają wpływu na wybory syna. Zawodową decyzję okraszył ponoć stwierdzeniem, że chce naprawdę pomagać ludziom. Nigdy nie pogodzili się z samodzielnością syna, ojciec wciąż dogryzał mu na rzadkich rodzinnych spotkaniach. Atmosfera podczas jej pierwszej wizyty w domu mecenasa Kubiaka od początku była napięta. Czuła się jak Stefcia Rudecka, kiedy przyszła teściowa zerkała w jej kierunku, wyciągając brodę tak wysoko, jakby pływała w miejscu, starając się utrzymać usta nad taflą wody. Czekala aż kobieta ogłosi zebrany: ona jest dla nas trędowata. Ale sytuację starał się łagodzić ojciec Tadeusza. Ku niezadowoleniu żony zdobył się na kilka komplementów,



chwaląc urodę pretendenci do tytułu synowej. Sam moment oświadczenia o ślubie, planowanym na koniec września, na nikim nie zrobił wrażenia. Spodziewali się, że pierwsza dziewczyna, jaką Tadek przyprowadzi do domu, zostanie jego żoną. Tylko ojciec udawał zaskoczenie.

- To cudownie - stwierdził i pocałował ją w dłoń.

- Tak - dodała matka, której nagle podniósł się poziom wody pod brodą.

Ten pierwszy wieczór z rodziną Tadeusza zakończyła rozmowa o polityce. Ojciec zaczął się zachwycać planami powołania Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Brał udział w ministerialnych przygotowaniach jako niezależny konsultant. Tadeusz zapytał o szczegóły. Rodziciel przytoczył przykłady kilku nowatorskich, jego zdaniem, rozwiązań i rozpoczęła się rodzinna burza. Narzeczonego poniosły nerwy, kiedy usłyszał, jak wysokie wsparcie, w porównaniu z bezrobotnymi, otrzymają weterani. Ojciec bronił koncepcji, wyciągając patriotyczne argumenty, co jeszcze bardziej rozsierdziło syna. W szczytowym momencie Tadeusz zaprosił ojca na swój odczyt w Towarzystwie Uniwersytetu Robotniczego i przyznał się do PPS-owskich fascynacji. Ją też zaskoczyły zainteresowania przyszłego męża, ale bardziej wciągająca okazała się obserwacja matki, która wciąż tonęła w wartkim strumieniu dyskusji. Jej broda nie była już uniesiona, a rzucała się w spazmatycznych ruchach, zależnie od kierunku kłótni zwracając się w stronę męża lub syna. Finałem tego dramatu stało się wyproszenie ich z domu i obietnica

Tadeusza, że jego noga nigdy nie przekroczy progu tego przyczółku adwokackiej matni.

Potem spotkali się jeszcze kilka razy. Prosiła, żeby się tak nie burzył i dał im szansę trochę się poznać. Byli we czwórkę na kolacji i na jakimś koncercie w Starej Pomarańczarni. Za każdym razem dochodziło do kłótni. W restauracji musiała interweniować obsługa, uspokajając wzburzonego Tadeusza, który wymachiwał rękami i darł się na ojca, gorsząc nie tylko własną matkę, ale i resztę napuszonej klienteli. Z recitalu fortepianowego, na którym koszmarnie się wynudziła, wracali przez Łazienki. Stary Kubiak ni stąd, ni zowąd wypalił, że syna zaatakowała bolszewicka zaraza. Tadeusz znowu spurpurowiał, ale widząc jej spojrzenie, zachował komentarz dla siebie. Jego matka skubnęła męża za rękaw, sugerując, żeby dał sobie spokój.

- O co chodzi? - zapytał małżonkę.

- Dałbyś chociaż raz spokój.

- Ale nie widzisz, co się z nim dzieje? Tam się było panoszy za wschodnią granicą. Wlewa każdym otworem do kraju, a jego to jeszcze cieszy. Nowym Trockim chce zostać? Spotkania organizuje, ludziom w głowach miesza. Jakąś reedukację dla nich trzeba stworzyć. Zamknąć na kilka miesięcy i mówić, czym to się skończy.

- Krnąbrnych na tortury, a nieprzekonanym kulka w łeb? - nie wytrzymał Tadeusz.

- To są właśnie metody bolszewików.

- Widać ojcu pasują. Sam może weźmie rewolwer i w plutonie egzekucyjnym stanie? A nie, nie... Brzydzi się. Jak wszyscy szli bolszewika gonić, to się w Paryżu rozchorował. Biedaczek.

- Trzymaj mnie, bo huknę chama! - zwrócił się do żony i, widząc jej błagalne spojrzenie, zdecydował: - Wydziedziczam zmię. Wydziedziczam! - darł się na cały park, przez co drobna główka małżonki, rozglądającej się za ewentualnymi świadkami zajścia, omal nie odkręciła się od szyi.

- A ja pluję na ojca majątek - odparł Tadeusz i, ciągnąc Helenę za rękę, ruszył w przeciwnym kierunku.

Ku przerażeniu obu rodzin wzięli tylko ślub cywilny. Jego rodzice zbojkotowali to wydarzenie. Zgodziła się na świecki obrządek, znając już światopogląd wybranka, ale w zamian żądając chrztu dla ich przyszłych dzieci. Tutaj ustąpił on i tak zanurzenie Stacha w wodach chrześcijańskiej wspólnoty było pierwszym rodzinnym wydarzeniem, na którym pojawili się dziadkowie. Sama wysłała do nich zaproszenie na uroczystość w Kościele świętej Anny. O dziwo, teściową zalało tym razem wzruszenie, ale jej mąż przez całą ceremonię unikał kontaktu wzrokowego z Tadeuszem. Do synowej posłał kilka uśmiechów, a pod kościołem podszedł i do kieszeni płaszcza wsunął jej kopertę. Dyplomatycznie powiedziała, że nie trzeba, ale zapewnił, że to nie dla nich, a dla Stasia. Tydzień później dopuściła się pierwszego małżeńskiego kłamstwa. Tadeusz awansował na stanowisko zastępcy

ordynatora u Starozakonnych, kładąc kolejną kość niezgody między sobą a ojcem, wojującym antysemitą. Pod nieobecność męża w nowym mieszkaniu na Woli przyjęła wycieczkę dziadków ze Śródmieścia. Miłość do wnuka ich odmieniła. Zapomnieli o niechęci do nisko urodzonej synowej i odsunęli politykę na bok. W rozmowach dominował rozwój małego Kubiaka i plany dotyczące jego przyszłości. Spotkania w tajemnicy stały się ich tradycją, jednak dla bezpieczeństwa to ona częściej jeździła do mieszkania świekrów w Alejach Ujazdowskich. Chodzili na długie spacery po Łazienkach i ćwierkali nad Stasiowym wózkiem.

Uspokajała sumienie, powtarzając w duchu, że okłamywanie męża służy wyższemu celowi, zapewnieniu godziwego życia jej dziecku. Poza tym jednym oszustwem była całkowicie szczerą. Mówiła Tadekowi o wszystkim. Skutkiem ubocznym jej poczucia winy był brak pytań o sprawy, które bezpośrednio nie dotyczyły ich życia. O swojej działalności politycznej Tadeusz mówił niewiele, głównie klnąc podczas lektury prasy codziennej i komentując złe posunięcia nieznanych jej z nazwiska działaczy. Wieczorami rozemocjonowany latał na jakieś spotkania. Ona w tym czasie zostawiała Stacha pod opieką ciotki i chodziła do kina lub wpadała w odwiedziny do przyjaciółki z Olbrachta, która właśnie w tym czasie romansowała z jakimś Grzegorzkiem. Tadeusz wracał do domu zmęczony, a ona spragniona namiętności po wieczorze w oparach feromonów świeżo zakochanej

koleżanki. Czuli, że oddalają się od siebie. Próbował to naprawić, poświęcając rodzinie jedyny w tygodniu dzień wolny od dyżurów. Wybywali wtedy za miasto, a w zimie zalegali w domu, czytając na głos ulubione powieści z dreszczykiem. Do dziś pamiętała, jak Tadeusz modulował głos, recytując jedną z ulubionych lektur ich młodości – *Omana* Gnatowskiego.

– „Na niebie nie widać było gwiazd...” – Uniesioną ręką udawał, że strąca świetliste punkty z nieboskłonu. – „...a wschodzący księżyc skrył się za chmury i w dolinie robiło się coraz ciemniej i straszniej”. – Zakrywał usta dłonią, a jego oczy zamieniały się w przerażone talarki. – „Z głębi, od zamykających ją złomów granitu, dolatywały z poświstem wichru jakieś niby jęki i płacze”<sup>2</sup>. – Głos coraz bardziej się łamał, a oczy rozglądały za nieznanym niebezpieczeństwem.

Zawsze płakała ze śmiechu. Im marniejsza powieść, tym bardziej komiczne było jego przedstawienie.

Kiedy mały miał trzy lata, postanowiła wrócić do pracy. Tadeusz nie oponował i załatwił jej posadę w sekretariacie Centralnej Składnicy Sanitarnej. Pół roku wcześniej wuj miał śmiertelny w skutkach wypadek i owdowiała ciotka zgodziła się zająć przyszywanym wnukiem. Przeszła na emeryturę, a prowadzenie firmy oddała w ręce zaufanego pracownika. Wszystko było na swoim miejscu. Czowała, że dla Tadeusza wielka miłość zamieniła się w małżeński obowiązek, ale serce wciąż biło szybciej, kiedy późnym wieczorem zjawiał się w domu.

\*\*\*

- Koniec świata, sąsiadki, to koniec. - Zdyszana Grzegorzycowa weszła do kuchni, prowadząc rannego w rękę męża. Posadziła mężczyznę na taborecie i wciąż trajkotała. - Waldka napadli. Pieron jakiś szedł ulicą od Górczewskiej. Mój chłop ulicę zamiatał, a tamten jak nie skoczy na niego. Pięciami okłada i gryźć nawet zaczyna. Waldek miotłę na tamtym złamał. Zwierzęta, matko przenajświętsza. Ludzie jak zobaczyli, to zamiast pomóc, uciekać zaczęli. Tylko Zdzisio z naprzeciwnka ruszył z pomocą. Jak się sąsiad włączył, to ja swojego do was, bo bliżej, odciągnęłam.

Domownicy zostawili biadolącą parę i przeszli do pokoju, którego okna wychodziły na ulicę. Zdzisio utrzymywał bokerską postawę. Niższy od pięściarza szalenciec nie przejmował się różnicą wzrostu i brakiem bokerskich umiejętności. Zbierane ciosy zdawały się nie robić na nim wrażenia i zaraz po nich znowu atakował. W ruchach napastnika było coś nienaturalnego. Bezmyślne rzucał ramionami byle tylko uderzyć przeciwnika, bez strategii i myślenia o obronie. Waleczny sąsiad utrzymywał bezpieczny dystans, krążąc w podskokach wokół napastnika. Tylko raz zachwiał się po przeoczonym ciosie w brzuch. Zaraz odzyskał kontrolę i strzelił przeciwnika w nos. Polała się krew. Cios zamiast zamroczyć wariata, wzbudził w nim kolejne pokłady złości. Szponiastymi palcami próbował dobrać się do oczu Zdzisia. Chłopak sparował atak.

Patrzyła na ten taniec sportowca z paralitykiem, bo ciotka zaciągnęła ją do okna. Gdyby nie to, pewnie dalej siedziałyby w kuchni i obserwowała przyjaciółkę opatrującą jęczącego męża. Stasio początkowo chciał pomóc sąsiadowi i rzucił się do drzwi. Złapał łopatę, która wcześniej stała w rogu przedpokoju, i już szykował się do wyjścia. Wtedy ciotka krzyknęła:

- Stój! Nie wychodź. Tam, patrz! - Na drugim końcu ulicy pojawiły się biegnące postacie. Kobieta i mężczyzna z przerażeniem w oczach uciekali przed kilkunastoosobowym tłumem. Ruchy szalonej hordy były tak samo nienaturalne, jak sparing partnera Zdzisia. Biegli co sił w nogach. Ktoś się potknął, ale zaraz wstał i ruszył z wytrzeszczonymi ślepiami, wpatrując się w ofiary. Staszek podszedł do okna i odstawił łopatę. Uciekająca kobieta padła na bruk. Mężczyzna zawrócił, żeby pomóc jej wstać. Wtedy dopadł ich tłum. Zaczęła się jatka. Niektórzy trzymali w rękach połamane kije, jeden miał rzeźnicki tasak i młócił nim, nie patrząc, czy rani ofiary, czy swoich kompanów. Ugodzeni napastnicy nie zwracali uwagi na ból, dalej przedzierając się do wyjących uciekinierów. Po chwili nie widzieli już ofiar, tylko górę szamoczących się nad nimi postaci.

W tym samym czasie Zdzisio wciąż walczył z szaleńcem. Szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę sąsiada. Napuchnięte oczy wariata zalewała krew. Jego ciosy przestały być celne.

- Trzeba go zawołać, bo tamci... - krzyknął Stasio, mocując się z zamkiem od okna.

Ale było już za późno. Horda się rozdzieliła. Część szaleńców ruszyła w kierunku Zdzisia, reszta podbiegła do pobliskiego domu. Widocznie zauważyli kolejne ofiary. Po parze uciekinierów pozostała krwawa miazga, z której wystawały powykręcane członki. Dopadli boksera, który nie miał doświadczenia w obronie przed zmasowanym atakiem. Trafił dwóch, zanim reszta powaliła go na bruk.

- Idziemy - zarządził Staś, biorąc kobiety za ręce. - Na górę, na strych.

- Chodź, Helena - zwróciła się do niej ciotka.

Ona jednak nie zareagowała na rozkaz, wciąż wpatrując się w scenę za oknem. Chora obojętność całkowicie opanowała jej umysł. Rozdrażniona staruszka zmusiła ją do ruchu, ciągnąc za rękę.

- Chodź, niemoto - nagliła ciotka. - Mogłabyś choć na chwilę wrócić do świata żywych. Potem sobie odpłyniesz.

- Idźcie. Szybko! - popędzał je Stach, puszczając przodem po schodach. Sam nie wszedł na górę. Rzucił się do drzwi i przewrócił stojącą przy nich szafę tak, żeby utrudnić ewentualnym napastnikom wejście do domu. Ciotka popychała ją na piętro, kiedy jej syn zabierał sąsiadów z kuchni. Helena wszystko rejestrowała. Widziała, co się wokół dzieje, ale pozostawała obojętna. Było jej wszystko jedno. Już od miesiąca wegetowała w stanie bliskim letargu. Niema wykonywała polecenia bliskich. Robiła tylko to, do czego pchnęła ją ręka syna lub ciotki.



Kiedy znaleźli się na strychu, Staś zaryglował kłapę w podłodze i razem z Waldkiem przepchnęli na nią stary regał. Wzbili przy tym tuman kurzu, oświetlony wpadającym przez szpary słońcem. Ciotka rzuciła się do skrzyni w rogu pomieszczenia.

- W szufladzie regału są świece - zawołała do Grzegorzycowej.

Kiedy zapalili jedną z nich, ciotka ułożyła na podłodze dwie paradne szable i pistolet, który czasy świetności miał za sobą już za poprzedniej wojny.

- Pamiątki po moim starym.

- Ale to na nich wystarczy? - zastanawiał się sąsiad. - Co ich opętało? Przecież to nasi. Polacy Polaków mordują.

- A skąd wiesz? - zapytała go żona.

- Ten, co mnie napadł, to handlarz z bazaru. Znam go.

- Boże miłosierny, armagedon!

- Szkopska zaraza, to pewne - zawyrokowała ciotka.

- Ale jak?

- Wodę zatruli fryce - wyjaśniła Grzegorzycowej.

- Wirus. Pisali, że wirusy. W tych ulotkach od Tadka - sąsiad ugryzł się w język, patrząc na Kubiakową.

- Ciii... - syknął Staś i znieruchomiał z palcem przy ustach. Usłyszeli łomot i trzaski. Potem nastąpiła chwila ciszy, podczas której zapatrzyła się w napięte ciało swojego dwunastoletniego syna. Był gotowy do działania, obrony bliskich i walki o życie. Jeszcze miesiąc wcześniej zakryłaby jedynaka własnym ciałem. Schowała w najciemniejszym kącie strychu i wzięła atak szaleńców na siebie. Teraz

niema przyglądała się jego dłoni. Promyk światła padał na wilgotną od potu skórę. Palce zaciskały się w pięść.

Nagle spod podłogi zaczęły do nich docierać odgłosy bitego szkła i przewracanych mebli. Gdzieś z oddali usłyszeli krzyk przerażenia. Panika tak zniekształciła głos, że nie dało się określić, czy wrzeszczy kobieta, czy mężczyzna. Rumor na dole zastąpił od głoś bieganiny po trzeszczących deskach podłogi. Zaległa cisza.

- Może wyjrzymy? - zaproponował Grzegorz, wskazując klapę w dachu. - Sprawdzimy, czy ulica już pusta.

Delikatnie unieśli olbrzymią klapę i odsłonili niebieski kwadrat. Tak wyglądało niebo z miejsca, w którym siedziała. Staś pomógł jej wstać i wcisnął się pomiędzy wyglądających na zewnątrz ludzi. Pięć twarzy patrzyło na unoszący się nad Warszawą dym. Kilka cieni powoli wżerających się w błękitną przestrzeń. Nad pobliskim Kołem było widać nawet źródło ciemnej chmury, bijące wysoko w niebo płomienie. Staś wskazał wschód, gdzie jaśniała kolejna pożoga. W oddali zaczęła wyć syrena. Ostatni raz widzieli coś takiego niemal pięć lat temu, na początku wojny. Wtedy też łuna pożaru jaśniała nad Śródmieściem. Tym razem nie było słychać huku armat, a nad głowami nie latały niemieckie samoloty. Nadchodził wieczór, a z nieba wciąż lał się żar.

- Gorąco nam się sierpień zaczyna - zażartował sąsiad. Syrena zamilkła.

\*\*\*

Na Olbrachta panował spokój, którego nie mącił żaden ruch. Ulica wyglądała jak wczesnym rankiem, zanim ludzie wylegają z domów, kierując się do pracy. Niezwykły był tylko krwawy ślad na bruku. Gdzieś z daleka dochodziło do nich echo pojedynczych strzałów. Ostatnie serie karabinów maszynowych ucichły z godzinę wcześniej. Jedli ogórki kwaszone, których słoik zawieruszył się na strychu.

- To ja je tu schowałem - powiedział Stach. - Chciałem którejs nocy pooglądać gwiazdy, leżąc na dachu, i zacząłem zbierać prowiant.

- Tylko tyle na całą noc? - zapytał sąsiad, którego głód dawał o sobie znać burczeniem w brzuchu.

- To była pierwsza kradzież ze spiżarni. Dopiero planowałem następne.

- Co robimy? - odezwała się Grzegorzycowa.

- Możemy po cichu zejść i uzupełnić zapasy. Zostać tu kilka dni, aż się skończy... - planował jej mąż.

- Wojna też miała się skończyć w tydzień - zauważyła ciotka.

- Słusznie. Więc co? Uciekamy z Warszawy? Teściowa mieszka w Jelonku. Skoczymy przez tory i jesteśmy na późnej kolacji.

- Jeśli do matki też nie dotarli - zauważyła sąsiadka. - Lepiej zostańmy.

Stała z synem w oknie i powoli przeżuwała swoją porcję prowiantu. Patrzyła na zachodzące słońce. Stach wysysał miąższ z ogórka, lustrując ulicę na dole. Przez jej środek przeleciał nagle rozglądający się dziko osobnik. Przystanął.

Znieruchomiał, nasłuchując, i ruszył w prawo, znikając z zasięgu wzroku.

- Kolejny - powiedział, zaglądając do środka. - Ciągłe krążą, któryś w końcu może wejść na schody i zacząć się tu dobijać.

Od czasu ich ewakuacji dzicy już trzykrotnie przeszukiwali pomieszczenia na dole.

- Idziemy! - zdecydował sąsiad. - Za domami. Przez krzaki po prawej od ulicy. Do stróżówki. Potem zobaczymy, jak wygląda sytuacja przed torami, i ruszamy dalej.

- Może lepiej nie? - Grzegorzycowa wyglądała niepewnie.

- Kochanie, nie będziemy tu gnić, czekając, aż nas dopadną. - Żona odpowiedziała mu milczeniem.

- Zejdę po prowiant i was zawołam, jak będzie spokojnie - zaproponował Stach.

- Niebezpiecznie...

- Ciociu, nic mi nie będzie. Szybko załatwię sprawę, a jakby co, czmychnę na górę.

Nasłuchiwali jeszcze przez chwilę, ale na dole nie było żywego ducha. Na ulicy też panował spokój. Stach ostrożnie zszedł po schodach, trzymając przed sobą szablę. Ciotka złapała drugą i podała sąsiadowi.

- Idź, ubezpieczaj - rozkazała szeptem. Grzegorzyc ruszył za chłopcem. Po pięciu minutach w otworze prowadzącym na piętro pojawiła się twarz sąsiada.

- W domu ich nie ma. Plecak spakowany. Idziemy.

- Na zewnątrz też spokój - poinformowała jego żona, wyglądając przez dach. - Ale i tak uważam, że powinniśmy zostać.

- Po cichu do kuchni - zignorował jej uwagę mąż. Puścił przodem ciotkę prowadzącą za rękę swoją niemą wychowankę. Potem wszedł na strych, do swojej żony, która nie chciała odejść od otworu w dachu. Rozmawiali o czymś przyciszonymi głosami.

- Gdzie sąsiedzi? - zapytał Stach siedzący na szafie przy wyważonych z zawiasów drzwiach. Na plecach miał wypełniony po brzegi mały wojskowy plecak.

- Coś Grzegorzycowa marudzi - odparła ciotka.

- Ja też pomarudzę - wszedł jej w słowo rozpromieniony sąsiad prowadzący za rękę swoją małżonkę. - Drodzy państwo - zaczął teatralnie. - Będę ojcem.

- Też mi nowina - powiedziała ciotka.

- To pani wie?

- Toż tylko chłop się nie pozna. Nie musiała mówić. Przecież widać. Nawet jak jeszcze brzucha nie ma, da się poznać.

- Pani jasnowidzka - zauważyła sąsiadka.

- Dajcie spokój. Nie czas na wzruszenia. Trzeba działać - ciotka motywowała grupę.

- Przepraszam, ale my zostajemy. Żona nie chciała iść, a teraz, jak się dowiaduję, że pierworodny w drodze... nie będziemy ryzykować. Jeśli pozwolicie, okopimy się u was. Nasz stryszek bez klapy, malutki...

- ...czujcie się jak u siebie. My idziemy - zaczęła się denerwować.

Pożegnanie było wylewne, bo Grzegorzycowa się popłakała. Jej mąż chciał oddać ciotce drugą szpadę, ale ta pokazała pistolet wciśnięty za pasek spódnicy:

- Synku, ja mam niezawodne narzędzie.

- A potrafi pani?

- Bolszewikom pestki sadziłam między oczy, to i tych dzikich trafię.

\*\*\*

Kiedy dotarli na tyły stróżówki, zapadał już zmrok. Mały budynek pokryty białą elewacją stał na granicy Warszawy. Kiedy Niemców nachodziła ochota na przetrząsanie wjeżdżających wozów, właśnie tutaj robili skład zarekwirowanych towarów. Pół kilometra dalej drogę przecinały tory szkopskiej kolejki, odnogi głównego węzła, którą Niemcy zaczęli układać na początku wojny. Od opuszczenia domu nie widzieli nikogo żywego. Towarzyszyło im tylko bzyczenie setek much obchodzących tego dnia swoje wielkie święto. Na kilku podwórkach leżały porozrywane ciała. Niektórzy ciężko ranni, zostawieni przez napastników, pełzli jeszcze kawałek, nim wyzionęli ducha. Na kocich łbach zostawiali ścieżki zasychającej krwi.

Przez całą drogę trzymali się krzaków. Pochylona ciotka szła przodem, co chwilę wyglądając na ulicę. Stach trzymał matkę za rękę, w drugiej dzierżąc wujowską szpadę. Strumienie potu spływającego po plecach wsiąkały

w brudne koszule. Noc była wyjątkowo parna, na szczęście niemal pozbawiona komarów. Przykucnęli kilka metrów od bielącej się strażnicy. W dali, na bruku, ktoś w nieregularnych odstępach ułożył ciemne worki. Ciotka dała ręką znak, że tu zaczekają. Oczy Stacha zdawały się pytać, dlaczego nie idą dalej, ale usta nawet nie drgnęły. Odpowiedź przyszła po chwili. Ulicą, od strony Górczewskiej, nadbiegała grupa szaleńców. Nie krzyczeli jak typowi obłąkańcy, dochodził od nich tylko zwielokrotniony dźwięk przyspieszonych oddechów. Dzikie spojrzenia przeczesywały okolicę. Nagle z ciemności kryjących podwarszawską część ulicy rozległ się przeciągły gwizd. Agresorzy przestali szukać ofiar i rzucili się w kierunku, z którego dobiegał nowy dźwięk. Przyspieszyli. Gwizd urwał się w chwili, kiedy szalona zgraja mijала stróżówkę i kryjącą się za nią trójkę uciekinierów. Kilka metrów dalej pojawiły się rozbłyski, którym towarzyszył terkot karabinu maszynowego. Dzicy padali pod ogniem ukrytych strzelców. Niektórzy zaraz próbowali się podnieść, ale powalały ich pojedyncze wystrzały. Kiedy wszystkie ciała leżały już nieruchomo na bruku, z ciemności zaczęły dochodzić śmiechy gratulujących sobie celności Niemców. Ciotka przysunęła się do Stacha i wyszeptała mu do ucha:

- Redutowa. Idziemy do Wawrzyńca. Tam bezpiecznie, kościół warowny.

Na rogu Olbrachta i Redutowej paliła się jedyna latarnia zaopatrywana w prąd nie z miejskiej elektrowni, a z sieci podmiejskiej. To pod nią stał dom starego Turka.

Turek tak naprawdę nazywał się Zubrzycki i swoją ksywkę zdobył, handlując przed wojną orientalnymi dywanami. Kiedy weszli Niemcy, spłonęły jego magazyny i próbował się przebranzowić, organizując manufakturę skręcającą papierosy. Ten interes też nie wypalił i Turek zszedł do podziemia pędzić bimber w piwnicy. Żeby utrzymać siebie i liczną rodzinę, wystarczył mu obrót na lokalnym rynku, cała ulica zaopatrywała się u niego w pierwszorzędny samogon.

Czaili się za chlewikiem po drugiej stronie ulicy, kiedy z jego domu zaczęły dobiegać wrzaski kobiet. Uciszyły je siarczyste przekleństwa Turka. Potem zaległa cisza. Ciotka i Stach wytężali wzrok, próbując przebić ciemności kryjące się za otwartymi drzwiami sąsiada. Gdzieś w głębi domu rozległ się strzał. Hałas wzbudził ciekawość szaleńców, którzy kryli się w głębi Redutowej. Natychmiast w kierunku posesji ruszyły dwie postaci. Pierwszy biegł potężny mężczyzna z deską zakończoną dwoma długimi gwoździami. Drugi kuśtykał żyłasty chłopak, spod rozdartej nogawki spodni wystawało mu zakrwawione kolano. W drzwiach pojawił się gospodarz, który od razu zauważył zmierzających w jego kierunku dzikich. Na chwilę schował się w głębi korytarza. Wrócił, trzymając w ręku butelkę ze szmacianym knotem w szyjce. Podpalił koktajl metalową zapalniczką i rzucił pod nogi pierwsze go napastnika. Płomień rozlał się wokół wielko luda, który natychmiast zajął się ogniem. Zachowywał się tak, jakby nie zauważył pochłaniającego go żaru. Turek wycofał się do środka. Dziki



wpadł za nim prosto do domu. Natychmiast zajęło się coś w pierwszym pomieszczeniu i ogień rozjaśnił wnętrze. Za oknem na parterze przemknęła płonąca postać. Zaraz potem rozległy się kolejne krzyki i wystrzały. Napięły się mięśnie trzymającego Helenę za rękę Stacha. Chłopak wychylił głowę znad oddzielającego ich od ulicy murku.

- Trzeba coś zrobić - zwrócił się do ciotki.

- Patrz, dzieciaku. - Skinieniem głowy wskazała kierunek, z którego nadszedł atak na dom Turka. Pojawili się kolejni obłąkani zwabieni odgłosami walki i przerażenia.

Ulicą wstrząsnął wybuch. Człowiek-pochodnia musiał dotrzeć do magazynku z bimbrem. Cały parter zajął ogień. Kuśtykający za olbrzymem chudzielec był już przy drzwiach. Nie zważając na bijący ze środka żar, wszedł między pełną po ścianach płomienie. Pomarańczowe języczki natychmiast zatańczyły na jego podartym ubraniu. Ciotka ścisnęła chłopaka za ramię i wskazała kamienicę po prawej. Budynek osłaniał ich przed spojrzeciami biegnących ulicą postaci. Podwórkami pokonali kilkadziesiąt metrów i zaczęli się na rogu, patrząc w głąb zaciemnionej Redutowej. Przez okno na piętrze domu Turka wyskoczył płonący człowiek. Horda rzuciła się na niego, rozszarpując ciało i gasząc tym samym palący go ogień. Ogarnięci żądzą mordy nie zwrócili uwagi na trzy postaci przemykające przez ulicę w kierunku drzew otaczających cmentarz.

Stach ani na moment nie puścił jej dłoni. Nie musiała o niczym decydować, po prostu robiła to, co jej kazał. Kiedy

przyspieszał, musiała się poddać i biec za nim. Gdy przykucał, naciskał jej ramię i robiła to samo. Do świadomości zamkniętej w małej klatce, gdzieś na dnie umysłu, docierały echa rozmów Stacha z ciotką. Nie przywiązywała uwagi do ich treści. Zanim zaczęło się to wszystko, zdążyli jej podać dawkę przypisanego przez psychiatrę leku. Cudownego środka, który zagłuszył histeryczny początek choroby i pozwolił jej się wyciszyć, odejść za mglistą zasłonę. Rozkoszowała się brzmieniem głosów najbliższych, nie zwracając uwagi na zawarte w nich napięcie i strach. Klęczeli na trawie, za wielkim drzewem, pod którym w letnie dni często przystawała, chroniąc przed słońcem wózek z małym Stasiem. Teraz jej maleństwo zamieniało się w mężczyznę. Jeden szalony dzień przyspieszył jego dojrzewanie o kilka lat. Energicznie gestykulował, tłumacząc coś ciotce. Nie cieszyło jej to ani nie martwiło, po prostu zauważyła fakt, a płynąca w jej żyłach chemia wyciszyła emocje. Byli tak zajęci szeptaną dyskusją, że nie widzieli tego, co się zbliża. Z głębi parku, od strony Woli, nadchodziły cienie. Najpierw powoli przesunęły się między drzewami. Potem przyspieszyły w ich kierunku. Królująca w głowie obojętność nie pozwoliła dojsć do głosu iskierce rozsądku. Impuls do podniesienia alarmu przykryły pokłady błędnego spokoju.

- Cholera! - wyrwało się chłopakowi.

- Stachu! - ciotka pouczyła go groźnym spojrzeniem.

- Tam, ciociu! - zerwał się na równe nogi, pociągając matkę do góry.

- Boże... - Starsza kobieta znieruchomiła na chwilę, widząc biegnące do nich cienie. - Za dużo ich, za dużo! - Odwróciła się do Stacha i wydała rozkaz: - Uciekajcie, do kościoła, już!

- A ty?

- Biegnij, kurwa, nie dyskutuj!

Chłopak przeniósł wzrok pod oświetlane przez księżyc drzewa. W półmroku między pniami przemykali ludzie, w których żądza mordy zabiła instynkt przetrwania. Stał, nie mogąc podjąć żadnej decyzji.

- Musicie przeżyć - pomogła mu ciotka.

Ruszył biegiem, ciągnąc za sobą matkę. Nogi niosły ją za synem, ale głowa odwróciła się, zerkając na zostającą za nimi kobietę. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak staruszka zamaszystym ruchem wyciąga zza paska pistolet i oddaje pierwszy strzał. Rozbłysk z lufy oświetlił jej twarz. Zapamiętała grymas uśmiechu, pod którym szczyrzyła się zaciśnięta sztuczna szczęka, ciotka wydała na nią trzymiesięczną emeryturę.

- Chodźcie, skurwysyny! Do mnie, obesrańce! - Jej krzyki niosło po całym parku.

Stach przyspieszył. Helena odwróciła głowę, słysząc już tylko kolejne przekleństwa i huk wystrzałów.

\*\*\*

W niedzielne poranki chodzili do kościoła kwadrans, teraz pokonanie niemal całej Redutowej zajęło im ponad godzinę. Dwa razy musieli przystanąć i, kryjąc się po krzakach,

przeczekać kolejne fale krwiożerczego pochodu. Na szczęście w otaczającym świątynię parku nie było żadnego szaleńca. Stach dopadł do masywnych drzwi głównego wejścia, były zamknięte, więc zaczął w nie walić. Po chwili przerwał i rozejrzał się po okolicy, sprawdzając czy nie usłyszała ich jakaś samotna bestia.

- Żywy czy psychiczny? - ze środka rozległo się pytanie.

- Żywi!

- To od zakrystii zapraszam.

Obeszli budynek. Małe drzwi na tyłach uchyliły się, kiedy Stach lekko zapukał. Weszli do ciemnego wnętrza. Za nimi rozległ się dźwięk ryglowania i zachrypnięty głos.

- Dwójka tylko?

- Dwójka. Reszta została.

- To do kaplicy proszę.

Otworzyły się drzwi po drugiej stronie przedsionka. Ruszyli za niskim człowiekiem ze strzelbą przewieszoną przez ramię. Po kościele płały rozedrgane cienie. Zapalone świece nie dawały zbyt wiele światła. Rozstawiono je na głównym ołtarzu i pośrodku kamiennej podłogi. Ławy rozsunięto pod ściany, kryło się wśród nich kilka przerażonych postaci. Grupka starszych kobiet modliła się przy jednym z bocznych ołtarzy. Przyjemny chłód dawał wytchnienie od upału letniej nocy. Staś zjął plecak i położył go pod ścianą. Wprowadzający ich człowiek zamknął kolejne drzwi i gestem ręki wskazał krąg światła na środku kościoła. Jeden z siedzących przy nim mężczyzn

podniósł się i podszedł do nowo przybyłych. W rękach niósł zapaloną gromnicę. Stanął i oświetlił ich twarze.

- A! Widze, ze siosady dopisuj0 - powiedział z uśmiechem zdradzającym pochodzenie wadliwej wymowy, spore ubytki w uzębieniu. Był bardzo wysoki i wychudzony. Twarz miał na oko czterdziestoletnią i doskonale jej znaną. Wiedziała, że tak naprawdę jest młodszy od niej. Zanim opuściły ją zmysły, widząc go na ulicy, przechodziła na drugą stronę. Gdy zaczepiał bawiące się na podwórkach dzieciaki, zaraz wołano je do domu. Zresztą cała rodzina Kantorków tworzyła żulerską elitę spokojnego przedmieścia. Mówiło się, że jak zapity leży pod bazarowym płotem, to na pewno spokrewniony. Z racji, że czasy były ciężkie, bezrobotny pijak umierał z głodu, więc trunkowa familia parała się kradzieżą i drobnym rozbojem.

- Kobitki zostajo, chłopacki izolacja.

Ten, który wpuścił ich do kościoła, złapał Stasia od tyłu i, wykręcając mu rękę, poprowadził w kierunku zakrystii.

- Puszczaj, obwiesiu - wrzasnął jej syn, próbując się wyrwać.

Niestety mężczyzna, mimo że był jego wzrostu, masą przebijał chłopaka o jakieś dwadzieścia kilo.

- Zalaza chłopca tylko tyka. Baby niepodatne, to z nami posiedzo. Tam se spocznie. - Wskazał jej miejsce w cieniu, do którego ruszyła bez słowa. - Sosiadecka nicego sobie jesce. Moze do snu później utule.

Za Stachem trzasnęły drzwi zakrystii. Ona usiadła na ławie. Natychmiast obkoczyły ją znane z mszy kobiety

i nieświadome jej obojętności próbowały włączyć w szeptaną rozmowę.

- Boże, sąsiadka aż z Olbrachta szła?

- A dużo obłąkańców po drodze?

- Pewnie, że dużo, sama widziałam jak od Śródmieścia cała armia szła.

- Spokojnie, na rogatkach ich szkopy odstrzeliwują.

- Jezusie, kraj w rękach diabła, miasto męczą potwory, a w domu pana bandyckie nasienie. Nie ujdziemy z życiem, nie ujdziemy.

- A jak się który z Kantorków przemieni?

Kobiety spojrzały na grupkę pięciu mężczyzn. Jeden grzebał w plecaku Stacha, wyciągając z niego co smaczniejsze kąski, trzech raczyło się winem mszalnym, a szczerbaty herszt bawił się niemieckim pistoletem, mierząc do wyniosłych świętych patrzących z obrazów.

- Boże, widzisz i nie grzmisz? - wyszeptała jedna z kobiet.

- Oj, nie będzie miało życia to plugastwo po wojnie. Jak tylko moje chłopaki wrócą...

- Zamknąć ryje! - wrzasnął najniższy z bandziorów.

Zaległa cisza. Nikłe światło odbijało się w szeroko otwartych oczach jej towarzyszek. Jedna obracała w dłoniach różaniec. Poruszała ustami, w myślach odtwarzając tekst modlitwy. Druga trzymała na kolanach małe zawiniątko. Kiedy je pogłaskała, okazało się śpiącym w najlepsze niemowlakiem. Pozostałe wyglądały jak kościelne rzeźby bez ruchu obserwujące jakąś biblijną

scenę. Podskoczyły wszystkie, kiedy ciszę przerwało głośne walenie.

- Wpuście! - doszła ich stłumiona prośba z zewnątrz.

Mały podszedł do drzwi wejściowych, które zabezpieczał nie tylko wielki rygiel, ale i trzy oparte o nie masywne ławy. Stał przy szparze między drzwiami i, przykładając do niej policzek, powiedział:

- Od zakrystii zapraszam!

Wspólnicy małego wstali, łapiąc za broń. Przechodząc obok nich, zwrócił się do herszta:

- Chłop się odzywał, ale sam nie jest. Dużo kroków z nim. Co robimy?

- Lafalek i Mołda zostają, łeszta za mno.

Otoczające Helenę kobiety przysunęły się bliżej. Zbiły się w zwartą grupę połączoną jednym przyspieszonym biciem serca. Ten ledwo wyczuwalny rytm przywołał dawno nieodczuwane zniecierpliwienie. Nie chciała tu być. Nie słyszała tu głosów ukochanych. Wstała i odeszła w najodleglejszy kąt kaplicy. Pierwszy raz od kilku tygodni podjęła decyzję. Na razie niewielką. Odsunąć się od ludzi, od jakichkolwiek wydarzeń. Skulić na posadzce i czekać, aż ktoś bliski przyjdzie i powie, co robić dalej. Zamknęła oczy i zanurzyła się w błogiej ciszy. Nawet staruszki przy ołtarzu przestały szeptać swoje modły.

Najpierw zasyczała świeca. Knot utonął w roztopionym wosku, zabijając jeden z płomieni. Potem usłyszała odległą szamotaninę. Coś ciężkiego spadło na podłogę. Ktoś cicho

zajęczał „Jesu Chłyste”, potem na marmurowej posadzce rozległ się stukot podbitych zelówek.

- Wybawcy! - krzyknęła jedna z kobiet. Zawtórował jej dźwięk wielu kroków.

- Nareszcie!

- Bogu dzięki. Przyszli wymodleni.

- Zabierzcie nas, do ludzi...

- Zostajemy tutaj - odpowiedział głos starszego mężczyzny. - Przynajmniej do rana. W nocy niebezpiecznie...

- Zaraza? Wirus się szerzy?

- To nie wirus, drogie panie.

Kolejny głos, młodszy od poprzedniego, otworzył jej oczy. Każde jego kolejne słowo burzyło wielodniowy spokój.

- Wczoraj po południu miało się rozpocząć powstanie.

Sylaby wbijały się w jej skołataną głowę jak rozpalone gwoździe.

Niemcy wiedzieli. Godzinę wcześniej detonowali ładunki gazowe w najruchliwszych miejscach Warszawy.

Łzy ciekły jej po twarzy. Nie chciała spojrzeć, ale głowa sama uniosła się ponad ławami.

- To dopadło tylko mężczyzn. Zaczęli mordować. Koszmar. Rzucali się na wszystkich. Zarzynali... Marszałkowska, Plac Bankowy, Kercelak spływają krwią.

- Tato! - Stach zaczął walić w drzwi. - Wypuść nas, tato...

- Mój syn? - zapytał Tadeusz. - A żona, jest tutaj?



Jej mąż ruszył w kierunku drzwi na zakrystię, a oczy wszystkich kobiet skierowały się na nią. Wstała i zaczęła iść w jego kierunku. Tadeusz otworzył drzwi, zza których pierwszy wypadł Stach, a za nim ksiądz i jeszcze trzech mężczyzn. Patrzyła, jak syn rzuca się w objęcia ojca. Minęła grupkę uzbrojonych ludzi z biało-czerwonymi przepaskami na przedramionach. Pod ich lufami klęczeli Kantorkowie, ręce trzymali za głowami. Mąż potargał syna po głowie i odwrócił się w jej kierunku. Serce zaczęło jej walić. Pompowana do mózgu krew powaliła stawiany przez długie tygodnie mur obojętności. Stała przed nim i bez problemu uniosła głowę. Spojrzała na nieogoloną twarz.

- Helena... - powiedział.

Zajrzała głęboko w jego przejęte oczy. Nieco zdziwione spojrzenie. To samo, którym obdarował ją, kiedy tamtego czerwcowego dnia weszła do jego biura i zobaczyła nagie pośladki męża rytmicznie poruszające się za tyłkiem jakiejś brunetki. Wtedy też zdążył wypowiedzieć jej imię. Potem powoli się odwróciła i zaryczana, równym krokiem, ruszyła przed siebie. Czuła się tak, jakby ostatni miesiąc nie istniał. A przywołanie jej imienia połączyło tamtą chwilę z obecną. Zacisnęła pięść i z całej siły walnęła go w twarz. Tadeusz się zachwiał, a ona ruszyła biegiem do drzwi wyjściowych. Ktoś próbował ją gonić, ale zatrzasnęła pierwsze drzwi, dając sobie czas na zdjęcie rygla z następnymi. Cały żal i wściekłość, których pozbyła się dzięki blokującej terapii doktora Marcinkiewicza, wróciły w tej jednej chwili.

Kiedy biegła w kierunku wału oddzielającego cmentarz od Redutowej, łzy zalewały jej twarz, prawie nic nie widziała. Znała drogę na pamięć, często wracali tędy z kościoła. Opanowany przez historię oddech był coraz płytszy. Przewróciła się, dotkliwie raniąc skórę dłoni. Wstała. Ruszyła dalej. Chciała być jak najdalej od niego. Od tej kurwy, którą ruchał. Na pewno jeszcze nią śmierdział. Przed chwilą patrzyła mu w twarz i wciąż był nią przesiąknięty. Jeszcze raz odtworzyła w pamięci scenę zdrady. Kiedy powrócił obraz jego bladych pośladków, przyspieszyła. Nie mogła powstrzymać myśli o brudzie, który lepił się do ich ciał. Brudzie, który był w środku i wylewał się wszystkimi porami jego skóry. Znowu upadła. Teraz nie miała już siły wstać. Klęczała, dysząc i zalewając się łzami. Cicho skomlała.

- Heleno...

Usłyszała za sobą. Zacisnęła palce na ubitej ziemi. Czowała, jak kamyki ranią ją, wciskając się pod paznokcie. Położył dłoń na jej ramieniu. Wróciła cała nieblokowana już przez historię energia. Szloch zastąpiła żądza ukarania niewiernego. Odwróciła się i z całej siły odtrąciła jego rękę. Stał sam w ciemnościach. Wciąż trzymał wyciągniętą dłoń.

- Heleno, wróć do kościoła. Porozmawiamy...

Napięła mięśnie. Włosy lepiły jej się do twarzy wilgotnej od łez. Patrzyła na niego przez kilka sekund, których przemijanie wyznaczał szybki oddech. Złość narastała i znalazła ujście. Rzuciła się, brudnymi paznokciami orząc jego policzki. Chciała dosięgnąć oczu. Wydrapać, żeby

stracił wzrok, tak jak ona straciła napędzające ją uczucia. Zasłonił się ręką, drugą próbował złapać jej ramię. Przeszła do kolejnego ataku, okładając jego głowę pięściami. Krew pulsowała jej w skroniach, zagłuszając dźwięki otoczenia. Tadeusz pochylił się, próbując złapać ją w biodrach.

- Uspokój się! Musimy uciekać!

Zdołał ją objąć i już chciał zarzucić na ramię, kiedy z całej siły kopnęła go w krocze. Zgięty wpół zatoczył się do tyłu i potknął o wystający korzeń. Runął na plecy, zsuwając się po skarpie wprost pod cmentarny mur. Natychmiast dopadły go dwa cienie. Jeden dusił, a drugi rwał guziki koszuli, żeby zaraz potem zacząć gryźć. Stała, patrząc na szaleńców wyręczających ją w zemście. Pomyślała, że to nieważne, czyje ręce go ukażą, razem z jego śmiercią skończy się jej koszmar. Zapomni o zdradzie, o tych latach, przez które ją oszukiwał. Czuła, że robił to od lat. Za chwilę z tej fioletowej twarzy ujdzie życie.

Zaatakowali ją od tyłu. Upadła, rysując policzkiem po kamieniach. Ktoś złapał ją za włosy i zaczął walić jej głową o ziemię. Pamiętała tylko dwa pierwsze uderzenia. Potem rozległ się strzał i czarna noc zastąpiła mgłą nieświadomości.

\*\*\*

Na ostatnim zdjęciu stali we trójkę przed świętym Wawrzyńcem. Mały Staś trzymał w ręku koszyczek. Wielkanoc przed wojną. Dzieciak grzebie w święconce, a oni patrzą na siebie. Uśmiechają się. Promienieją

miłością. Tylko wtedy była szczęśliwa i tego nikt jej nie zabierze. Poradziła sobie ze zdradą. Wojna była dla niej granicą. Kiedy wybuchła, coraz rzadziej widywała męża i pewnie wtedy zaczął romansować. Stał się dla niej obcym człowiekiem. Ten Tadeusz przed wojną był miłością jej życia. Ten później – nieznanym człowiekiem, który udając zapracowanego, ale oddanego rodzinie mężczyznę, skrywał mroczne tajemnice.

Osuszyła łzy chusteczką wygrzebaną spośród rozrzuconych na pościeli fotografii. Płacz wiązał się u niej zwykle z katarem. Wytarła nos w jedwab, część haftowanej kolekcji higienicznej, którą dostała w spadku po ciotce. Na materiale zauważyła plamę krwi.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Z wysiłkiem usiadła na łóżku. Kręciło jej się w głowie. Po rozpalonym ciele przeszły dreszcze. Założyła szlafrok i powoli podniosła się z łóżka. Dzwonek znowu dał o sobie znać. Teraz ranił uszy odrobinę dłużej. Pomyślała, że to znowu Świadkowie Jedności nawiedzają ją ze swoją misją kaznodziejską i wychrypiała ciche „Już otwieram”. Kiedy dotarła do drzwi, opuściła ją resztką sił. Oparła się o ścianę i starła z czoła krople potu.

– Już – wysapała i przekręciła zamek. Nie miała siły sprawdzać gościa przez wizjer.

Na korytarzu stał mężczyzna w ciemnym garniturze, za nim czało się dwóch sanitariuszy z noszami.

– Źle się pani czuje? Przyszliśmy pomóc. – Ściągnął przyciemniane okulary, jego błękitne spojrzenie dawało nadzieję na szybkie ozdrowienie.

- Ale jak to? Ja nie dzwoniłam...

- Pojedzie pani z nami. Wyleczymy to... przeziębienie.

W jednej chwili z całego jej ciała odpłynęła energia. Nogi się ugięły i opadła na krzesło stojące przy drzwiach. Mężczyzna zaraz do niej doskoczył. Dotknął czoła. Łapiąc za podbródek, uniósł jej głowę i spojrzał głęboko w oczy.

- Mamy mało czasu. Jedziemy! - poinformował sanitariuszy.

\*\*\*

Patrzył, jak delikatnie kładą ją na noszach, i cieszył się, że zdążył zareagować. Przeklinał za to resztę dnia. Znowu zawiodła komunikacja między służbami. Ktoś dzwoni z góry i zatrzymanego trzeba oddać, bo jego wiedza stanowi niebezpieczeństwo. Wyrzucić człowieka z systemu, zanim wycisnie się wszystkie soki. Marnotrawstwo. Nikt po drodze nie pomyśli, co można zyskać, odpowiednio rozstawiając ludzi. W myślach zacierał ręce, planując, ile ugra przysługą dla chłopaków z kontrwywiadu.

---

[2](#) J. Gnatowski, *Oman - czarodziejska historia o rycerzu-upiorze, o wodnicy topielicy i o padewskim studencie*, Warszawa 1913, s. 5.

# ŚWIATŁA W BRAMACH

## 4.

*Posłuchajcie praskie syny,  
Na Ząbkowskiej, jakie cuda,  
Jak szukacie wciąż dziewczyny,  
Właśnie leci, cud uroda.*

*Jest zadbana, zgrabna, miła,  
Spróbuj złapać, będzie twoja,  
Przyciągania wielka siła,  
Nikt nie chwyci, trup dziewoja.*

Kapela przygrywała smutną melodię. Wokalista o znudzonej, napuchniętej alkoholem twarzy wydawał się nie mieć kontaktu ze zgromadzoną w lokalu publicznością. Jego wzrok ginął gdzieś w rozpościerającym się za oknem widoku portowego nabrzeża. Zachrypnięty głos był niemal hipnotyzujący. Połowa sali słuchała w zamyśleniu, a druga, nie przerywając wesołej libacji, przyciszyła rozmowy do

poziomu, który pozwalał wyrazić się artyście. Nawet zbierająca szklanki dziewczyna stąpała delikatnie po drewnianej podłodze, żeby nie zepsuć występu trzaśnięciem starej deski. W delectowaniu się muzyką przeszkadzał tylko chichot pulchnej dziewczyny, której jakiś dryblas wkładał do ust kawałki krojonego nożem jabłka.

Śmierdziało potem i trawionym alkoholem. Na wysokości wzroku siedzących unosiła się warstwa dymu, którą wzburzył przemieszczający się do baru lekko zawiany klient. Mimo że otwarto wszystkie okna, nikotynowa zawiesina nie chciała opuścić baru, a zwykle płynący od wody chłód, dający ukojenie po całym dniu upału, tym razem nie przedarł się do wnętrza starej barki. Gdzieś w oddali ćwierkały ptaki.

*Martwa leży na ulicy,  
Kto wyrzucił tu to ciało?  
Śmierć jest pełna tajemnicy,  
Życie uszło, odleciało.*

*Czy to służba bezpieczeństwa?  
Co na Pradze trzyma wartę,  
Może zawiślańskie szpiegi?  
Odwróciły śmierci kartę.*

Stoliczek przy oknie zajmowali studenci etnologii Uniwersytetu Praskiego. W małych zeszytach skrupulatnie zapisywali tekst kolejnych zwrotek. Mieli immunitet, tylko oni z frajerstwa mogli bezpiecznie siedzieć

w barze, nikt ich nie kroił ani nie zaczepiał. Sprytni chłopaki najpierw pogadały z Szybkim Zbyszkiem, pytając, czy mogą przeprowadzić swoje badania w ulubionym lokalu szemranej Pragi. Przystępnie wyjaśnili mu, że zbierają materiały na temat dziadowskiego bluesa, zrzucili się na małą łapówkę i szef speluny wydzielił im stoliczek, informując zainteresowanych łosiami klientów, że są pod jego kuratelą. Były jednak warunki. Dla bezpieczeństwa nie mogli przyprowadzać swoich koleżanek, bo żadne zakazy nie powstrzymają podchmielonej kuśki od zarywania ponętnych studentek. A amory w barze Kasa związane były zwykle z naparzeniem towarzyszących niewiastom mężczyzn. Zbyszek nie zgodził się też na wnoszenie drogiego magnetofonu, który niemal na pewno zniknąłby w niewyjaśnionych okolicznościach. Chciał uniknąć wizyty milicji poszukującej uczelnianego sprzętu nagrywającego.

*A na górze niespodzianka,  
Niemiec martwy na poddaszu.  
Kryminalna układanka,  
Śledczym zeżre dużo czasu.*

*Szewc coś wiedział o denacie,  
Jego żona coś widziała,  
Czy przeżyją przesłuchanie?  
Pyta już Ząbkowska cała.*

Siedział przy stoliku razem z chłopakami ze swojej ferajny. Dosiadł się do nich Szrama, cygański paser, który



przepuszczał swój dzienny utarg, przeklinając rudą, tłuściutką dziewczynę gadającą z wielkim typem przy stoliku obok. To z nią przyszedł do Kasy. Przez godzinę gruchali przy barze. Potem wyszli na chwilę zrobić sobie dobrze w portowych krzakach. Kiedy wrócili, zauważyła starego znajomego i natychmiast zapomniała o swoim towarzyszu. Cygan klął pod nosem, patrząc jak ruda zanosi się śmiechem z opowiedzianego na ucho kawału. Planował podejście i danie wielkoludowi po pysku, ale relacje służbowe nie pozwalały mu na tak śmiałe zachowanie. Dryblas o małych oczkach i małpio niskim czole współpracował z Zochą. Stara nie wybaczyłaby Cyganowi wpadki komplikującej dochodowy interes. Miał już u niej grubą krechę po zatajonym biznesie z esbecką stołówką. Pięćdziesiąt kilo opłaconego mięsa przepadło, kiedy kazała zerwać kontakt. Dochodziła do tego zawałona ochrona transportu ze Wschodu.

Chłopak oderwał wzrok od Szramy i przeniósł go na klienta stojącego przy barze. Tak naprawdę przychodził tu głównie dla niego. Nie znosił rzępolenia ulicznych grajków na siłę kopiujących amerykańskie granie podsłuchane na zachodnio-warszawskich falach. W domu czekały na niego, nagrane na uciulanym szpulowcu, świeże kawałki Kinksów i Jarbirdsów, a marnował wieczór na letargiczne chrypienie Kośki.

Obserwowany przez niego klient wdał się w rozmowę z Szybkim Zbyszkiem. Barman rozlał dwie szklaneczki żółtego samogonu i wypili, kiwając do siebie głowami.

Szóstka, tak go nazywali, był tu stałym gościem, wpadał na jednego wieczorami, a w weekendy spędzał w Kasie całe popołudnia. Zmienił się od czasu, kiedy widział go po raz pierwszy. Prawie dwa lata temu chłopak czaił się w parku, patrząc jak nieznany mu jeszcze Szóstka rozmawia z brodaczem. Na swój sposób zajął miejsce Tadeusza. Zamieszkał na Pradze kilka miesięcy po zniknięciu tamtego i po zapuszczeniu brody stał się odrobinę podobny do starego lekarza. Chłopak miał doskonałą pamięć, więc bez trudu przywołał z przeszłości obraz tego człowieka. Mimo że minęły prawie dwa lata, jego twarz posunęła się o dekadę. Podkrążone oczy, siwizna przedzierająca się przez włosy na skroniach. Nitki zmarszczek wokół oczu. Jednak nie można było powiedzieć, że Praga mu nie służy. Wtedy miał figurę gibkiego sportowca, teraz przybrał w ramionach. Potężną posturą górował nad drobnym barmanem. Pierwszy raz przyszedł modnie ubrany w wilgotną od potu koszulkę nonajron. Nie był też tak nawalony, jak w sobotnie popołudnia. Wesoło zawiany, a nie urżnięty w sztok. Od roku zastanawiało go, jak ten człowiek tak niespodziewanie i łatwo wpasował się w praskie układy. Inni przez całe życie pracowali na to, żeby zachować portfel podczas drzemki na barowym stołku w Kasie. Szóstka do niedawna sypiał tu regularnie i nigdy nie stracił żadnego fanta.

*Ponoć był tam człowiek trzeci,  
Milicjanci za nim węszą,  
Poszukują go Sowieci.*

*Te zagadki już ich męczą.*

*Wypuścili podejrzanych,  
Pogrzebali te dwa trupy,  
Śmierć zostanie tajemnicą,  
Jak po nocnym balu strupy.*

Stacha już nie bawiło, że trzeci człowiek z piosenki to on. Jak czerpać przyjemność z tego, że jest się jednym z bohaterów ulicznej ballady, kiedy nie można o tym nikomu powiedzieć? Mimo to lubił posłuchać rzępolenia zespołu Kośki. Stary dziad z kapeli podwórkowej ze swoim łatanym akordeonem doskonale wpasował się w nowy repertuar. Na gitarze grał syn wokalisty, któremu wyraźnie nie leżało flegmatyczne tempo utworu. Składająca się z dwóch talerzy i bębna perkusja była najsłabszym elementem zespołu. Nie z powodu braku umiejętności artysty, ale stanu jego upojenia. Rozpływały się maślane oczka, uśmiechnięte błogo usta co chwilę zwilżał językiem. Ręce gubiły rytm, kiedy wokalista robił pauzę między zwrotkami, i wracały do dyscypliny uskrzydlane głosem Kośki.

Kubiak spojrzał na zachwyconych granym kawałkiem studenciaków. Podnieceni szeptali sobie do uszu komentarze do kolejnych akapitów wyśpiewywanego tekstu. Naiwnie wierzyli, że mają do czynienia z autentycznym praskim folklorem. Kośka już kilka lat temu zwęszył interes, kiedy popularne stało się łączenie mody na bluesowe granie z balladą dziadowską. Zachodnie radio wciąż puszczało piosenki przywiezione przez

stacjonujących w Warszawie amerykańskich wojaków. Melodie docierały za Wisłę, gdzie chodzące po podwórkach kapele zaczęły testować nową partyturę. A po tej stronie rzeki ustny przekaz wciąż cieszył się popularnością, często odkłamując oficjalne komunikaty władz. Kośka zapisywał niektóre kawałki śpiewane po bramach i z czasem sam zaczął tworzyć własne. Przed wojną był redaktorem w wydawnictwie i odrobinę znał się na słowie pisanim, niestety kiepsko szło mu z poezją. Jednak jego częstochowskie rymy okazały się świetnie pasować do standardów polszczyzny stosowanych przez wędrownych śpiewaków. Jego syn nauczył się grać na gitarze w ZHP. Perkusistę wyłowił z grupy koncertujących pod wydziałem muzycznym studentów. Jedynym autentycznym ulicznym grajkiem był jego sąsiad harmonista, który sprzedał instrument w zamian za gotówkę na bieżące potrzeby. Zrealizował je tego samego wieczora, następnego dnia budząc się jako bezrobotny, skacowany grajek. Kośka zainwestował i odkupił akordeon, którego paser z Radzymińskiej nie był w stanie szybko upłynnić i już miał swoją kapelę dziada bluesa.

Piosenka, którą teraz śpiewali, powstała, kiedy Kośka siedział na dołku i czytał z nudów gazetę dostarczoną więźniom w zastępstwie srajtaśmy. To tam rozwodzono się nad tajemnicą podwójnego zabójstwa, w którym Stach brał tak znaczący udział. Na początku bał się, że ktoś na Ząbkowskiej rozpozna w nim trzeciego człowieka, dlatego zapuścił brodę i starał się nigdy nie ubierać tak, jak

tamtego listopadowego dnia. Staroniowa przestała być zagrożeniem, po miesiącu przesłuchań biedaczka wyszła na wolność, uściskała wnuki i zeszła na serce. Chcąc choć odrobinę uspokoić wyrzuty sumienia, oddał jej mężowi do naprawy pęknięty but, pod którego wkładkę schował kilka banknotów. Nigdy go nie odebrał, mając nadzieję, że te kilka groszy odrobinę poprawi los szewca, któremu odebrano kierownictwo zakładu i zmuszono do klepania butów w małym, bazarowym warsztacie.

*I nie radzę rozdrapywać,  
Szukać, węszyć i dochodzić,  
Lepiej wcale nie zgadywać,  
Na wolności dzieci płodzić.*

Kośka powrócił z artystycznego zamyślenia do świata żywych i uklonił się widowni. Jeden ze studentów zaczął klaskać. Zaraz przestał, widząc, że gratyfikacją dla zespołu jest postawienie im kielicha i wrzucenie czegoś do pomiętego kapelusza. Chłopak ruszył do baru. Poprosił Szybkiego o całą butelkę żółtego roztworu i, czekając aż barman wróci z zaplecza, oparł się o blat obok Stacha.

- Dziękuję, że dał nam pan namiar na Zbyszka. Bez pomocy krążylibyśmy po barach, zbierając lanie od miejscowych. A tak projekt rośnie.

- No, bezinteresowny nie byłem - odpowiedział Stach.

W myślach wrócił do uczelnianej kawiarni, gdzie podsłuchiwał rozmowę przyszłych etnologów na temat rasowej praskiej muzyki i zdecydował się zaproponować

wsparcie w zamian za przysługę. Skorzystali z jego dojscia, w rewanżu wypożyczając mu książki z uniwersyteckiej biblioteki. Mimo że zawodowo nie musiał już gromadzić wiedzy, to przyzwyczajenie pozostało. Poza tym zawsze lubił czytać, nawet zanim zaczął poszerzać swoje możliwości farmaceutycznymi cudami. Teraz nie zażywał już chemii pobudzającej pamięć, ale wciąż chciał poszerzać wiedzę, a publiczne biblioteki ograniczały się do popularnych opracowań.

- Na tym kawałku szczególnie nam zależało. Do projektu z dziennikarskim.

- Dziennikarskim?

- A taki międzywydziałowy nam wymyślili. Niby dla ochotników, ale obowiązkowy, jak się chce nadrobić nieobecności na kursie ideologicznym. Wie pan, we wrześniu poprawki. Wpadliśmy na pomysł, żeby wziąć jakiegoś dziadowskiego bluesa i prześledzić historię jego powstania. A dziennikarze wezmą na warsztat teksty prasowe dotyczące tej sprawy na Ząbkowskiej. My gadamy z ludźmi, a oni siedzą po bibliotekach.

Szybki przyniósł flaszkę. Student podziękował i poszedł do Kości wykorzystującego przerwę na przepłukanie strun głosowych cienkim piwem targowym. Stach przeklął decyzję o pomocy studenckiej. Zaczął się obawiać, że grzebiące w starej sprawie dzieciaki mogą coś wyciągnąć czy skojarzyć. Wypił kolejną postawioną przez Zbycha setkę i ruszył w kierunku wokalisty. Chciał choć trochę namieszać

w studenckim wywiadzie z podwórkową gwiazdą. Wtedy w rogu sali zaczęła się rozróżba.

- Spierdalaj od niej, kołku! - wrzasnął Cygan. Miał tak w czubie, że zamaszystym ciosem, zamiast w morde atakowanego typa, trafił w powietrze. Wielkolud wyciągnął łapsko spod spódnicy pulchnej dziewczyny i złapał Szramę za gardło. Był tak wielki, że nie musiał nawet wstawać. Stach ruszył w ich kierunku. W ostatniej chwili przygniótł do blatu drugą dłoń giganta, która już zaciskała się na rękojeści noża. Krojone nim wcześniej jabłko spadło na podłogę.

- Nie radzę. My tu sobie wybaczymy kretyńskie wpadki.

Wielka łapa wciąż ścisnęła romską szyję, a przekrwione gałki wpatrywały się w siniejącą twarz. Tylko blizny na cygańskim policzku zachowały bledszy odcień. Na sali zaszurały odsuwane krzesła. Dłoń puściła nóż, a oczy spojrzały na Stacha. Powieki uniosły się nieznacznie, na ustach wyrósł grymas zdziwienia. Kubiak pomyślał, że skądś zna tę twarz. Widział go gdzieś i to nieraz, dawno temu. Dryblas rozprostował zaciśnięte na gardle paluchy. Szrama łapczywie uzupełniał braki tlenowe.

- Społo was za Łomem staje.

Stach od razu zlokalizował wadę wymowy w archiwum spotkanych w życiu oprychów. Wielki bebecz i wałki tłuszczu oblepiające kiedyś szczupłą sylwetkę niemal całkowicie zmieniły rysy Kantorka. Dryblas wstał od stołu i uśmiechnął się do zgromadzenia, które urosło za plecami Kubiaka.

- Mój błąd, sełdecznie pszepłaszam.

Uśmiechnął się do sali, unosząc ręce w geście zgody. Miał nową, lśniącą szczękę. Stach ze zdziwieniem stwierdził, że seplenienie musiało być spowodowane czymś innym niż braki w uzębieniu. Wielkolud podszedł do Szramy, udał, że otrzepuje jego ramiona z nieistniejącego pyłu i szepnął zdanie, które usłyszeli tylko Stach i Cygan:

- Zajebie cie, czalruszku. - Potem spojrział na Stacha i dodał: - A my to sie jeszcze sabawimy.

Złapał nóż, złożył ostrze w rękojeść i rażno ruszył do wyjścia, mijając klientelę z powrotem zajmującą swoje miejsca. Stach odprowadził go wzrokiem, zastanawiając się, czy wychodzący klient rozpoznał w nim tamtego dwunastoletniego chłopca. W czasie wojny wykonał przeciw rozkaz ojca, wymierzając sprawiedliwość bandzie sepleniącego zbira.

- Grajcie coś szybkiego! - wrzasnął jeden z gości i zaraz rozległy się dźwięki modnej na Zachodzie melodii do swojskich słów.

*Już minął rok,  
jak rentę, kurwo, masz,  
I pomarszczoną twarz,  
I pomarszczoną twarz.*

- Chodź na taras - zaproponował Stach, łapiąc Cygana za ramię. - Odsapniesz.

Wyszli, zostawiając zdezorientowaną dziewczynę, która wciąż nie mogła się zdecydować, czy wybiec za olbrzymem,



poszukać sobie nowego obiektu miłości, czy też pocieszyć nadwyrężonego podczas potyczki Cygana. Na szczęście wielkolud zostawił prawie pół niedopitej flaszki, dając jej materiał na przynajmniej kwadrans beczynnych rozmyślań.

Kasa znajdowała się na barce, która kiedyś służyła jako dworzec wodny żeglugi wiślanej. Nikt nie potrafił odpowiedzieć, w jakich okolicznościach w czasie wojny została przeniesiona z Płocka do Warszawy. Kiedy w PRL-u rozpoczęto rozbudowę kanałów praskich, odholowano ją do rzadziej używanej przystani przy basenie stoczniowym. Odrobinę podmalowana stała się stołówką zakładową stoczniowców, a z czasem barem na wodzie, który, na pamiątkę dworcowej przeszłości, nazywano Kasą. Stocznię przeniesiono, basen zarastał, ale rozrywkowa funkcja dawnego dworca pozostała.

Stach oparł się o barierkę i spojrzał na Szramę, jednego z nielicznych ludzi Zochy wtajemniczonych w zawiślańskie pochodzenie Kubiaka.

- Daj fajka - poprosił Cygan. Stach poczęstował go bezfiltrowcem.

- Znasz tego typa?

- Interesy robi z Zochą. Nietykalny, ale chuj mnie strzelił, bo dupę mi wyrwał. Głupio zrobiłem.

- Jakie interesy?

- Człowieku, podstawa biznesu to konspiracja. Kup jakieś kwiatki, bombonierkę, przyjdź i sam ją zapytaj. Ja nie mogę puścić farby, i tak już nabroiłem.

- No. Inny już by dawno w parku sztywnych leżał, a ty tylko się wyszczerzysz i już odpuszczasz.

- Cygańska dusza i uroda.

Stach skwitował uwagę uśmiechem. Chwilę milczeli, patrząc w toń za burtą.

- Zemści się?

- Kto?

- No, ta góra mięcha.

- Jak sprawdzi, kto ja, to da spokój. Gorzej z tobą. Zocha aż tak twojej dupy bronić nie będzie. I tak jej sporo zawdzięczasz.

Cygan wrzucił niedopałek do wody. Odwrócił się w kierunku sali, ruchem dłoni udał, że saltuje do daszka nieistniejącej czapki i ruszył do środka.

- Fakt - odpowiedział Stach.

Alkohol szumiał mu w głowie. Chciał, żeby upojenie trochę zeszło, więc zdecydował się jeszcze chwilę zostać na zewnątrz. Grana przed chwilą melodia wciąż dudniła mu w głowie, a słowa nie chciały się odczepić. Zaczął wspominać sprawę Staronia i jej niewesołe skutki. W obozie spędził kilka miesięcy. Poza nadawanymi przez radiowęzeł okrojonymi informacjami nie wiedział nic o życiu za drutami fikcyjnej kwarantanny. Po każdym porannym apelu głośniki emitowały wiadomości wewnętrzne, nazywane przez osadzonych „ogłoszeniami parafialnymi”. Odczytywano nazwiska tych, którzy mają się zgłosić do przeniesienia na inny oddział, oraz listę atrakcji kulturalnych serwowanych w nadchodzących dniach.

Zwykle było to kino w świetlicy, głównie stare amerykańskie filmy, albo turniej szachowy, na który nikt się nie zgłaszał. Poddani kwarantannie nie wykazywali ochoty na żadną aktywność. Raz naczelnik wyszedł z propozycją stworzenia chóru obozowego. Stawiło się kilkanaście osób i zaśpiewało *Warszawiankę*, kończąc na słowach: „Kto przeżyje wolnym będzie,/Kto umiera wolny już”. Potem jeden z więźniów wyszedł przed szereg, wyciągnął nóż zrobiony z zaostrej łyżki i, wykonując teatralny gest, próbował przeciąć sobie żyły na przegubie ręki. Strażnicy szybko zareagowali, zabrali go do dyżurki i nikt już więcej nie widział samobójczego patrioty.

Po „ogłoszeniach parafialnych” leciał skrót wiadomości ze świata. Dominowały doniesienia o zaostreniu konfliktu w Wietnamie i typowych bratnich spotkaniach zachodnich polityków. Wiadomości kończyła piosenka ze szczytu aktualnej listy przebojów. Potem emitowano odcinek słuchowiska, który swoją ogólnopolską premierę miał tydzień wcześniej. Jeśli akcja radiowego serialu działa się współcześnie, wycinano fragmenty odnoszące się do aktualnej sytuacji w kraju. Przed emitowanymi przez głośniki dźwiękami można się było skryć jedynie w barakach, dlatego teren obozu pustoszał w czasie nadawania kolejnej audycji. Czasami spokojny głos znanego Stachowi porannego motywatora recytował zestaw kojących frazesów, cytatów z jego najnowszej książki. Dzieło to można było dostać w obozowej bibliotece, bogatej

również w prace klasyków, których znał na pamięć, i przygodową literaturę młodzieżową.

Stach źle znosił pierwsze tygodnie zesłania. Organizm buntował się po odstawieniu standardowego zestawu farmaceutyków przyjmowanego regularnie od prawie dziesięciu lat. Zimne poty zalewały go w bezsenne noce. Męczyły potworne sny, w których płaczący krwią rodzice obarczali syna winą za swoją śmierć. Uciekał przed nimi ulicami mglistego miasta, chyba Pragi. Co chwilę zaczepiali go ludzie, na których zesłał kostuchę. W dzień poddawał się milczącej rozpacz. Potem, dzięki chemii przyjmowanej razem z posiłkami, beznadzieję codzienności zastąpiła całkowita obojętność, brak zarówno pozytywnych, jak i negatywnych uczuć. Pomyślał, że tak właśnie musiała czuć się matka podczas wojennego epizodu z załamaniem nerwowym. Różnica polegała na tym, że Stach wciąż utrzymywał kontakt z otoczeniem. Razem z Ryśkiem analizowali swoją sytuację, za każdym razem kończąc jakimś mrocznym podsumowaniem. Trochę wspominali czasy studiów. Pijackie eskapady na hałdy piachu, który wiślane pogłębiarki zrzucały pod Zawadami. Marzyli o dziewczynach, które chyba na nich leciały, ale nie skorzystali z okazji, myląc rodzące się uczucie z przyjaźnią. Zmuszali się do tych rozmów. Zapewniający namiastkę normalności rytuał przerwali, kiedy na skórze dziennikarza pojawiły się czerwone krosty. Początkowo drobne kropki z czasem przerodziły się w ropiejące guzy. Na początku grudnia, w środku nocy, Stacha obudził szloch przyjaciela.

Nie zareagował, myśląc, że uwaga może zawstydić płaczącego mężczyznę. W czasie następnych nocy sytuacja się powtarzała. Ryszard całkowicie wycofał się z życia obozowego, wstawał tylko na apele i codzienne, obowiązkowe wizyty w lazarecie. To tam, w obecności strażników, lekarze pobierali im krew do analizy i wstrzykiwali testowane środki. Tuż przed świętami dziennikarz awansował do grupy przebywającej w sąsiedniej strefie. Tam nie było już otwartego obozu. Więźniów trzymano w odizolowanych kontenerach. Na spacerki wyprowadzali ich żołnierze odziani w uniformy przeciwskażeniowe, każdego osobno.

Stach zauważył, że jego przyjaciel i tak stosunkowo długo przebywał na wstępnym etapie kwarantanny. Większość więźniów spędzała tu najwyżej miesiąc. Po nowym roku Kubiak był już pewny, że utknął w przedsionku eksperymentalnego piekła. Jako jedyny siedział tu dwa miesiące. Pojawiła się wola walki. Odstawił na bok wyrzuty sumienia i skupił się na szansie przeżycia. Logika upierdliwie szeptała do ucha, że stąd nie ma wyjścia. Ale potraktował ją tak, jak objawy przedawkowania. Uciszał, niczym lęki wytwarzane przez chory umysł. Znał techniki. Nadmiar wolnego czasu spożytkował na ćwiczenia fizyczne. Zmuszał się do ich regularnego wykonywania, dokładnie dwa razy dziennie przez godzinę. Zrobił z tego obowiązek, który wypełniał nawet w chwilach wszechogarniającej rozpacz.

Starał się rozmawiać z innymi więźniami, ale rzadko który miał ochotę na zwierzenia. Dopiero w lutym zaprzyjaźnił się ze starym socjologiem Jarzębskim, organizatorem koła marksistowskiego na warszawskim uniwersytecie. Profesor nawet w obozie zaprzeczał oskarżeniom o finansowanie swojej działalności przez Sowieców. Za szpiegostwo przesiedział rok na Rakowieckiej. Potem delegowali go do kwarantanny. W areszcie dzielił celę ze Świadkiem Jedności i nawrócił się na heretyckie chrześcijaństwo, nie rezygnując z podstaw materializmu historycznego. Podczas zimowych spacerów wykładał Stachowi skomplikowaną siatkę połączeń między wiarą w Boga i marksizmem. W tych rozważaniach opierał się na przekonaniu, że dusza to forma materii, a materia u Marksa jest przecież niezniszczalna i wieczna.

- Materia istniała zawsze i będzie istnieć - mówił. - Podobnie jest z duszą u Świadców Jedności. Istniała zawsze i będzie istnieć. Oni to sobie wspaniale wykalkulowali, wzięli trochę z mistyki Wschodu i wrzucili reinkarnację do chrześcijańskiej nieśmiertelności duszy. Tyle że u katolików dusza rodzi się razem z człowiekiem, a u buddystów i Świadców wędruje między bytami, aż do połączenia się z jednością, czyli Bogiem. Prawda?

- Świadcowie... no wy... wierzycie, że jesteśmy jedną duszą, rozczłonkowaną na wielu ludzi. Tak to chyba było? Ona narodziła się z jednego boskiego ducha i kiedyś połączy się w jedność... Zdaje się, w duchu Chrystusa -

odpowiadał, przypominając sobie opracowania z historii religii.

Jarzębski słusznie łączył ten ruch z zainteresowaniem mistyką Wschodu. Stach czytał, że koncepcja jedności narodziła się w głowie niejakiego Frantza Lewiera, sympatyka Bławatskiej, okultysty amatora, a z zawodu inżyniera. Lewier, syn Polki i niemieckiego Żyda, na początku lat pięćdziesiątych XIX wieku studiował w Paryżu, tam zaprzyjaźnił się z Ernestem Malinowskim i dwie dekady później wylądował w jego peruwiańskim zespole budującym kolej transandyjską. Na miejscu obudziły się jego etnograficzne skłonności, tak głęboko wszedł w środowisko miejscowych Indian, że dali mu skosztować Ayahuasca, pnącza dusz, silnego psychodeliku, po którym doznał objawienia. Kiedy kilka lat później wrócił do Europy, miał już opracowany cały system religijny, towarzyszyła mu nawet grupka pierwszych wyznawców. Po śmierci Lewiera z doktryny Świadców Jedności usunięto używki, wyznawcy od teraz wystrzegali się wszelkich farmaceutyków, alkoholi, nikotyny, a nawet kawy, dodano też obowiązek misyjny obejmujący wszystkich wiernych. Dlatego chodzili po domach zatwardziałych katolików, tłumacząc, że nieśmiertelność duszy wiąże się z jej wędrówką, na której końcu wszyscy staniemy się Chrystusem, a właściwie wszyscy nim jesteśmy. Skuteczność ich kaznodziejskiej działalności była niewielka. Zaledwie co setny z nawiedzonych dawał się zaprosić na spotkanie w zborze, a co dziesiąty z misjonarzy lądował na izbie przyjęć po

ciężkim pobiciu na tle obrazy uczuć religijnych. Władze uważały ich za nieszkodliwy ruch, na Zachodzie tolerowany głównie dlatego, że w centralnym miejscu stawiał nie bóstwo, a doskonalącego się człowieka.

Dla starego profesora ich rozmowy były działalnością kaznodziejską, dla Stacha rozrywką porównywalną do tak lubianych lektur fantastycznych i namiastką zbierania nowych informacji. Jarzębski dzielił się też wiedzą z zakresu akademickiej socjologii. Był żywiołowym człowiekiem, którego nawet podawane w obozie środki uspokajające nie pozbawiały wrodzonej energii. Stach przypuszczał, że wiara i przymus ewangelizacji pomagały mu pozytywnie spojrzeć na swoją sytuację. Kiedy na początku marca nazwisko socjologa pojawiło się na liście przechodzących do kolejnego etapu, ten cieszył się, że i tam będzie mógł nieść nowinę jedności. Stach nie powiedział mu o ścisłej izolacji pacjentów w obozie wewnętrznym.

Dwudziestego pierwszego marca przywitał wiosnę w wyjątkowy sposób. Wcześniejszy dzień wypełniła obozowa rutyna. Gdyby nie wydarzenia następnego poranka, nie widziałby nic dziwnego w ogarniającej go na długo przed ciszą nocną senności. Ot, zwyczajna słabość związana z wiosennym przesileniem. Dopiero potem zdał sobie sprawę, że podana mu na kolację kawa zbożowa wcale nie była gorszego sortu, a gorzki smak zawdzięczała usypiającym dodatkom. Położył się w dwunastym baraku obozu Wilków 2, a obudził na piaszczystej łące otoczonej przez niskie krzaki. Głowa mu pękała. Zamiast



pomarańczowego uniformu miał na sobie sprane dżinsy, wełniany sweter i cienką kurtkę przeciwdeszczową.

W kieszeni znalazł tylko niewielką kartkę z napisanym na maszynie komunikatem „Nie wracaj na lewy brzeg. Nie szukaj. Nie wiesz. Daj spokój, a przeżyjesz. Masz szansę zacząć nowe życie, nie zmarnuj jej, bo następnej nie będzie”.

Wyszedł z krzaków i między drzewami dojrzał żerańskie kominy. I bez tego wiedział, że jest z powrotem na Pradze. Przez chwilę męczyły go pytania - kto i jak uwolnił go z obozu? Kim jest autor liściku? Co wpłynęło na jego los, jaka machina zadziałała gdzieś w warszawskich biurach, że zdecydowali się wypuścić kłopotliwego więźnia? Czyżby znowu stał się potrzebny Wróblewskiemu? Albo Domagała się stęsknił, bo nie miał kogo doprowadzać do pasji? Tyle że gdyby chcieli pogadać, musieliby się udać na praską pielgrzymkę.

Zdecydował się odłożyć budowanie teorii na później i zająć bieżącymi sprawami. Teraz najważniejsze było znalezienie kogoś, kto pomoże mu przeżyć na obcej ziemi. Pomyślał, że może pójść na Kamionek, do drukarni, i sprawdzić, czy kontakt ojca sprzed kilku miesięcy jest jeszcze aktualny. Po drodze miał Szpital Praski, w którym pracował Tadeusz. Tam skierował swoje pierwsze kroki, żywiąc nadzieję, że ojciec jednak przeżył. Drogi na oddziały pilnował legitymujący wszystkich strażnik, zapisywał dane w wielkim zeszycie. Stach nie miał żadnych dokumentów, więc skręcił na wolną od biurokracji izbę przyjęć. Usiadł

w kolejce jęczących cicho uczestników wesela, na którym serwowano zepsute mięso. Czekał, aż pojawi się jakaś salowa lub pielęgniarka. Podpity wodzirej, trzymając się za brzuch, próbował obudzić ducha zabawy w zgromadzonych weselnikach. Wszyscy go ignorowali. Z dyżurki lekarzy wyszła na oko pięćdziesięcioletnia kobieta w białym kitlu i zaczęła go uspokajać. Kiedy pojawiły się bluzgi, zagroziła, że wezwie milicję. Stach przeklął w duchu. Wstał i podszedł do chwiejącego się delikwenta.

- Siadaj, chuju, i czekaj grzecznie na swoją kolej, bo przypierdolę i pani będzie musiała zszywać - szepnął mu do ucha.

Podziałało. Kobieta podziękowała mu uśmiechem i ruszyła z powrotem do dyżurki. Podbiegł do niej i zagadał:

- Przepraszam, chciałem o coś zapytać.

- Może pan pomógł, ale poza kolejką nie mogę przepuścić.

- A nie, ja zdrowy. Tylko szukam kogoś, znaczy się doktora Kubiaka szukam.

- Nie pan jeden. - Spojrzała na niego nieco uważniej. - Od listopada nikt go nie widział. Zniknął jak stał. Do roboty nie przyszedł. Pan tych jego kolegów zapyta... - przerwała, gryząc się w język. - A co, pan może z esbecji?

- Dziękuję. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Nie było sensu wdawać się w zbędne wyjaśnienia.

Miał blisko na Żąbkowską. Zdecydował się sprawdzić, czy może jakimś cudem Stara Zocha przeżyła ich ostatnie spotkanie. Na ulicy wypatrzył znajomego Cygana i ruszył za

nim. Kiedy śledzony skręcił do jednej z bram, wszedł na to samo podwórko. Szrama rozmawiał z kimś przy wejściu na klatkę schodową. Stach zagwizdał i uniósł ręce, dając do zrozumienia, że ma pokojowe zamiary. Rom spojrzał na niego, powiedział słowo swojemu rozmówcy, który zaraz schował się we wnętrzu kamienicy.

- Czego? - zawołał Szrama, podchodząc do niego.

- Zocha jeszcze dycha?

- A chuj ci do tego.

- Powiedz jej, że syn doktora czeka przy pierogach - odwrócił się i poszedł na bazar.

Królowa Różyca miała się świetnie. Już później dowiedział się, że chwilę chorowała pod koniec listopada, ale jej stalowy organizm pokonał chorobę, tak jak zagoił rany po dwóch zamachach nożowników i zregenerował się po zapaleniu płuc wywołanym kąpielą w lutowej Wiśle. Jej bytowanie wśród żywych oznaczało, że i rodzice mogli pokonać przekazaną przez niego chorobę. Przyjęła go w szemranym kasynie na zapleczu baru. Rozmowa była krótka.

- Pomogę, ale wygląda, że tym razem zostajesz na dłużej.

- Teraz jestem bezpaństwowiec. W świat może bym i ruszył, ale Praga piękne miasto, trochę posiedzę.

- Masz tu trochę grosza na rozruch, oddasz później, a teraz pójdziesz do fotografa, tam zaraz jak się Kawęczyńska zaczyna, po lewej. Powiesz, że zdjęcie

paszportowe chcesz, bo z ciotką Zośką do Złotych Piasków jedziesz. Podadzą termin odbioru. Robotę też dostaniesz...

- A, nie trzeba... - uśmiechnął się. Czuł, że kobieta właśnie wciąga go w jakieś brudy.

- Synu, tu jest ojczyzna robotników, każdy musi mieć glejt z fabryki. A jak chcesz żyć na Pradze, to zależysz, od innych zależysz. Nie unikniesz drobnych przysług. Moja oferta jest prosta. Zwolnił się etat i potrzebuję człowieka, co z psami nie romansuje. A ty kochliwy to tu chyba nie będziesz. Stanowisko pewne, państwowe z nadania. Tylko okiem rzucisz na moich... pracowników.

Szybko przeanalizował sytuację i przypomniał sobie obozowe postanowienie: zrobić wszystko, żeby przeżyć. W ciągu kilku sekund przekroczył granicę między stróżem prawa a przestępcą. Robił to bez wyrzutów sumienia, bo dojrzał do tej decyzji przez ostatnie miesiące. Jego dotychczasowa postawa przyniosła bliskim tylko cierpienie. Przyjął propozycję. Pomyślał, że najwyżej bilans wyjdzie na zero i wyląduje na jednej pryczy z Hitlerem. Zresztą, część odsiadki w czyścicu już zaliczył. Dopiero z czasem przekonał się, że Zocha miała rację i jako nowy mieszkaniec Pragi musiał dołączyć do siatki wzajemnych przysług.

- Jest jeszcze jeden warunek. Pracujesz dla mnie, kończysz z chemią. Zero wspomagaczy. Chcesz, to codziennie po robocie chlej sobie w trupa, ale żadnych farmaceutyków. Jak cię głowa zaboli, dwa razy myślisz, czy brać aspirynę, czy walnąć winiaczek. Recepty na dzienny przydział oddajesz mi.

Minął rok z hakiem. Stach bez trudu zaaklimatyzował się po prawej stronie Wisły. Oczywiście nie zostawił sprawy ojca i przez pierwsze miesiące próbował go odnaleźć, ale kamionkowski kontakt okazał się chybionym strzałem. Dotarł do kilku ROR-owców. Zgodnie potwierdzili zeznania lekarki ze szpitala, Tadeusz zniknął nagle. Takimi metodami usuwania działaczy podziemia posługiwała się Służba Bezpieczeństwa. Wielu opozycjonistów zabierano z ulicy albo z domu, zwykle bez świadków, a potem rozpuszczano plotki, że to przestępcze porachunki. Zastanawiał się nawet, czy komuniści nie mają w Polsce identycznych obozów, jak te po drugiej stronie Wisły. Ale umierający na nieznaną chorobę Tadeusz do niczego im by się nie przydał. Chyba że tak jak Zocha pokonał zarazę. Od konspiratorów Stach próbował wyciągnąć informacje dotyczące prywatnego życia ojca, ale nikt nie wiedział, co poza pracą zawodową i działalnością podziemną robił lekarz opozycjonista. Zawsze był skrytym człowiekiem.

Nowy obywatel Pragi nie mógł też szukać odpowiedzi po zachodniej stronie, po pierwsze dlatego, że obawiał się o życie bliskich, po drugie chwilową odwilż w stosunkach międzynarodowych przerwał udział oddziałów RP w wojnie w Wietnamie. Wschód zerwał program rodzinnych spotkań i zabrał się za siatkę obcych agentów. Praskie gazety co chwilę rozpisywały się o ujęciu kolejnego kreta. Klimat po tej stronie Wisły nie sprzyjał poszukiwaniom i zmuszał Stacha do zachowania wyjątkowej ostrożności przy kontaktach z władzami.

Oderwał się od wspomnień. Wrócił do widoku roztaczającego się po drugiej stronie kanału. Początek sierpnia. Zielony Port Praski. Przed nim śpiewają ptaki, ludzie za plecami wesoło drą mordy. Wszystko cieszy się życiem. Gdyby został po tamtej stronie, pewnie konałby w męczarniach zalany ropą z pękających krost. Choć do dziś męczyły go pytania o nagłą odmianę własnego losu i to, kto pociągnął za sznurki, doprowadzając do jego uwolnienia.

- Szóstka - zawołał go jeden z podopiecznych. - Napij się, bo ci uschnie.

\*\*\*

Staroń lubił taką pogodę. Co prawda żar lał się z nieba, ale przez kilka miesięcy mógł ogrzać schorowane członki przed czasem wilgoci i chłodu. Szczególnie ciężka była ostatnia zima. Kiedyś żona codziennie smarowała mu zbolące gnaty końską maścią. Zaniedbał się, bo nie wiedział, gdzie wychodziła cenny specyfik, i łykał tylko zwykłe apteczne przeciwbólowce. Teraz paralizujący ból nie doskwierał, mógł spokojnie pracować, ale cały luty przeleżał w łóżku. Gdyby nie dzieci, pewnie umarłby zagłodzony. Szczególnie doskwierały mu połamane przez esbecję palce lewej dłoni. Nawet teraz, pakując torbę z narzędziami, musiał ignorować kłucie w stawach. Kiedyś wybór jego usług był szeroki, do pomocy miał trzech terminatorów. Teraz spadł na samo dno zawodowej drabiny, wykonywał drobne

naprawy, całymi dniami siedząc na stołku pośrodku przelewającej się przez Różyca ludzkiej masy.

Pożegnał się z handlarzem bielizną, staruszką, którego córka wcisnęła na bazar, żeby darmożjad nie siedział beczynnym w domu. To był teraz jego jedyny przyjaciel. Dawni sąsiedzi i znajomi obawiali się zbliżyć do szewca napiętnowanego polityczną aferą. Praga wciąż pamiętała zagadkowe podwójne zabójstwo, w które zamieszani byli Staroniowie. Mimo zapewnień, że nic nie wie, że nikogo nie wydał, ludzie szeptali, że niejedną tajemnicę zabrała do grobu jego żona i tylko on tak naprawdę wie, co mają na sumieniu. Na przesłuchaniach nic nie powiedział, a wydać mógł tylko Henryka, swojego szwagra. Kiedy rwali mu paznokcie, powtarzał sobie w duchu, że rodzina to świętość, a na głos, że Niemiec przyszedł do warsztatu, który odwiedzał już przed wojną, i poprosił o schronienie w zamian za hojne wsparcie szewskiej rodziny. Przez lata obojętności łamania w stawach nauczył się panować nad bólem. Pomogły też okupacyjne doświadczenia - trzy miesiące spędzone na Pawiaku. Nie pisał słówkiem, że to szwagier, dawny aptekarz, handlował z tym martwym za okupacji i podrzucił mu to kukułcze jajo. Nikogo nie zdradził, trzymając się wersji o odwiedzinach przedwojennego klienta. Po wyjściu z esbeckiego aresztu Henryk zerwał kontakty, Staroń trochę żałował, że krył niewdzięcznika. Na pogrzebie małżonki, rozgoryczony, publicznie obwinił go o śmierć siostry. Od tamtego czasu nie widział szwagra na oczy.

Do domu miał tylko kawałek, teraz dzielił mieszkanie z rodziną, którą wcisnął mu kwaterunek. Młode małżeństwo sterroryzowane przez trójkę rozwrzeszczanych bachorów. Z bazaru wracał skrót, od Markowskiej. Dreptał niespiesznie po kocich łbach. Widział, że od Ząbkowskiej zbliża się samochód. Pojazd zgrabnie go wyminął, ale, o dziwo, zaraz się zatrzymał. Nawet się nie odwrócił, kiedy kierowca wysiadał z auta. Poczł tylko wielką łapę zakrywającą mu usta i drugą obejmującą go od tyłu. Upuścił torbę z narzędziami. Wciągnął w płuca drażniące opary i odpłynął.

\*\*\*

Słońce zachodziło nad dachami Pragi. Pogodni ludzie odpowiadali na uśmiech Stacha takim samym wyrazem twarzy. Wracał do domu w doskonałym nastroju wywołanym szumiącym w głowie alkoholem. Kopyta konia ciągnącego przejeżdżający obok wóz nadawały rytm muzyce miasta. Tramwaje pędzące Targową wydawały metaliczny dźwięk płynnie łączący się z uderzeniami podków. Nawet szelest trzymanej pod pachą ortalionowej kurtki dodawał kilka nut do muzycznego pejzażu. Cieszyły go dzieci biegające po podwórkach, których głosy były chórem tej orkiestry. Wszystko grało. Wszystko szło ku lepszemu. A te kilka aktualnych problemów i dawnych spraw do wyjaśnienia krążyło teraz po orbitach, do których nie dochodziły dźwięki jego praskiej uwertury. Lubił takie podchmilenie. Ostatnio zdarzało się coraz częściej, zastępując



wcześniejsze, dramatyczne darcie mordy. Wiedział, że to wpływ kobiety, która czeka na niego w domu. To dla niej wracał spacerkiem, licząc na to, że alkohol choć trochę wyparuje mu z głowy i nie urazi swoim stanem ukochanej. Po drodze zamierzał jeszcze zahaczyć o bazar i wypić szklankę soku z ogórków, który, miał nadzieję, odrobinę zamaskuje odór gorzały. To pierwsza kobieta, z którą zamieszkał od czasów nieudanego małżeństwa. Teraz nareszcie miał mieszkanie, skromne, z kwaterunku, ale własne. Te kilka lat temu, kiedy ożenił się z matką Jadzi, z automatu dzięki znajomościom teścia dostał apartament na Ochocie. Potem gdy wszystko się zawaliło, jej łebski prawnik zabrał mu nawet prywatną biblioteczkę. Jak gołodupiec musiał pomieszkiwać w hotelu pracowniczym. Władza ludowa już po trzech miesiącach legalnej pracy oddała do jego dyspozycji dwadzieścia pięć metrów z wnęką kuchenną. Sanitariaty były wspólne dla całego piętra, ale przynajmniej było gdzie upichcić obiad i nie zmieniali mu pokoju co kwartał.

Dwadzieścia minut później stanął na rogu Kobielskiej i Podskarbińskiej. Jego kamienica była jedynym obskurnym budynkiem w okolicy. Resztę odnowiono lub dobudowano dziesięć lat temu, kiedy otoczenie dawnego targu końskiego przerobiono na kampus Uniwersytetu Praskiego. Dotąd akademickie zastosowanie miały tylko budynki dawnego Wydziału Weterynaryjnego UW, który nie przypadkiem ulokował się akurat przy kiedyś największym w Warszawie punkcie handlu bydłem. Teraz instytut stał się centralnym

budynkiem kompleksu, administracją nowej uczelni. To w nim mieścił się też wydział nauk społecznych. Nowy gmach, oddzielający Grochowską od dziedzińca, jedynej niezabudowanej pozostałości targu, nawiązywał do radzieckiej mody na socrealistyczną bryłę. Mieścił się w nim Wydział Chemii i Farmacji. Jedynym w pobliżu obiektem użyteczności publicznej nienależącym do uczelni było kino 1 Maj. Pozostałe instytuty, mniej ważne ze strategicznego punktu widzenia, rozsiano po otaczających plac nowych budynkach i odnowionych kamienicach. Poszczególne zakłady naukowe spacerujący po Kamionku prażanin mógł odkryć również przy pobliskich ulicach. Filologie zepchnięto na Terespolską, historię, etnologię i nauki ścisłe w głąb Podkarbińskiej. W ten sposób Stach wychodząc co rano do pracy, wpadał w tłum wlokących się na zajęcia studentów. Rozważał nawet rozpoczęcie studiów wieczorowych, chciał pouczyć się języków obcych. Odwlekał sprawę, bo zgromadzenie odpowiednich papierów wymagało od niego nakładu finansowego. Musiałby nabyć dyplom ukończenia jakiejś szkoły średniej, bo zestaw dokumentów, jakim obdarowała go Zocha, składał się tylko z dowodu, świadectwa zaliczenia odpowiedniego kursu zawodowego i lewych referencji z poprzednich zakładów pracy.

Plac główny kompleksu akademickiego był wyludniony. Studenci mieli wakacje. Wszedł do kamienicy i zaczął się wspinać obdrapaną klatką schodową. Łuszcząca się farba odpadała, ilekroć oparł się w niemacany jeszcze przez

lokatorów miejscu. Na ostatnim piętrze przystanął. Chuchnął, zakrywając dłonią usta i nos. Nie poczuł smrodu trawionego alkoholu. Zdawał sobie sprawę, że to nic nie da, wyczulony na wyroby spirytusowe węch jego konkubiny wykrywał nawet kieliszek winiaku przykryty kawą i dwudaniowym obiadem. Nacisnął klamkę i wszedł do domu. Przywitał go zapach rosółu. Pokonał wąski przedpokój, którego wszystkie ściany zamieniono na szafki i pawlacze. Wszedł do pokoju, ich gniazdka miłości, gabinetu, kuchni i jadalni w jednym. Siedziała przy małym biurku obok okna i czytała gazetę. Opuściła „Życie Pragi” tak, żeby zza prasowej płachty mógł dojrzeć jej piorunujące spojrzenie. Ale on widział tylko zielonkawy odcień tęczy obramowanych cudną powieką i blond włosy, w których miał ochotę zanurzyć palce. Jeszcze bardziej obniżyła gazetę, żeby widział spięte w grymasie niezadowolenia usta, a jego niosła wyobrażenia i chciał je ucałować, złamać opór złości pieszczotami. Mimo że wykonał tylko jeden krok w jej stronę, bezbłędnie odczytała jego zamiary.

- Niczego nie próbuj. Na kilometr walisz gorzałą. Tam masz rosół. Podgrzej sobie. Zjedz i spadaj na balkon. Nie wracasz, dopóki nie odtajesz.

- Ale, kwiatuszku...

- Co dzisiaj mamy?

- No... - zamyślił się. - Pierwszy sierpnia.

- Dzień tygodnia, śmierdzielu.

- Wtorek.

- A umowa była?

- No, soboty. Ale tylko dwa piwka strzeliłem po trasie.
- Tu mi świnia idzie - wygięła palcem prawą powiekę - i wózek ciągnie.

Bez słowa podszedł do kuchenki i odkręcił gaz. Boże, jak kochał te ich słodkie kłótnie. Jeszcze kilka słów, a doprowadziłyby Wandę do furii, podczas której posłałaby mu wiąchę utkaną ze swoich garwolińskich przekleństw. Marszczyła wtedy ślicznie czoło, zaciskała te swoje piąstki i wygrażała, że się wyprowadzi i znowu będą się spotykać po barach mlecznych, a o jedno małe buzi będzie musiał ją błagać przez tydzień. Ubóstwiał te małe burze, ale tą chciał zakończyć jak najszybciej. Odsiedzi kwadrans na zewnątrz, po czym ona zaprosi go do środka i będzie mógł się z nią podzielić radością z życia, która spłynęła na niego podczas spaceru. Choć libido dawało znać, że nawet pięć minut zesłania będzie istną męczarnią.

Zjadł, wziął ze stołu książkę i bez słowa wyszedł na słońce. Nawet na chwilę nie przerwała swojej prasówki. Za oknem mieli właściwie nie balkon, a prawdziwy taras wielkości niemal połowy pokoju. Zaleta mieszkania na ostatnim piętrze, które przedwojenny architekt zdecydował się upiększyć przestrzenią odgrodzoną od praskich dachów misternie kutą balustradą. Na podłodze leżały popękane kafelki z wciąż wyraźnymi wzorami kwiatów. Miejsca było tak dużo, że w niektóre upalne wieczory kładli koce, pierzynę i spali na zewnątrz. Mieszkania niżej były może większe, ale ich maleńkie balkoniki mieściły zaledwie jedną szczupłą osobę wieszającą na balustradzie dwie pary

maciupkich gaci. Usadowił się na starym krzeselku i zapatrzył na gałęzie drzewa, które rosło w centralnym miejscu podwórka. Gdzieś daleko dało się słyszeć dźwięk wyjących syren. To po drugiej stronie Wisły, pomyślał. Warszawiacy upamiętniali rocznicę „godziny W”. „W” jak wirus, bo mimo wieloletnich tłumaczeń historyków, że Niemcy użyli gazu, a nie pozbawionych struktury komórkowej cząsteczek organicznych zbudowanych z białek i kwasów nukleinowych, mieszkańcy stolicy wciąż opisywali sierpniowe wydarzenia jako epidemię wirusową. Na Pradze nie obchodzono tej rocznicy. Ładunki z gazem wybuchły tylko po zachodniej stronie, rzeka miała zatrzymać rozprzestrzenianie się opętanych żądzą krwi warszawiaków. Szybko spacyfikowano praskich powstańców sparaliżowanych wiadomościami dochodzącymi zza Wisły. Przez chwilę wspominał dni grozy. Nie odwracając wzroku od kamionkowskiej panoramy, sięgnął po paczkę papierosów, która zwykle leżała na parapecie. Usłyszał pukanie w okno i zaraz popatrzył w cudowne oczy za szybą.

- Walisz, jakby cię w kompocie z ruskich kiepów kąpali. Chcesz się jeszcze dzisiaj miziać? To zapomnij o jaraniu.

\*\*\*

- Czym by tu obywatela pomiziać? - głos zadający pytanie odrobinę się załamał. Zapiszczał przy trzeciej sylabie ostatniego słowa. Należał do dorosłego człowieka, który widocznie tracił panowanie nad wysokością wydawanych

dźwięków. Jak nastolatek przechodzący mutację. To były pierwsze od czasu przebudzenia słowa, jakie dotarły do uszu Staronia. Chwilę zajęło mu zdanie sobie sprawy z tego, że słuch jest jedynym zmysłem, jaki umożliwia mu kontakt ze światem. Oczy miał czymś szczelnie zasłonięte. Na twarzy czuł ciepło. Węch zagłuszył intensywny zapach zgnilizny. Na języku nieznaną gorycz, a w gardle uschnięte struny głosowe. Był chyba nagi. Próbował się poruszyć, ale członki były jakies zdrętwiałe, blokowały je sznury, którymi był opleciony jak delikatesowa szynka. Tylko ręce odpowiadały na polecenie ruchu, od klatki piersiowej w dół nic nie czuł. Leżał na czymś twardym. Wiedział też, że kidnaperów jest co najmniej dwóch. Ten, który się odezwał, wcześniej grzebał w jakimś żelastwie, tuż obok jego prawego ucha, a w tym samym czasie, gdzieś dalej, szurał krzesłem drugi osobnik.

- O, to będzie pasowało.

Zdjęto mu materiał z twarzy i odkrył, co go tak w nią grzało. Porażony intensywnym światłem natychmiast zamknął oczy. Kilka centymetrów od jego nosa paliła się mocna żarówka. Oślepiła go nawet przez zaciśnięte powieki.

- O, przepraszam - głos znowu się załamał.

Mężczyzna odsunął lampę od twarzy Staronia. Szewc zdecydował się odczekać jeszcze chwilę, nim znowu otworzy oczy.

- Jak to się nazywa? - usłyszał nad sobą.

Powoli rozchylił powieki i zobaczył swój szpikulec do przebijania otworów w skórze. Trzymał go wąsaty brunet o niezdrowo podkrążonych oczach. Gdzieś tak po czterdziestce. Porywacze zabrali jego torbę z narzędziami. Chciał mu odpowiedzieć, gdzie ma sobie wsadzić narzędzie szewskiej pracy, ale nie mógł wydobyć głosu z suchego gardła.

- Wody? - zapytał stojący nad nim mężczyzna i schylił się gdzieś poza zasięg widzenia Staronia. Po chwili trzymał w rękach butelkę po mleku wypełnioną do połowy wodą.

- Tylko nie pazernie, bo się nam udławisz. - Przechylił naczynie i wylał trochę wody na usta spętanego.

Szewc łyknął trochę płynu, sporo polało się po policzkach i spłynęło gdzieś pod głowę.

- Szpilarek. To się nazywa szpilarek, prawda? - odkrył radośnie bandyta, gładząc palcami szpikulec.

- Po chuj ci ta wiedza? - wychrypiał Staroń. - Chcesz się znać, to idź na terminatora.

- Masz rację - głos rozmówcy znowu zapiszczał. - Nie po nauki do ciebie przychodzę. Będę pytać o inne sprawy. A twoje narzędzie przyda się tylko do demonstracji.

Przysunął się bliżej klatki piersiowej szewca, który, próbując przekręcić głowę, odkrył, że jest unieruchomiona tak, żeby nie był w stanie patrzeć na swój tułów. Na lewym boku, gdzieś poniżej żeber, pojawił się lekki nacisk na skórę, po którym wyczuł, że ostrze zagłębia się w jego ciało. O dziwo, wcale nie bolało. Wiedział, co się dzieje, ale ciało nie rzuciło się w spazmach bólu.

- Czujesz?

Oprawcy odpowiedziała iskierka przerażenia, która pojawiła się w oczach ofiary. Staroń wiedział, że wymsknęła mu się ta oznaka słabości, i zaraz się opanował, żeby nie dawać łotrowi satysfakcji.

- Dobrą mieszankę uwarzyłem, prawda? Taki mój konik. Dostałeś w żyłę koktajl, po którym czujesz, ale nie boli. Mógłbym cię na pół przekroić, a zanim się wykrwawisz, spokojnie fajka całego wykopcisz. Widzisz, mógłbym przejść do rzeczy, nie ingerując w to, co masz w środku, ale dłużej by to trwało. Ponoć na esbecji nie śpiewałeś za dużo, a oni potrafią szybko przejść od bólu do szczerości.

Staroń poczuł jak szpilarek wychodzi z jego ciała. Oprawca pokazał mu zakrwawiony do połowy szpikulec.

- Tobie, kutasie, też nic nie powiem.

- Powiesz, ale najpierw dam ci małą prezentację swoich - zapiszczał - umiejętności. Do tego celu użyję bardziej subtelnych instrumentów. - Pokazał spętanemu mały skalpel. - To moje narzędzie pracy. - Odłożył przyrząd gdzieś na bok i podwinął rękawy koszuli.

Staroń patrzył na jego ruchy. Już wiedział, że nie będzie bólu. Nie bał się ingerencji w swoje umęczone ciało. Myślał tylko o tym, co wymyśli ten piszczący chirurg. Jakich argumentów użyje, żeby wyciągnąć z niego zeznania. Zdecydował się zapytać o najważniejsze, żeby przygotować zgrabne kłamstwo. Wychrypiał najbardziej opanowanym głosem, na jaki było go stać:

- O co ci chodzi?



- Pytania na początek? Dobrze. Ale umówmy się, odpowiesz, gdy skończymy. Najpierw prezentacja, potem przekonujące argumenty, a na koniec szybka odpowiedź - mężczyzna pogładził się po wąsach. - Chcę...chcemy wiedzieć właściwie to samo, co służby, z którymi miałeś przyjemność rozmawiać. Kto przyprowadził do ciebie Niemca? I czy twój gość z poddasza z kimś się spotykał? Może o kogoś pytał? Sam wiesz. Wszystko, co pomoże w znalezieniu jego mordercy. Sumienie będziesz miał czyste, bo szukamy zbrodniarza...

Staroń chciał sprzedać mu kilka przekleństw, świadczących o jego stosunku do zadanych pytań, ale wąsacz położył mu palec na ustach, mówiąc:

- Później. Pamiętasz? Najpierw prezentacja. Może to ci pomoże, nie lubię komentarzy podczas pracy. - Wziął do ręki materiał, którym wcześniej zakrywał oczy ofiary i wcisnął go Staroniowi do ust, przytrzymując szczękę, którą szewc w ostatniej chwili próbował zacisnąć.

Kolejne działania oprawcy, tak jak wbijanie kolca w bok, nie wiązały się z bólem. Gdyby wziął coś na odprężenie, mógłby nawet przysnąć. Czuł, że coś dzieje się w okolicach brzucha, ale bardziej nieprzyjemne było nawet zatwardzenie. Wąsacz nie należał do ludzi pracujących w ciszy. Informował Staronia o szczegółach swoich działań.

- Teraz przetnę z tej strony, będzie mało krwi. Spokojnie, wiem, co robię. Właściwie powinieneś wiedzieć, że jesteś w rękach profesjonalisty, przecież nigdy się już nie spotkamy. Kiedyś robiłem to zawodowo, kroilem ludzi,

ratowałem życia. Ale wiesz, wojna przemielła wiele życiorysów, a ja musiałem nieco zmienić profesję. Nadal lubię sobie trochę podłubać. Przewietrzyć skalpel, jak to się mówi – uśmiechnął się pod wąsem. – Teraz małe cięcie tej błonki tutaj...

Staroń tym razem nic nie poczuł.

– Na zawodowstwo nie wrócę – kontynuował. – Ręce się trzęsą, gdy mam dłużej kroić, i jak widzisz, trochę zepsuł mi się kompas moralny. Przepraszam – przerwał na chwilę operację i Staroń usłyszał jak grzebie wśród metalowych przedmiotów. – Muszę się trochę wspomóc dodatkowym narzędziem. – Wrócił do pracy nad jamą brzuszną szewca. – Teraz korzystam z każdej okazji, ale to już nie praca, a bardziej hobby. Zapytałbym cię o zainteresowania, to nawet ciekawe, co robi szewc po robocie, ale okazja jest kiepska. Właściwie to mój konik podobny jest do twojej roboty. Też kroisz i szyjesz. Tyle że ja już nie zszywam. Voilà! – przerwał pracę i stanął w zasięgu wzroku Staronia, unosząc ręce.

W prawej dłoni wciąż trzymał skalpel. Ręce pokryte miał krwią Szewca. Spływała nawet na podwinięte rękawy koszuli. Staroń poczuł, że robi się mu słabo. Z całych sił starał się odciąć emocje od tej rzezi dokonanej na jego ciele. Nie myśleć o zapewne śmiertelnych skutkach operacji. Ale podświadomość działała. Zrobiło mu się niedobrze. Powstrzymał odruch wymiotny, bo w tym położeniu mógł się tylko udławić treścią żołądka. Resztki energii odpływały z ciała. Wąsacz wyciągnął w kierunku

jego głowy dłoń zaopatrzoną w skalpel. Szewc pomyślał, że oprawca może zaraz przerwie to przedstawienie jednym cięciem po jego tętnicy szyjnej. Ale nie. Przeciął sznur wrzynający się w szyję Staronia. Szewc mógł teraz swobodnie ruszać głową. Rzeźnik odłożył skalpel i lśniąco od posoki dłonią wyciągnął knebel z ust ofiary.

- Spójrz! - rozkazał.

Staroń odchylił twarz w bok, tak żeby nie widzieć ani krwawego chirurga, ani swojego brzucha.

- Kurwa, chłopie, napracowałem się. Popatrz!

W emocjach mocniej dawała o sobie znać wieczna mutacja. Wąsacz złapał operowanego za głowę, lekko mu ją uniósł i przekręcił w kierunku swojego dzieła. Staroń zaciskał zamknięte oczy.

- Patrz, bo wytnę ci powieki!

Spojrzał. Krew pokrywała całe jego ciało. Na brzuchu widoczne były cięcia. Z jednej rany wciąż płynął czerwony, gęsty płyn. Oprawca wskazał palcem jedno z cięć.

- O, tedy mogę wyciągnąć twoje flaki, będziesz mógł sobie obejrzeć kilka metrów. Ale spokojnie... - Puścił głowę sparaliżowanej ofiary. - Nie będę się pastwić. Chodziło o to, żeby sobie trochę pogrzebać. Zbudować dramaturgię. Jeśli ktoś cię zaraz nie pozszywa, umrzesz, a ja, widzisz, nie mam zestawu krawieckiego. Oprócz koktajlu na znieczulenie dostałeś też środki przeciwzapalne i zakrzepowe, ale kroilem gołymi łapami i przepraszam, nie zdążyłem ich umyć. Ani chybi już się coś wdało. Umrzesz, to pewne. Więc pora na argumenty, o których wspomniałem.

Wąsacz schylił się i już po chwili trzymał w zakrwawionych łapach portfel Staronia. Przez chwilę grzebał w środku. Wyciągnął mały, prostokątny kartonik. Popatrzył na niego z uśmiechem i odwrócił, pokazując Staroniowi. Kleista ciecz rozmazała się na wizerunku małej, uśmiechniętej dziewczynki.

- Na fotografii jest twoja wnuczka. Śliczne dziecko. Trochę mi przypomina... - przez chwilę się rozmarzył - Nieważne, muszę się streszczać. Jutro z rana zabieram się za nią. Położę na tym samym stoliku, co ciebie. Przypomnę sobie nierozwiniętą żeńską anatomię. Zrobię to, jeśli nie odpowiesz na pytania. Masz mało czasu, krew się leje, zaraz wypłynie z ciebie całe życie. Za pięć minut skończy się twój koszmar. Jeśli nie odpowiesz, zacznie się jej. - Jeszcze raz pokazał zdjęcie i odłożył je na bok. - Kto podsunął ci Gerkego?

Staroń czuł, jak opuszczają go siły. Do oczu napłynęły mu łzy.

- Henryk, szwagier. Przyprowadził i dał pieniądze.

- Mówił, skąd go zna?

- Nie.

- Wierzę - odpowiedział były chirurg. - A ktoś go odwiedzał? Może znałeś tego, co przyszedł i mówił, że z elektrowni.

- Nie znałem. Nie widziałem. Tylko żona z nim... - Szewc czuł, że zaraz odpłynie. Zamykały mu się oczy. Mówił z wysiłkiem.

- Jeszcze chwilkę. - Wąsacz walnął go w policzek. - Czy ktoś się z nim kontaktował? Może Niemiec do kogoś chodził? Pytał o coś?

- Pytał... Chciał kupić. Prochy... Gdzie, chciał wiedzieć... kupić.

- I co mu powiedziałaś?

- Cygan... na Żąbkowskiej. Cygan ze szramą.

Nie wystarczyło już sił na kolejne słowa. Szczeka stała się ciężka, oddech coraz płytszy. Pierwsze zgasło światło. Cienie wypełniające przestrzeń wokół stołu operacyjnego zaczęły zalewać najpierw twarz oprawcy, a potem światło lampy. Mimo że nie zamknął powiek, świat był teraz wszechobecną czernią. Ogarnął go kojący spokój. Potem zaczął znikać dźwięk. Ostatnie słowa Staroń słyszał już gdzieś z oddali.

- Śpij, kamaszniku.

## 5.

Spała z jego ręką pod głową. Obudził się już kwadrans wcześniej i patrzył na swoje szczęście. Poprawił kosmyk, który opadał jej na twarz i drażnił nos. Miała jeszcze godzinę, nim budzik wyrwie ją z objęć poduszki. Nie zносиła, kiedy patrzył na nią śpiącą. Gdy otwierała oczy i widziała, jak gapi się kilka centymetrów od jej twarzy, czuła się nieswojo. Dlatego był gotów zareagować na każdy objaw jej przebudzenia, szybko zamykając oczy. Ale jej sen był twardy. Miał czas na obserwowanie ust wydających rytmiczny odgłos cichego łapania i wypuszczania powietrza. Powieki drgały, osłaniając poruszające się gałki oczne. Coś jej się śniło. Nie wytrzymał, musiał pogłaskać wystające spod kołdry ramię. Dotknąć jasnej, delikatnej skóry. Jej reakcja była do przewidzenia. Zamruczała i przewróciła się na drugi bok, uwalniając rękę Stacha.

Wygramolił się z łóżka i poszedł do wnęki kuchennej zrobić sobie mocnej herbaty. Czekał aż zagotuje się woda, przyglądał się jej cudownym kształtom rysującym się pod białym przykryciem. Miał ochotę wskoczyć z powrotem do łóżka i obudzić ją pieszczotami, ale czas naglił. Nie mógł spóźnić się do roboty. Jedyne jego prawdziwym obowiązkiem było podbicie rano karty. Potem mógł dowolnie kiwać zwierzchników, którzy i tak nie byli w stanie upilnować działających w terenie pracowników. Poznali się z Wandą, kiedy wykonywał swoje obowiązki służbo we. Rok temu przekonała go do przymknięcia oka na złamanie

przepisów i dała się zaprosić na ciastko z kremem. Olał wtedy robotę i spędził z nią cudowny wieczór. Zjedli obiecany deser w cukierni na rogu Targowej i Zwycięstwa. Potem zabrał ją na drugą stronę ulicy, do baru na zapleczu dworca, kantyny kolejarzy, jedyne miejsce w okolicy, gdzie podawano prawdziwą kawę, a nie mieszankę wzbogaconą zbożówką. Zaliczyli też spacer do bazyliki na Kawęczyńskiej, obok pracowała krawcowa, od której musiała odebrać poprawioną bluzkę.

Ponad pięć godzin rozmawiali o jej pracy, była nauczycielką historii w technikum. Wolała uczyć dojrzałe jednostki, dzieci ją wkurzały, pewnie dlatego, że miała czwórkę młodszego rodzeństwa. Przyjechała z Garwolina, tam spędziła większość dzieciństwa i wieku nastoletniego. Na Pragę przyjechała studiować i kiedy skończyła akademicki etap życia, została, by uczyć dzieciaki w szkole przy Grochowskiej. Od kilku lat gnieździła się w domu nauczyciela. Szybko znaleźli wspólny temat, bo okazało się, że Wanda jest miłośniczką PRL-owskiej literatury popularnej. Zamiłowanie do milicyjnych kryminałów nie przeszkadzało jej krytykować ich naiwności, choć uważała, że grubo ciosani bohaterowie dodają gatunkowi uroku. Lubiła sowiecką fantastykę, poleciła mu kilka tytułów, w których spod grubej warstwy propagandy wyłaniało się drugie dno odważnej jej zdaniem obserwacji społecznej. Czytała wszystkie zachodnie książki, którym udało się przejść przez sito cenzury. Było tego niewiele, wszystko opatrzone krytycznym wstępem uczonych marksistów, ale

cieszyło ją, jak wszystko, co przyszło z tamtej strony. Z początku się dziwił, że nauczycielka wschodniej wersji historii z takim entuzjazmem podchodzi do zachodnich nowinek. Z czasem przyznała się, że wychowano ją w atmosferze nienawiści do sowieckiego buta, który nie dość, że zajął prawie dwie trzecie Rzeczypospolitej, to jeszcze wykopał jej rodzinę z ukochanej Warszawy. Dlatego rodzice Wandy cieszyli się z powrotu do macierzy choć jednej córki, nawet jeśli nie na tę stronę Wisły, po której ojciec był przed wojną urzędnikiem kolejowym.

Poszerzyła jego wiedzę o płodach peerelowskich pisarzy, a w zamian on skupował na bazarach literacką kontrabandę z za rzeki. Wiedział, czego szukać, omijał tani chłam i z radością dzielił się z nią tłumaczeniami fantastycznych perełek. Książki były wymięte, czasami pozbawione okładek i kilku stron, ale uzupełniał te braki, wyciągając z pamięci brakujące początki lub zakończenia.

Koleżeński etap znajomości trwał jakiś tydzień. Trzy spotkania wypełnione rozmowami o literackich wątkach, uwagami dotyczącymi życia na Pradze i opowieściami o prowincjonalnym Garwolinie. Potem doszło do pierwszych pocałunków i już pod koniec drugiego tygodnia zasypiał w swoim kamionkowskim mieszkaniu, tuląc jej nagie, zmęczone ciało. Zastanawiali się potem, czy to nie za szybko, i doszli do wniosku, że dla obojga nie jest to przelotna znajomość, więc po co się męczyć i odkładać przyjemność na później.



Po miesiącu zaczęły się pytania o przeszłość. On streściła mu swoje pacholeństwo, czas dojrzewania i studiów, on milczał na temat swoich powojennych losów. Podkoloryzował trochę dzieciństwo spędzone na Woli, a pytania dotyczące ostatnich dwudziestu lat zbywał, mówiąc: „Nic ważnego”, „Opowiem później” i „Takie tam”. Czasem wspominał coś o kresach, bo jeszcze zanim ją poznał, zdecydował się udawać warszawiaka powracającego do stolicy właśnie z tamtych okolic. Potem na bieżąco zaczął szyć swoją historię. Kiedy stała się dociekliwa, zaczął wspominać o życiu pod Lwowem, który z ważnego ośrodka II RP zamienił się w zaścianek PRL-u. Po cichu zaktualizował swoją wiedzę o tym rejonie Polski. Uznał, że Żółkiew nadaje się na powojenną siedzibę rodziny Szczęśliwych – takie nazwisko nadali mu prascy specjaliści od lewych dokumentów, wspaniałomyślnie zostawiając oryginalne imię. Tak się wkręcił w kresową historię, że wymyślił nawet rodzinną legendę, w której jego familia, po warszawskim epizodzie obejmującym trzy pokolenia, powróciła na stare śmieci.

- Babka mówiła, że ponoć pochodzimy od Pawła Szczęśliwego, włoskiego architekta, tego, co Żółkiew stawiał. Ale musieliśmy zaliczyć niezły upadek, skoro jej mąż był pikolakiem w hotelu na Fredry.

Potem dorobił sobie szkołę zawodową we Lwowie, służbę wojskową w Białymstoku i pracę we lwowskiej cukrowni oraz zaoczne liceum, w którym przerwał naukę, bo pojawiła się szansa na pracę w Warszawie. Trzon

opowieści wypełniał drobnymi elementami, takimi jak pierwsze miłości, o których wolałby nie mówić, czy wstydliva działalność w robotniczo-chłopskim kółku literackim, do której przyznał się pod naciskiem Wandy. Uśmiercił też rodziców, żeby nie pytała, dlaczego się z nimi nie kontaktuje, z tego samego powodu pozostał jedynakiem.

Z jednej strony doskonale się bawił, wymyślając swoje życie od nowa i pilnując, żeby poruszane w rozmowach tematy trzymały się oficjalnej biografii. Z drugiej im dłużej z nią był, tym trudniej było mu znieść własną nieszczerłość. Męczyło go okłamywanie kobiety, która tak bezwzględnie mu zaufała. Zmyślony życiorys przydawał się w rozmowach z innymi, ale jej chciał wyznać prawdę. Nie mógł.

Zgasił papierosa w doniczce i strzelił kiepa na podwórko. Dopił herbatę i opuścił balkon, wchodząc do pokoju. Wciąż spała odwrócona plecami. Podszedł, pochylił się i pocałował ją w skroń. Nie zareagowała. Złapał swoją skórzaną torbę i wsadził do niej przygotowane przed chwilą, owinięte w szary papier, kanapki. Wyszedł z domu, zamykając drzwi na jeden zamek.

\*\*\*

Ranek był upalny. Kiedy wychodził z kamienicy, pod dom naprzeciwko podjechała karetka z zielonym krzyżem. Pozornie niczym się nie różniła od innych pojazdów floty transportowej praskiej służby zdrowia. Jakiś czas kombinował, czym różnią się zielone od czerwonych, w końcu zapytał o to Szramę.

- Widziałeś kiedy na Pradze brudne, zarośnięte typy wałęsające się po ulicach? Ludzie żrą tyle chemii, ale nikt nie chodzi przećpany?

- Fakt, że nawet dziady w śmietnikach rzadko grzebią - stwierdził Stach, pamiętając, że za Wisłą był to częsty widok.

- Bo są dwa paragrafy, które działają przynajmniej na mieszkańców reprezentacyjnych dzielnic. Jeden, wyrok za włóczęgostwo. Jemu podlegają meneliki alkoholowe. Zwykły areszt o suchym pysku. Jak przeżyją delirkę, wychodzą. Drugi to zielone krzyżyki. Farmaceutyki są dawkowane tak, żeby człowiek całe lata mógł na nich jechać w fabryce. Jak się lekko załamie, to pochlipie w domu albo bachora swojego mocniej sieknie. Ale ludzie kombinują, zwiększają dawki, odkupują środki nieprzeznaczone dla ich grupy zawodowej. Kilka miesięcy w takim ciągu i żywe trupy. Tracą robotę, szlajają się po osiedlach, szukając okazji do zdobycia grosza na kolejne dawki. To nimi zajmują się ekipy z tych ambulansów. Zbierają towarzystwo, wyciągają z domów albo prosto z ulicy i wiozą tam, gdzie się chemię chemią leczy, na oddział do Drewnicy albo do nowego Ośrodka do Wesołej.

- No to słuszna sprawa. Dbają o ludzi - zauważył wtedy Stach.

- A chuj dbają. Prawie nikt stamtąd nie wychodzi. A ci, którym się udało, bo rodzina stawała na głowie i znajomości ruszyła, to jak warzywa. Do końca życia niemowlaki, gugu,

gaga i kleik ryżowy. Tam się nie leczy, tylko dożyna. Ponoć czasami politycznych też tam sadzają.

Dla Stacha to był kolejny trop, gdzie tak nagle mógł zniknąć ojciec. Kilka dni po rozmowie ze Szramą podjechał do szpitala i odszukał lekarkę, z którą rozmawiał zaraz po swoim praskim przebudzeniu. Zobaczył, że chowa się w tym samym gabinecie, co poprzednio, więc zaryzykował i zajrzał do środka, mając nadzieję, że nie przyjmuje akurat gości.

- Przepraszam! - Miał szczęście, nikt z nią nie siedział. Lekarska kanciapa była skromnie umeblowana, leżanka, stół i dwa krzesła. - Mogę na chwilę?

- Proszę pana, to jest jedyne miejsce w szpitalu, gdzie my się możemy przed pacjentami schronić...

- Ale ja prywatnie - przerwał jej, zamykając za sobą drzwi. - Nie wiem, czy mnie pani pamięta. Byłem tu kilka miesięcy temu.

- Nie - odparła, przyglądając mu się przez chwilę.

- Uprzedzę - wypalił - nie jestem z esbecji. Bardzo mi zależy na informacji, gdzie zniknął Tadeusz Kubiak. Co się z nim stało?

- Nie tylko panu.

- On... kiedyś zrobił dla mnie coś ważnego. Właściwie to uratował mi życie. - Stach szył historię na bieżąco. - Niedawno przyjechałem na Pragę i pomyślałem, że jakoś mu się odwdzięczę. A tu człowiek zaginął.

- Niech mi pan uwierzy, naprawdę nic nie wiem. Nie tylko pan go szukał. Ordynator ruszył nawet ministerialne wtyki. I nic.

- A zielone krzyżyki? On ponoć w opozycji działał. Może go wywieźli do psychicznych? Chyba są jakieś rejestry?

- To droga donikąd. Widzi pan, my podlegamy pod inną komórkę w ministerstwie niż szpitale psychiatryczne. Kiedy przedawkowane bity do nas trafiają, mamy obowiązek przetrzymać aż do zjawienia się zielonych. Wtedy trzymamy takich kilka dni w nadziei, że się ustabilizują, ale zwykle zaczynają nam szaleć na oddziale i nie ma wyjścia, trzeba dzwonić. Poza tym oni mają osobną rejestrację, utajnioną, nawet kierownik Wydziału Zdrowia Psychicznego nie ma do niej wglądu. Ordynator był z nim na roku i się dowiadywał. Ślepy tor. Jeśli Tadek, nie daj boże, do nich trafił, to już go nie ma, wyparował.

Urwał się kolejny trop Stacha.

- Wie pan co? - dodała, widząc jego rezygnację. - Jak się czegoś dowiem, to dam znać.

- Ale nie mam telefonu, a ze stałym zamieszkaniem jeszcze kombinuję...

- Ja tu na nocki siedzę prawie non stop - wzięła kartkę i zaczęła coś zapisywać. - To jest numer telefonu, o tu, na biurko. - Wskazała wielki aparat w rogu stolika. - Ja się nazywam Brzeziecka, niech pan zadzwoni za jakiś czas, może coś wypłynie.

- Bardzo dziękuję za zaufanie.

- Ale to działa w dwie strony, jeśli pan się czegoś dowie o Tadku, to też dzwoni.

- Oczywiście.

Zanurzony w tych wspomnieniach doszedł do Grochowskiej. Ludzie tłumnie zebrali się na przystanku. W tym sezonie wśród kobiet dominowały lekkie sukienki do kolan, kolorowe tkaniny bez wzorków. Inaczej rzecz się miała w modzie męskiej. Już na wiosnę idący za głosem partii projektanci zdecydowali się promować aktualne trendy ideologiczne. W państwowych zakładach tekstylnych ruszyła produkcja tkanin barwą i wzorem nawiązujących do kultury Wietnamu. W ten sposób każdy uzupełniający garderobę pan został zmuszony do zakupu wzorzystej koszuli w pasy, w której kolory tęczy walczyły o prymat z różem. Biorąc pod uwagę skłonność do nadprodukcji, kolory te dominować będą również na podszewkach zimowych palt. Kobiety poruszały szybko plastikowymi wachlarzami, kolorowym przebojem prosto z Chin. Każda modna prażanka zaopatrywała się w składane cudo, które miało dawać nieco ochłody w skwarne dni. Nawet kupił jeden Wandzie, ale powiedziała, że głupio by się czuła, młóćąc czymś takim powietrze, więc modny bajer od miesiąca leżał w szufladzie. Wachlarze uznała za jednosezonową modę, jak zeszłoroczne kapelusze z tkanin sztucznych, które zamiast chłodzić, zalewały twarz strumieniem potu. Część stojących na przystanku ludzi kartkowała gazety. Jakaś babina przeżywała spóźnienie do pracy spowodowane, jak zawsze zawodnym, rozkładem jazdy tramwajów.

- Trzeba z domu wychodzić godzinę wcześniej - zauważył tęgi jegomość, który jako jedyny na przystanku

pocił się w ciemnym garniturze. Zapewne dyrektor, którego kierowca złapał gumę, zmuszając przełożonego do jazdy razem z motłochem środkami komunikacji miejskiej, pomyślał Stach.

W oddali pojawił się wyczekiwany tramwaj. Czytelnicy złożyli gazety. Słońce wyjrzało już zza sąsiedniego budynku i mimo wczesnej pory, niemiłosiernie grzało. Stach cieszył się, że zachował w szafie kilka białych koszul, bo w przetykanym włóknami sztucznymi wzorzystym przeboju lata rozpląnąłby się w kwadrans po wyjściu z domu. A tak, po wizycie w dusznym wagonie, groziły mu tylko placki potu pod pachami.

Ludzie zaczęli się pakować do zapchanego wagonu. Część próbowała przebić bilety, korzystając z wprowadzonych dwa lata wcześniej kasowników, które, wynalezione przez naszego rodaka Baranowskiego, ponad sto lat czekały na zainstalowanie w praskich tramwajach. Stach na chwilę odpłynął, z archiwum pamięci przywołując inne projekty wynalazcy: gazomierz i semafor.

Znalazł sobie miejsce na końcu wagonu. Jak zwykle najwięcej ludzi zajmowało środek. Tramwaj ruszył. Stach patrzył przez chwilę na rzędy przesuwających się za oknem kamienic. Ludzi chodzących dziurawymi chodnikami. Stojących w bramach mężczyzn, migających się od obowiązku pracy. Romskie kobiety, które żywo gestykulując, kłóciły się z dozorcą. W duchu musiał się przyznać, że lubi to miasto bardziej niż jego ładniejszą siostrę. Przypomniawszy sobie bajeczkę, którą podczas jednej z portowych libacji

opowiedział mu Szybki Zbyszek. Siedzieli wtedy przy ognisku, nad samą wodą i rozprawiali o historycznym rozdzieleniu stolicy.

- Wars i Sawa mieli dwie córki - zaczął barman. - Obie urodziwe, ale jedna promieniała antycznym pięknem, a druga była tak zwyczajnie po słowiańsku ładna, więc nie każdemu wpadała w oko. Obie się puszczały. I któregoś dnia zawędrował pod strzechę rybaka szlachcic z Zachodu. Zaraz mu do wyra wskoczyła ta pierwsza. Pochędożył i wpadła mu w oko. Zabrał ze sobą na dwór wielkopański i tam posuwał niemal na oczach swojej ślubnej, błękitnokrwistej. Niedługo potem do domu jej rodziców zawędrował gieroj ze Wschodu. Z wojny jakiejś wracał. Spragniony strawy, gorzałki i ciepłego ciała. Ta druga zaraz zaczęła rozgrzewać jego poranione członki. Jak się wyspał i najadł, ruszył w swoje strony, a ona za nim. Obie, w tym samym czasie, zaciążyły w dalekich krajach. Wygnane przez wybranków wróciły do ojca i matki. Ta pierwsza wyniosła z pałacu garść drogich kamieni, druga z chaty wojaka buchnęła worek fasoli. Wars się wściekł, że brzuchate do drzwi pukają. Ładniejszą przyjął, bo mu się oczy do tych kamyków zaświeciły, a drugą w łódkę wsadził i wywiózł za rzekę, co by sobie tam fasolę siała. I tak dzieci brzydszej siostry wyrosły na prażaków, a ładniejszej na paniska z Warszawki. Teraz wrócili potomki szlachciury po kamyki i do dzisiaj ich po Warszawie szukają, a wojaka prawnuki fasolę zebrać, co z tamtej wyrosła. Szkopuł jest taki, że ta fasola to dzisiaj na Polach Mokotowskich rośnie,



a kamienie, jeszcze za okupacji, gdzieś na bródnowskim zakopali.

Kolejny przystanek wyrwał go z zamyślenia. Wsiadło kilka osób, jedna wysiadła. Zaczął przyglądać się współpasażerom. Część była już zmęczona upałem. Starsza kobieta wcisnęła mu pod kolana wielką torbę wypchaną słoikami. Wyraźnie zmierzała na Różyckie go. Kilka osób nakreconych wspomagaczami. Żrenice jak szpileczki nerwowo lustrowały twarze na Grochowskiej. Spocony grubas w garniturze prawie mdlał, trzymając się drążka nad głową. Babina siedząca tuż obok niego zaczęła się podnosić, pewnie chciała wysiąść na następnym przystanku i już musiała przepychać się do drzwi. Spaślak westchnął i zaczął gramolić się w kierunku zwolnionego fotela, ale uprzedziła go handlarka, torując sobie drogę tobołkiem ze słojami. Wśród postaci odsłoniętych przez dyrektorską tuszę dostrzegł znajomą twarz młodego chłopaka. Kiwnął mu głową na dzień dobry.

\*\*\*

Młody odkiwnął i zaraz uciekł wzrokiem za okno. Napatrzył się już na Szóstkę. Teraz planował, jak przejść do działania i wyciągnąć od niego wszystko, co chciał wiedzieć. Był wyższy od reszty siedemnastolatków, chyba nawet tego samego wzrostu, co obserwowany od miesięcy mężczyzna. Ale nie miał szans w starciu z postawnym człowiekiem, którego możliwości widział już kilka razy podczas barowych bijatyk. Tamten sprawnie poruszał łapami, w razie potrzeb

y potrafił nawet dać mocnego kopa, a on chucherko. Niewiele mu dało te kilka lekcji boksu podczas dni sportu w Skaryszaku. Grożenie ostrzem też było ryzykowne, zaraz narzędzie ataku znalazłoby się w ręku przeciwnika. Nie władał zbyt dobrze bronią nożowników. Zdecydował się na farmaceutyki dosypane sprytnie do kieliszka. Czekał tylko na sposobność dodania specyfiku do napitku Szóstki. Akurat w cichym podkradaniu się był mistrzem. Gdyby było inaczej, nie jechałby o tej porze tramwajem, tylko spał w swoim łóżku, korzystając z wakacyjnej laby. Rozejrzał się po wnętrzu wagonu. Pojazd zwolnił i stanął na kolejnym przystanku. Tłok zgęstniał, przed targowiskiem zawsze wsiadało więcej ludzi. Wśród nowych pasażerów było dwóch chłopaków w jego wieku. Niższy, mimo upału, miał na sobie lekką kurtkę. Drugi, jasny blondyn, trzymał pod pachą wczorajszy „Świat Młodych”. Farba drukarska brudziła mu jasny podkoszulek. Odwrócił od nich wzrok, żeby uniknąć nieprzyjemności podczas szykującej się akcji.

Zrobiło się jeszcze ciaśniej. Stach czuł, jak strumyk potu cieknie mu wzdłuż linii kręgosłupa. Przesunął się w głąb tramwaju, żeby zrobić miejsce kolejnym handlarzom układającym torby na końcu wagonu. Stał teraz bokiem do okna i obserwował współpasażerów. Mimo że pojazd ruszył, przy kolejnych drzwiach wciąż trwały przetasowania, każdy chciał zająć jak najlepszą pozycję. Chłopak w kurtce precyzyjnie przecisnął się w jego stronę i stanął obok małolata, z którym przed chwilą wymienili powitalne skinienia. Jadący obok grubasa nastolatek z harcerską gazetą pod

lewą pachą wcale nie wyglądał na skauta. Cwaniaczek patrzył za okno, a w pewnym momencie, nie ruszając głową, przeniósł wzrok na dyrektorską klatkę piersiową. Klapy marynarki rozchyłały się lekko na wysokości otłuszczonych piersi. Spojrzenie chłopaka wróciło na poprzednią pozycję, a prawa ręka, której właściciela nie dało się w tym tłoku rozpoznać, powędrowała w kierunku wewnętrznej kieszeni marynarki tęgiego mężczyzny. Tramwajem szarpnęło. Ludzie powpadali na siebie. Kiedy Stach wrócił do obserwacji kieszonkowca, ten przesunął się już w kierunku chłopaka w kurtce. Gazeta była teraz o wiele grubsza i trzymana już nie pod pachą, a w dłoni. Już po chwili portfel został przejęty przez niższego partnera miłośnika skautingu, który dyskretnie wyjął go spośród zrolowanych stron i wsadził sobie do wewnętrznej kieszeni kurtki. Chwilę później powędrował tam kolejny fant podany przez znajomego Stacha.

- Kurwa - powiedział spocony grubas, macając się po piersiach.

- Co pan? - zbeształa go młoda dziewczyna.

- No portfel, ukradli mi portfel! - Teraz sprawdzał kieszenie spodni. Rozejrzał się po stojących w pobliżu ludziach i wskazał chłopaka ze „Światem Młodych”. - O, ten gnojek się przytulił jak zahamowało.

Stach, przepaszając kilka osób, przesunął się w kierunku centrum wydarzeń. Grubas już łapał cwaniaczka za koszulkę, a wspólnik w kurtce wycofywał się

do tylnego wyjścia, wykorzystując wywołane przez Kubiaka przetasowania wśród pasażerów.

- Oddawaj, gnojku! - zażądała ofiara kieszonkowców.

- Ale czego? Gdzie łapy? Kultury, spaślaku.

- Pokaż panu, co masz w kieszeniach. - Stach wyrósł za chłopakiem wyszarpującym ubranie z dyrektorskiego uścisku. Małolat zerknął na nowego uczestnika awantury, który trzymał dłoń na jego ramieniu.

- A jak pan sobie życzy. - Wyjął z kieszeni klucze na sznurku i pokazał, że nic poza tym w nich nie ma. Odwrócił się, wypinając w kierunku grubasa pośladki i zapytał: - Z tyłu chcesz pan pomacać?

Okradziony zerknął, stwierdzając, że kieszenie nie są niczym wypchane.

- W gazecie, gnojku, pokaż, co tam zwijasz.

- Może grzeczniej? Bo zaraz będą przeprosiny i głupio się zrobi. - Rozwinął „Świat Młodych”. Nic w nim nie było.

- Oddał komuś! - Gruby rozejrzał się nerwowo i jego wzrok wylądował na stojącym w pobliżu wysokim licealiście. - O, tamtemu.

- Chwileczka - interweniował Stach, odsuwając chłopaka na bok. - Zaraz pan rozbierzesz cały wagon, a golizna razi władzę ludową.

Kilka osób zareagowało śmiechem.

- Weź pan sobie żartów nie rób. Trzeba zatrzymać tramwaj i milicję wołać.

- Pięćdziesiąt osób ma do pracy nie dojechać? Gospodarka nam stanie.

- Dostyc tego. Dawaj portfel. - Dyrektor siegnal ruka w strone podejrzanego chlopaka.

- Nie ma pan portfela? To w takim razie bilecik pewnie tez zostal w domu? - Stach wyjal z kieszeni legitymacje kontrolera zakladow transportu miejskiego. - Poprosze dowod oplacenia przejazdu.

Dyrektorska szczeka opadla. Tramwaj sie zatrzymal. Pierwszy wyskoczy z niego chlopak w kurtce. Potem wylala sie polowa pasazerow, a na koncu Stach wyprowadzil wscieklego delikwenta.

- Kolejna przygoda w linii numer sześć - podsumowal wydarzenie cwaniaczek. Usiadl na zwolnionym miejscu i zaczal czytac artykul o dokonaniach brzeskiego hufca ZHP.

\*\*\*

- Panie, ja na takie akcje w tramwaju nie moge pozwolic. Pan zes chcial przeszukiwac wszystkich pasazerow, wie pan, czym by sie to skonczylo?

- Ten drugi gnojek mial moj portfel.

- Linczem by sie skonczylo. - Stach zignorowal jeczenie grubasa. - Teraz tak. Rozumiem, zes pan jest stratny, a dla mnie lazenie po komisariatach i dochodzenie, jak sie nazywa pasazer bez biletu, to zawracanie dupy, wiec sam pan sobie pojdziesz, o tam - wskazal pobliska siedzibe milicji. - Spisz strate i dadza glejt na nowe dokumenty.

- O nie, pan idziesz ze mna. Jedyne swiadek zdarzenia. Opiszemy, jak wygladali, i dorwa gnojarnie.

- Nawet jak ich znajdą, to portfel już się rozplynął. Powodzenia - rzucił Stach i szybkim krokiem ruszył na drugą stronę ulicy.

Grubas przez chwilę go wołał, ale nie dał rady tak sprawnie jak Kubiak przebiec przez ruchliwe o tej porze skrzyżowanie. Kanar nawet się nie obejrzał, idąc wzdłuż Targowej na następny przystanek. Na poprzednim nie mógł zostać, bo zawadzał obrabowany pasażer, a Stach musiał dojechać linią do końca, żeby na pętli podbić kartę pracy. Już miał kwadrans spóźnienia, więc w kolejnym tramwaju musiał złapać jakiegoś gapowicza, spisać go, podając wcześniejszą godzinę zdarzenia, i tym sposobem usprawiedliwić niedoczas.

Praca była niezwykle prosta. O wykonywaniu obowiązków świadczyły mandaty wystawione gapowiczom, minimum pięć dziennie, wystarczyło kilka razy przejechać się Targową albo Gocławską, dwie godziny, w czasie porannego i wieczornego szczytu. Wszyscy jego koledzy robili coś na boku, głównie handel obnośny. Z kanarskiej ekipy to Stach spędzał najwięcej czasu w tramwajach. Jego pracą na boku było doglądanie młodych kieszonkowców. Wybawiał ich z opresji, takich jak sprawa z namolnym grubasem. Pilnował przestrzegania złodziejskiego kodeksu, sprawdzając, czy chłopcy nie obrabiają kobiet z dziećmi, starców i wyjątkowo biednie wyglądających obywateli. Nagła okazja potrafiła przyćmić myślenie o ustalonych zasadach. Nie brał udziału w złodziejskim łańcuszku, nie pośredniczył w przekazywaniu fantów. Czasami tylko

w podziale łupów, zerkając, czy doliniarze nie skubią Zochy z jej procentów.

Na początku praca kontrolera kieszonkowców nie szła mu za dobrze. Miał wątpliwości, którymi podzielił się z Zochą. Wtedy, jakoś w maju zeszłego roku, kazała mu przyjść wieczorem na sam koniec Kawęczyńskiej, tam gdzie ulica spotykała się z torami. O umówionej porze czekał na niego Szrama.

- Zocha kazała zrobić mały wykład. - Ruszyli ścieżką przez krzaki. - Już wiesz, że tylko połowa doliniarskiej kasy trafia do ich kieszeni. Reszta wędruje na nasz fundusz opieki. Zauważyłeś, że handlujemy lewymi wspomagaczami, te dajemy tylko nadzianym bubkom, nigdy nie sprzedajemy sąsiadom i stoczonym biedakom. Wpływy z tego i jeszcze kilku innych biznesów, też idą na fundusz.

- Czyli gdzie? - zapytał Stach.

- Chodź.

Szrama poprowadził go na nasyp. Między torami, na trójkątnej działce porośniętej wysokimi krzakami, stał zapuszczony dom. Z wzniesienia teren wyglądał jak zamknięty obóz odcięty wałem od miasta. Kilka razy mijał ten budynek, jadąc pociągiem za Pragę. Zawsze się zastanawiał, co się tu mieści i kto wymyślił stawianie kamienicy na skrzyżowaniu trzech tras kolejowych. Pewnie w archiwach PKP znalazłby odpowiedź. Dom składał się z dwóch kondygnacji i dużego strychu. Zeszli z nasypu. Na podwórku kręciło się kilka osób, kobieta podlewała ogródek

warzywny, dziadek na ławce czytał gazetę, jakaś grupka spacerowała pod drzewami, zawzięcie o czymś dyskutując.

- To jest ostatnia faza, ludzie na wyjściu. Wieczorami mogą trochę pospacerować, bo jest okienko i ze dwie godziny pociągi nie jeżdżą. - Cygan skomentował ruch pod kamienicą i zaprosił Stacha do środka budynku.

Dawne mieszkania na pierwszym piętrze wypełniono łózkami piętrowymi. W pierwszym pomieszczeniu dwóch mężczyzn siedziało przy stoliku i grało w szachy. W drugim ktoś przysypiał na pryczy.

- Tutaj mieszkają ci, których widziałeś na zewnątrz. - Szrama uprzedził ewentualne pytania Stacha, zapraszając go na górę.

Piętro zamieniono w coś w rodzaju szpitala polowego. Na łózkach leżeli podpięci do kroplówek pacjenci. Z jednym z nich rozmawiał mężczyzna w spranym lekarskim kitlu.

- To pierwsza faza uzdrowienia - powiedział Cygan. - Leki, żywność, ogrzewanie i obsługa, na to idą pieniądze z funduszu. Wyłapujemy ludzi, zanim przejmą ich zielone krzyżyki. Leczymy, obniżając dawki i stosując bezpieczne zamienniki. Są zdrowi w kilka miesięcy. Niektórzy potem wracają, ale większość jest wyleczona. Mamy kilka takich miejscówek.

- Kto ich leczy?

- Twój ojciec dał kilka bezpiecznych namiarów spoza Pragi. Wolimy nie korzystać z pomocy miejscowych. Lepiej dla konspiracji. Jest też paru dawnych pacjentów, którzy skończyli medycynę a potem odpłynęli.



- To ona... znaczy się, Zocha sama to wymyśliła?

- Urodziło się to tuż po wojnie, samopomoc sąsiedzka. Ona tylko pociągnęła to dalej. Kiedy przyszła nowa władza, to zaczęła zamiatać pod dywan. Oficjalnie nie ma bezdomnych, bo wszyscy mają obowiązek pracy, tak samo z biedą. Poprzednicy Starej dokarmiali. Załatwiali ciepłe spanie w zimie. Jakies pięć lat temu mieliśmy tu kryzys, wyciszony przez KC, odwrócili uwagę, wprowadzając podwyżki. To było masowe osłabienie psychiki wywołane jakimś składnikiem większości wspomagaczy. Nie wiem, czy to do was dotarło.

- Pewnie góra wiedziała, ale ludziom nic nie mówili. Za Wisłą dosyć wybiórczo traktują wiadomości stąd.

- Wzrosła liczba załamań, wymienili te szkodliwe farmaceutyki, ale musieli otworzyć nowe ośrodki, u nas ten w Wesolej. Wtedy też zaczęliśmy organizować swoje, takie, w których się leczy, a nie dobija. Teraz ludzie już sami się organizują, bez nas pomagają biedocie, więc kilka obowiązków odpadło. Ale to my mamy kasę, więc wychodzi, że i skalę największą. Działamy tam, gdzie czerwone nie wchodzi. Zresztą łapówki jeszcze trzeba podkładać. Ale mi się wydaje, że nie przeszkadzają, dopóki ich wyręczamy. - Popatrzył na wciąż zdziwioną twarz Stacha.

- Teraz muszę inaczej praskie układy rozrysować.

- Ano musisz. Zastanów się, czy masz jeszcze jakieś wątpliwości. - Cygan uśmiechnął się przyjacielsko. - To co, wracasz do roboty i dupy nie zawracasz?

Wątpliwości uleciały. Wyglądało to na sprawnie działający system, w którym mimowolne składki obywateli zamieniały się w pomoc społeczną. Oddolny ruch obywatelski, o którym po drugiej stronie Wisły śniły tylko najbardziej zaangażowane jednostki. Tutaj Zocha trzymała wszystkich za mordę, realizowali jej plan.

- To wy święci, nie bandyci?

- Przyjebać za kasę jeszcze się zdarzy. Zresztą, są inne dzielnice, nie zawsze im było na rękę podporządkować się akcji dobroczynnej. Dlatego kontrabanda i zlecenia nie procentują na fundusz. Trzeba jeszcze z czegoś żyć, ludzi opłacić.

Stach wrócił do problemów poranka. Dotarł do następnego przystanku. Grupka ludzi, nieświadomych podatników systemu Zochy, czekała na zbliżający się tramwaj. Patrzył, jak hamuje wagon oznaczony wielką szóstką. Szóstka - pomyślał - moja ulubiona linia.

\*\*\*

Wyszedł przed dom i po raz kolejny nie mógł uwierzyć, że znajduje się w mieście. W nocy nieustannie budziło go wycie psów, które witały się z sąsiadami zza cmentarnego muru. Rano darł się jakiś koguci kastrat, a zaraz za ogrodzeniem przejeżdżały konne wozy. Po klepisku, nazywanym szumnie ulicą, latały kury. Otaczała go wiejska zabudowa. Niskie domki, wiele jeszcze drewnianych. Do co drugiej ściany tulił się kurnik ulepiony ze znalezionych w okolicy desek. Ciszę każdego popołudnia przerywały

gwizdy gołębiarzy, którzy urządzali sobie podniebną Wielką Pardubicką. Na północy ciągnęło się Bródno i Pelcowizna, dwa osiedla, które właśnie zmieniały się w wizytówkę nowoczesnej Pragi, realizowano tam wielki projekt nowoczesnego budownictwa mieszkaniowego. Za nimi, aż po Białolękę, ciągnęły się kilometry fabryk już połączonych z miastem systemami komunikacji szynowej, autobusowej i rzecznej. Na prawym brzegu trwała prawdziwa rewolucja przemysłowa. Miasto było zapchane, coraz więcej ludzi przyjeżdżało tu z prowincji, żeby przekwalifikować się z rolnika na robotnika. Dlatego kolejnym etapem rozbudowy zaplecza mieszkalnego było stworzenie osiedla Młode Zacisze, miasta w mieście. Kolorowe prospekty zawałające kioski Ruchu ukazywały obraz niemal futurystycznej sielanki, w której młode rodziny tylko na osiem godzin opuszczały swój betonowy raj, resztę czasu spędzając w kawiarnianych pawilonach oraz centrum rozrywki łączącym kino, bibliotekę i halę sportową. Rysunki koncepcyjne ukazywały też wielki park, w którym drzewa wyrastały wprost z betonowego podłoża.

Utopijne plany przypominały podobne publikacje wydawane po zachodniej stronie miasta. Z jedną różnicą: tutaj w centralnym miejscu osiedla stał kompleks urzędniczo-administracyjny, tam futurystyczna kaplica, do której pchały się masy kolorowych ludzików, jak do arki, która lada moment oderwie się od ziemi i odleci ku gwiazdom. Odłożył prospekt na ławkę, obok leżały najświeższe wydania „Trybuny Ludu” i „Życia Pragi”, ale

zrezygnował z ich przeglądania. Zapalił papierosa i ruszył wzdłuż cmentarnego muru na spacer po ogrodzie. Lokalizacja jego tymczasowego lokum była doskonała. Rzeszowska, którą dojeżdżało się do posesji, nie była nawet brukowana – kilkadziesiąt metrów utwardzonej ziemi, która w deszczu musiała zamieniać się w wielkie błoto, ciężko było nazwać ulicą. Odgradzały go od niej gęsto sadzone drzewa owocowe. Tylko bardzo wścibski sąsiad był w stanie dojrzeć, kto ukrywa się w domu, którego parter był murowany, a poddasze jeszcze drewniane. Budynek opierał się o wysoki mur cmentarza brudnowskiego. Pewnie nikt z pracowników nekropolii nie wiedział, że stare metalowe drzwiczki na końcu cmentarnej alejki prowadzą wprost do schowka za kuchnią. Idealne tylne wyjście w wypadku esbeckiego nalotu. Ale nawet gdyby zrobił się kocioł, miał tak mocną legendę, że zaraz zaczęliby go przepraszać i z bukietem kwiatów odstawili z powrotem na Rzeszowską. Formalnie zameldowana była tu babcia konkubiny wicedyrektora wydziału propagandy lubelskiego komitetu partii, którego papierami miał się posługiwać jeszcze przez najbliższe kilka tygodni. Prawdziwy wicedyrektor przebywał w sanatorium w Rabce-Zdroju, pod opieką dwóch pracowników wywiadu RP. Wspomniana babcia od miesiąca leżała w szpitalu, rażona apopleksją i starczą demencją. Przyjaciela wnuczki była w stanie rozpoznać nawet w salowej. A sama konkubina, pod nieobecność ukochanego, zaszyła się na daczce z jego przełożonym i cały świat miała w rozpustnym poważaniu.

W jego pociągłej twarzy niewiele się zmieniło. Na głowie pojawiły się siwe pasemka, ale mało kto je zauważał wśród jasnych, zaczesanych do tyłu kosmyków. To były trudne dwa lata, ale znalazł się tam, gdzie planował. Jedno sprawne zagranie i zmienił wydział. Nowa praca, w wywiadzie, pozwoliła mu pociągnąć kilka dawnych spraw i wykorzystać je na małej, lokalnej, ale jednak międzynarodowej arenie. Lubił ryzyko, dlatego kiedy wszyscy sikali ze strachu o własne stołki, bojąc się zesłania na Pragę, on był gotów rzucić się w wir pracy po tej stronie Wisły. Siatka praskich agentów praktycznie obumarła. Trzeba było ją odbudować, korzystając z najgłębiej ukrytych, którzy nie angażowali się jeszcze w żadne akcje. Z radością podjął wyzwanie i natychmiast, kiedy tylko było to możliwe, pojechał w zagraniczną delegację. Przedostanie się na drugą stronę było pozornie łatwe, ale przeprawa przez rzekę przemytniczym szlakiem wiązała się z ryzykiem. Po zamrożeniu stosunków między Polskimi szmuglerski biznes nie trzymał się najlepiej i wiele z tras było monitorowanych przez peerelowskie służby. Dlatego najbezpieczniejszą formą podróży incognito było wkroczenie z lewymi papierami przez kraj graniczący z ludową częścią ojczyzny. W tym celu poleciał do Wiednia jako nowy członek korpusu dyplomatycznego. Stamtąd przedostał się do Czechosłowacji jako wracający do Polski korespondent zagraniczny „Trybuny Ludu”, a na tatrzańskej granicy zmienił się w turystę, który wykupił wizę, żeby wejść na Gerlacha. Z Zakopanego pojechał

autobusem do tak bliskiego swemu sercu Krakowa. Zrobił sobie dzień przerwy na zwiedzenie niewidzianego od wojny rodzinnego miasta. Potem pociągiem do Wschodniej Warszawy. Tutaj czekał na niego rezydent, który wskazał bezpieczne schronienie i dał mu nowe papiery. Miał kilka miesięcy na zapoznanie się z sytuacją w terenie i wskazanie celów kolejnych werbunków. Sytuację na Pradze znał dosyć dobrze, ale tylko teoretycznie - przestudiował masę teczek osobowych i raportów. Teraz nareszcie mógł działać.

Na czas delegacji zapuścił wąsy i zmienił uczesanie, pozostawiając sobie jedynie przyciemniane okulary, noszone ze względu na nadwrażliwość spojówek, a nie, jak szemrali współpracownicy, z uwagi na efekt, jaki wśród obecnych wywoływało ich powolne zdejmowanie. Tęsknił za ukochanymi garniturami od Burtona, ale na czas misji musiał zadowolić się letnim zestawem dyrektorskim, szytym na szczęście nie na miejscu, a w krakowskich Zakładach Przemysłu Odzieżowego. Jasnoszary komplet wzorowany na zachodniej kolekcji sprzed kilku sezonów. Przez sierpniowe upały musiał zrezygnować z noszenia marynarki. Zawadzała wieszana na ramieniu, a założona na grzbiet przepuszczała powietrze gorzej niż foliowy worek. Zamykanie spraw rozgrzebanych przez poprzednika i szukanie nowych kontaktów wymagało nieskrępowanych ruchów i pełnej gotowości na ewentualną ucieczkę.

Przy furtce pojawił się rezydent. Przywołał go gestem dłoni, zapraszając do ogrodu.

- Coś się ruszyło? - zapytał, ściskając dłoń przybysza.

- Jest kolejny ślad. Jeden kreci raport wygląda ciekawie. To może być nasz Akwizytor. Umówiłem spotkanie za - spojrzął na zegarek - dwie godziny. Prowadzący ma wątpliwości i chciał się nimi podzielić...

- Opowiesz po drodze - odparł, kierując się w stronę domu. Musiał zabrać kilka rzeczy na miasto. Pomysł z pociągnięciem dalej sprawy Kubiaków należał do niego, to był taki jego mały konik. Chciał udowodnić tym na górze, że pionków wcale nie trzeba poświęcać i jednym można zagrać kilka razy. Mógł zostawić Stanisława w spokoju, ale ambicja kazała mu doprowadzić sprawę do końca. Przed wyjazdem wyciągnął przeniesioną już do archiwum sprawę i długo przeglądał teczkę opisaną, zabawnym jego zdaniem, kryptonimem „Akwizytor”.

Zabrał z pokoju dokumenty, sprawdził, czy w kieszeni nadal ma swojego sprężynowca, broń mniej jego zdaniem kłopotliwą niż palna, i ruszył w kierunku drzwi wyjściowych. Stojący pod furtką rezydent skiepował obcasem papierosa i puścił przełożonego przodem na Rzeszowską.

\*\*\*

Stach siedział w fotelu, czekając aż fryzjer rozliczy się z poprzednim klientem. Trochę się tu zmieniło od czasu jego pierwszej wizyty. Część boazerii nad lustrami zakrywały przemycone z Zachodu plakaty modnych fryzur. W ramach za szkłem szczyrzyły się gęby modeli obojga płci. Jeden z nich spłowił, pewnie już wcześniej wisiał

u jakiegoś golibrody za Wisłą. Przy drzwiach, tam gdzie wcześniej znajdowały się haczyki na płaszcze, widniały teraz proporczyki mazowieckich klubów sportowych. Ubrania wieszano na postawionym kawałek dalej masywnym wieszaku. Główne miejsce w salonie, pomiędzy lustrami, zajmowały dyplomy upamiętniające zdanie egzaminów czeladniczych i zdobyte na przestrzeni kilkunastu lat wyróżnienia. Ołtarzyk zawodowych sukcesów uzupełniał stojący na blacie wazon, w którym gospodarz zamiast kwiatów składował grzebienie i nożyczki.

Stach czuł, że nadeszła pora na strzyżenie. Wanda już od tygodnia przezywała go od dzików. Poza tym warto było przyjść raz na jakiś czas do zakładu na Ząbkowskiej, żeby dowiedzieć się, co nowego słychać wśród okolicznej ludności. Były jeszcze wyrzuty sumienia, które kazały mu korzystać z usług tylko tego golibrody. Jeszcze dwa lata temu Szymon prowadził zakład razem ze swoim starszym bratem Edziem, dopóki na fotelu nie pojawił się Kubiak na chemicznym zejściu. Tamto strzyżenie i rozmowa trwały wystarczająco długo, żeby sympatyczny mistrz nożyczek podłapał chorobę przenoszoną przez klienta. Miesiąc później biedaka nie było już wśród żywych, a Stach uznał, że jedyne, czym może zadośćuczynić fryzjerowi stratę brata, to częste wizyty i wysokie napiwki. Niewiele. Zaczynał dojrzewać do decyzji zerwania z nieustającym poczuciem winy za zbrodnię popełnioną przez swoich dawnych zwierzchników. Był tylko nieświadomym narzędziem, które zabiło fryzjera i przemytnicze



małżeństwo spokrewnione z mokotowskim paserem. Zdecydował się też nie dopuszczać do siebie myśli o śmierci rodziców, dopóki nie znajdzie dowodów ich odejścia.

- Tak jak poprzednio, panie Staszku? - Szymon przykrył klienta fartuchem i przywiązał mu go do szyi. - Krótko z boku, dłużej z góry i golenie?

- Z brody, jak zwykle, nie rezygnuję.

- A ja, jak zwykle, zwracam uwagę, że jest w niej panu nie do twarzy.

- Panie Szymonie, ja już tylko swojej kobiecie się muszę podobać. Ona akceptuje, ja lubię jak mi w gębę ciepło, więc zostaje.

- Dobra, próbowałem. - Wyjął z szuflady czarny grzebień. - Kobity nie przebiję.

- I słusznie. Jak człowiek dla niewiasty głowę straci, to już do grobowej deski chodzi tak jak jej się podoba.

- O, to pan już słyszał?

- A o czym? - Stach ucieszył się, że rozmowa niemal od razu schodzi na praskie plotki.

- No, o głowie. Na pal w nocy nabitej. Pośrodku Różyca.

- W gazecie nie pisali.

- Bo rano dopiero znaleźli, nie zdążyli jeszcze, ale i pewnie pisać nie będą, bo głowa kłopotliwa.

- A czyja?

- Szewska, Staroniowa. Pan pamięta sprawę, jak jeszcze Edzio pracował?

- Pamiętam, doskonale pamiętam - odpowiedział Stach, którego umysł zaczął pracować dwutorowo, część już

łączyła akt dekapitacji z jego osobą, reszta podtrzymywała rozmowę z fryzjerem.

- Jakież baby go znalazły z samego rana. Zresztą szukać specjalnie nie musiały. Głowa była wbita na jeden z palików od baldachimów. Tych, wie pan, co sobie nad stoiskami wieszają.

Stach czuł, że to miejsce nie było przypadkowe. Wieść o głowie szewca natychmiast rozniosła się po Pradze, a odbiorcą wiadomości miał być przypuszczalnie właśnie on. Nożyczki pracowały nad jego czołem, pod którym przewijała się galeria postaci podejrzanych o ten brutalny mord. Hurtem skreślił z listy większość miejscowych rzezimieszków, dla których obcinanie głowy było czynem zbyt subtelnym. Przypuszczał, że musiał być to ktoś zamieszany w sprawę sprzed dwóch lat, upewnić mogło go tylko przesłuchanie znajomych Staronia. Może szewc miał jakiś wrogów? Już planował odwiedzić jego podwórka i przepytanie sąsiadów. Była jeszcze nikła szansa, w którą Stach nie za bardzo chciał wierzyć, że morderstwo jednak nie dotyczyło jego starej sprawy.

- A gdzie reszta ciała? Ktoś znalazł? Szukali w ogóle?

- No co pan. Środek Różyca z rana ogrodzili i jeszcze tam siedzą. Niebiescy przesłuchują. Cywilni nawet tu byli zapytać, czy czego z rana nie widziałem. Ale ja jeszcze w wyrze byłem, jak ten palownik się po bazarze kręcił. Godzinę temu z tym dziadkiem od bielizny gadałem. On ze Staroniem całymi dniami gaworzył. Ponoć się kręcą i gównu mają. Zamiast reszty ciała samemu szukać, oni się ludzi

pytają, czy gdzieś nie widzieli. Leniwe dupska ma ta nasza władza.

Mógł za tym stać ktoś zza Wisły, kto ma dostęp do moich papierów, archiwum urzędu, akt sprawy – rozmyślał Stach. Ale przecież nie po to wyrzucili mnie z Warszawy, żeby teraz mordować przypadkowych świadków. W takim razie może esbeckie działania. Ktoś miał interes w ponownym otwarciu sprawy Niemca i spadającej dziewczyny. Ktoś stosujący ekstremalne metody śledcze. Chce wykurzyć mnie z nory, podpalając trawę przed wejściem. Trzeba uważać, z kim się rozmawia.

- O, chyba się będą zwijać. - Fryzjer wskazał nożyczkami jadące za oknem samochodu, suka z wysoką budą i nowiutki cywilny moskwicz wypełniony ponurymi typami. - Dwoma przyjechali. Ale pewnie jeszcze trochę psiarni zostanie w okolicy.

- Stara coś mówiła, podejrzewa kogoś? Może znowu ma na pieńku z Wołominem? Albo dziwkarz z Saskiej Kępy?

- Ale co ma stary szewc do jej interesów?

- Tyle, co niewinny fryzjer.

- No fakt.

- À propos, była już dzisiaj?

- Jeszcze nie. Widać roboty ma sporo, jak wężą. Lewy towar z bud trzeba pochować. Kasyno rozpędzić. Na Różycu taki popłoch, że pewnie tylko ziemniaki sprzedają.

- To lepiej jej dzisiaj dupy nie zawracać – zamyślił się Stach.

- Gotowe!

Kubiak spojrział w lustro i od razu zaakceptował efekty strzyżenia. Nie miał czasu na ewentualne poprawki.

- Świetnie i ekspresem poszło.

- No widzę, że pan, panie Staszku, niespokojny dzisiaj, więc szybciorkiem trzasnąłem. Zresztą dużo roboty nie było.

Fryzjer pędzelkiem z miękkim włosiem usunął obcięte kosmyki z karku klienta. Odwiązał fartuch, powiesił go na oparciu i przyjął banknot. Widząc wysoki nominał, ruszył do skrzynki po wodzie kolońskiej, która służyła za kasę zakładu.

- Reszty nie trzeba - powiedział Stach, wysuwając z paczki dwa papierosy i częstując mężczyznę.

- Znowu pan hojny jak szlachcic przed spowiedzią. Może choć kobitę panu ciachnę za darmochę? - Szymon poczęstował się papierosem.

- Nie da rady. Ma świętą zasadę, że kobiety strzygą panie, a mężczyzn panowie. Koedukacja nie przejdzie. - Wyjął z kieszeni zwitek kilkunastu banknotów i podał fryzjerowi. - A to utarg z dzisiejszego ranka, do schowka. Jakby kto dzisiaj po nie wpadł, to pan przekaże, że wieczorem postaram się zameldować u Zochy. Może pomóc trzeba z tą głową?

- Przekażę, przekażę. A pan wybranekę pozdrowi - odparł fryzjer, który w rzeczywistości nigdy na oczy Wandy nie widział. - Może się skusi na wizytę.

- Dziękuję. Uszanowania dla bratowej.

Stach zamknął za sobą drzwi zakładu i wyszedł na Ząbkowską.

\*\*\*

To chyba starość, myślał, rzygając za budą z płaszczami. Przez dwadzieścia lat życia na Pradze widział już ludzi wypatroszonych przez bliskich, żywcem spalonych w swoich melinach, nafaszerowanych szkłem, metalem, drewnem i tworzywami sztucznymi, a nawet trupa, który tydzień marynował się w studziencie pełnej martwych szczurów i zgniłych liści. W czterdziestym czwartym przeżył rzeź Woli, to go uodporniło na lata peerelowskiej służby. A teraz żołądek nie wytrzymał na widok jednej głowy oderwanej od ciała? To depresja – pomyślał Rybicki, wycierając usta w rękaw wiszącej obok jesionki. Jakiś skutek uboczny depresji. Już od kilku miesięcy świat napawał go smutkiem. Trochę lepiej robiło mu się po końskiej dawce przypisanego przez lekarza Buprocoś, nigdy nie miał pamięci do nazw. W radiu ciągle trąbili, że depresja poraża coraz więcej ludzi. Za Wisłą to już epidemia, tłumaczyli specjaliści. Sprawdził, pogadał ze znajomym psychiatrą, okazało się, że choruje na to zaledwie pięć procent populacji. Lekarz od świrów powiedział, że to napędzanie rynku, wmawiają wszystkim, żeby leki schodziły, bo handel z Zachodem przyblokowany i nadwyżka zalega w magazynach. Szybko sobie wytłumaczył, że skoro co dwudziestego dopada, to dlaczego nie jego? Oględziny resztek ze śniadania

i nieprzetrawionych jeszcze tabletek przerwał mu głos za plecami.

- Ryba dopiero przyjechał, a już go czyści - zażartował Tomaszko, kumpel z wydziału. - Po chuj żeś się tu pakował? Ślady zapaskudzisz.

- Spierdalaj - odpowiedziało mu resztką sił umęczone gardło.

- Dobra, dobra. I tak już majdan zwijamy.

Rybicki musiał się wziąć w garść i zrobić to, do czego go tu wysłali.

- Jak zwijacie? Technicy byli, widziałem, ale fotografa znowu zgubili.

- Przyjechał na samym początku. Spokojnie Ryba, dokumentacja jest.

- Przesłuchani?

- Ilu się dało. Baby, co to znalazły, narobiły w gacie i już czekają na Cyryla, aż im ktoś podetrze tyłki.

Był w coraz gorszym nastroju, a jeszcze musiał przepytac zaryczane kobity. Podszedł do rozmówcy i nieco ciszej zapytał:

- Ilu zostaje?

- Jak to zostaje?

- Kurwa. Ma mi tu trzech w cywilu do jutra krążyć. Słuchać, co ludzie gadają. Wypytać obszcymurków. I jeszcze mundurki wysłać do domu szewca, sąsiedzi, szczegóły, kiedy widzieli ostatni raz, z kim...

- A ty, co się jak sułtan w haremie rządź?

- Stary mi to wcisnął za to, że na odprawie komara uciałem.

W twarzy rozmówcy zauważył wyraz lekkiego współczucia.

- Jak go wkurwiłeś, to się nie dziw, że gównu podrzuca.

Nie dziwił się. Robił to, co do niego należało. Dokładnie według instrukcji. Zamierzał odhaczyć wszystkie obowiązki śledczego i szybko oddać sprawę. Bo że trzeba ją przekazać, nie miał wątpliwości, od kiedy usłyszał nazwisko ofiary.

- Esby już były?

- Jeden podskoczył. Daleko nie miał.

Tomaszko popatrzył na przygarbioną postać starego gliniarza. Pomyślał, że dziadek już się rozpada. Na bladej twarzy Rybickiego jeszcze wyraźniej niż zwykle rysowały się bruzdy zmarszczek.

- Dzień się pomęczysz, załatwią przejęcie, podpiszą papierki i masz z głowy. Nawet suplementa z archiwum nie ma co wyciągać.

- I człowiek się nigdy, kurwa, nie dowie, czy to popłuczyny po tamtej sprawie, czy zemsta klienta za pękniętą zelówkę.

- A po chuj nam wiedzieć? Niech się tamci męczą i zamiotą pod swój dywan.

- Ty, a z Zochą ktoś gadał?

- Za śliska sprawa, żeby do niej na herbatkę chodzić. Musi być oficjalnie. Dostała wezwanie na jutro rano, ale

wątpię, czy coś wie. Dla niej ten łeb na kijku to większy problem niż dla nas.

- Ta, ktoś jej krwawy baniak na środek interesu wrzucił.

Rybicki miał ochotę zapalić. Pierwszy raz od roku. A tak się dobrze trzymał. Zamiast tego sięgnął do kieszeni po fiolkę i łyknął tabletkę, mając nadzieję, że tym razem nie wróci. Potem otarł pot z czoła. Słońce grzało niemiłosiernie. Na całym bazarze cuchnęło zgnilizną i zaczął się zastanawiać, czy to rozkład znalezionej tu głowy, czy może smród z jego własnych ust tak drażni nozdrza. Szpetna, śmierdząca Praga. Jeszcze trzy lata - powtarzał sobie w duchu. Emerytura i zwijam się z tego kurewskiego miasta. Do usranej będę łowił ryby w Zaleszczykach. Tylko posmarować w MSW, żeby skierowanie dali.

\*\*\*

Z bazaru wywiało wszystkich handlarzy lewizną. Została najwyżej jedna trzecia stałych sprzedawców. Stach zaryzykował przejście przez Różyca. Od razu wyłowił w tłumie tajniaków, którzy nawet nie starali się specjalnie kryć przed wzrokiem przechodniów. Klienci na nowo zalali przestrzeń między kamienicami, oczyszczoną już z mundurowych i szczątków Staronia. Ludzie, tak jak on, robili szybki obchód i opuszczali targowisko. Mało który prażanin zainteresowany był zakupem warzyw i używanych ubrań krajowej produkcji, większość szukała kontrabandy. Nie znalazł człowieka, którego szukał. Musiał zwinąć stragan i pójść do domu. Nic dziwnego, pod stertą staników



i damskich gaci trzymał literaturę zza Wisły i świerszczyki ze Szwecji. Ale z racji, że Stach był jego stałym klientem i często zamawiał konkretne tytuły dla Wandy, stary dał mu swój adres i tam załatwiali interesy.

Ruszył w stronę Kijowskiej, na której rogu mieszkał znajomy handlarz. Zauważył starca zaraz po wyjściu z bazaru, siwobrody poganiał ciągnącego wózek chłopca. Wkurzony dzieciak puścił przymocowany do platformy na kółkach sznurek i w złości tłumaczył coś dziadkowi. Kubiak podszedł do kłócącej się pary.

- Może pomóc? - zaproponował.

- A dzień dobry, nie trzeba. - Staruszek spojrzał na Stacha. - Pan po nowy towar? Musieliśmy się zwinąć, bo przez upierdusów handel się nie klei. Zresztą dzisiaj tylko bielizną mogłem targować. Ale zapraszam do domu. Trochę papieru nawieźli w poniedziałek.

- A nie, ja raczej w innej, delikatnej sprawie.

- Ruszaj dupę i wieź to do ojca, a ja z panem porozmawiam - wrzasnął na dzieciaka, który, biorąc pod uwagę podobieństwo rysów, musiał być jego wnukiem. - Skórę zaraz złoję za te awantury.

Chłopak zmarkotniał, ale wziął sznurek w obie dłonie i ruszył przed siebie, ciągnąc zawartość straganu. Dziadek zwrócił się do Kubiaka:

- A w czym mogę panu pomóc?

- Chyba nie będę oryginalny, o Staronia chciałem zapytać. - Stach poczęstował dziadka papierosem.

- Już mnie psy maglowali, ale nawet gdybym chciał, to niewiele o staruszku mogę powiedzieć.

- Ja nie z ich ramienia, pan wie. Zośce chciałem pomóc. Wyjaśnić, kto i za co, żeby się kobiety nie czepiali.

- A to chwalebne... - staruszek się zawiesił, czekając na reakcję Stacha. Ten wymacał w kieszeni banknot i podał go rozmówcy. Dziadek bez słowa schował go do woreczka, który nosił na szyi.

- Wrogów jakichś miał? Jakichkolwiek, niekoniecznie rzeźnika, który łby wycina.

- Nikogo, tylko reumatyzm. Cichy się zrobił po śmierci żony. Bazar to był ostatnio cały jego świat.

- Nie wspominał o czymś, co go martwi? Bał się kogoś?

- Staroń był chłop, co się nikogo nie obawia, a jak miał jakieś smrody, to w łepetynie kisił, nie dzielił się. Rodzina mu pomagała odrobinę. Syn czasem zaglądał z dzieciakiem. Kuzyn jakiś wpadał na bazar pogadać. Wszystko dobre ludzie. No może poza szwagrem. Menda straszna ponoć. Narzekał na niego, ale chyba kontakty zerwali po tej ich małżeńskiej odsiadce.

- A ten szwagier to co za jeden?

- Henryk się chyba nazywa, zapamiętałem, bo i mi tak na bierzmowaniu dali. Przed wojną to był ponoć aptekarz szanowany. Teraz łajza i kombinator. Staroń mu kiedyś pomagał, gotówkę lewą rozprowadził, jakieś paczuszki przetrzymał, potem jak problemy były, szwagier się wypiął...

- A gdzie on mieszka, wiecie?

- To gdzieś na Skaryszewskiej będzie. - Dziadek zapatrzył się w kierunku, o którym mówił. - Niech go cholera - zmarszczył czoło, więc i Stach spojrział.

Kilkanaście metrów dalej, przy bramie pobliskiej kamienicy, wnuczek klęczał przy wózku, starając się przymocować urwane kółko.

- Na chwilę go zostawić i wszystko rozpieprzy. Pan wybaczy, ale muszę już...

- Jeszcze tylko zapytam, czy pan niebieskim wspominał o tym szwagrze?

- A po co? Im mniej wiedzą, tym szybciej skończą, a Staroniowi nikt głowy już nie wróci.

Stach podziękował swojemu księgarzowi. Postanowił odłożyć wizytę na podwórku Staronia, gdzie pewnikiem kręciła się teraz wycieczka mundurowych. Miał inny trop i to nim zdecydował się teraz ruszyć.

\*\*\*

Na klatce śmierdziało ludzkim moczem i wilgocią. Grzyb wspinał się po ścianach. A jednak kamienica była zamieszkała i to przez bogobojne towarzystwo, prawie wszystkie drzwi podpisano inicjałami trzech mędrców. Kiedy Stach wspinał się po schodach, minęła go grupka umorusanych dzieciaków z wrzaskiem zbiegających na podwórko. Idąc tutaj, wypytał stojące na rogu towarzystwo o mieszkanie Henryka, symulując, że ma do niego jakiś poważny interes. Na początku ściemniali, że żaden taki tu nie mieszka, któryś dodał nawet „panie władzo”. Na

szczęście Targową zbliżał się akurat patrol mundurowych i pierwszym, który schował się za róg, był właśnie Stach. Wspólny wróg przekonał podpitą menażerię, jeden z typków rozpoznał w nim nawet kompana z Kasy i zaraz wskazał drugą kamienicę od reprezentacyjnej ulicy Pragi. W tej okolicy nikt nie mógł się czuć pewnie. Choć jego twarz była kojarzona jako gęba tego od Zochy, to immunitet nietykalności miał tylko w okolicach Różyca. Im dalej w miasto, tym więcej małych zbójceckich grup, których interesy nie krzyżowały się z podziemnym imperium Starej. Tylko grupy zawodowe szanowały się nawzajem, jeśli akurat nie dochodziło do konfliktu interesów. Kieszonkowiec z Mińskiej nie obijał gęby spokojnie przechodzącemu doliniarzowi ze Stalowej, chyba że ten kroił klientów na jego terenie. Przedstawiciele akurat tego fachu Stach potrafił rozpoznawać po samym sposobie poruszania się. Pragę dzieliły między siebie charakterne plemiona. Idąc tu, przekroczył jedną z granic, wiadukt kolejowy nad Targową. Zawsze dziwiło go, że ruchome miejsce jego pracy stanowiło osobny obszar przestępczych podziałów. Kieszonkowcy z różnych obszarów podzielili między siebie linie komunikacji miejskiej, często pokrywające się z terenem sąsiadów. Teraz spokojnie kontrolował tramwaje jeżdżące między rondem Wiatraczna a Starzyńskiego, ale jego poprzednik, na początku swojej działalności, miał o wiele krótszą trasę, która ograniczała się do kwartałów miasta podległych Zośce. Doliniarze próbowali poszerzyć strefę wpływów, co skończyło się małą

wojną podjazdową. Tłukli się nawet w tramwajach. Kiedy ofiarami tych pojedynków stali się pasażerowie, do akcji wkroczyła władza. Obroty wszystkich spadały, więc doszło do zawieszenia broni i podziału tras oraz środków transportu. Najbardziej wpływowi sąsiedzi, Grochowiacy, zajęli się liniami autobusowymi aż do Stalingradzkiej, w zamian oddając Zośce tramwaje jadące Aleją Zieleniecką. Właśnie dzięki tej rewolucji miał dzisiaj swoją pracę. Poprzedni kontroler zaczął uprawiać zawód swoich podopiecznych i robić z nimi na boku. Sporadycznie wpadali do grochowskich autobusów. Proceder trwał jakiś rok, po którym nieszczęśnik wypadł z tramwaju przy Skaryszaku, łamiąc sobie nie tylko nogę, ale i wszystkie palce prawej ręki.

Walnął pięścią w drzwi na trzecim piętrze. Nikt nie odpowiadał, więc złapał za klamkę. Zamknięte. Kombinował chwilę, co dalej, po czym odsunął się i z całej siły kopnął, celując w okolice zamka. Drzwi puściły. Wszedł do środka. Na podłodze przedpokoju zalegało kilka butelek i jakieś szmaty. Zerknął do kuchni zavalonej brudnymi naczyniami, po czym ruszył do jedyne go pokoju. Pod oknem, zasłoniętym poźółkłą firanką, stało wielkie łóżko. Obok zmiętej, poplamionej kołdry spała na brzuchu dziewczyna. Tłuste, ciemne włosy opadały na bok, odsłaniając połowę twarzy, której reszta ginęła w stęchłej poduszce. Ocenił jej wiek na nie więcej niż osiemnaście wiosen. Miała na sobie cienką, przeupoconą koszulkę podwiniętą do połowy pleców, świeciła gołym tyłkiem. Całkiem zgrabne ciało szpecił

olbrzymi siniak na lewym udzie. Stach usiadł obok niej i strzelił lekko otwartą dłonią w pośladek. Poruszyła się. Naprężyła mięśnie. Podrapała pryszczą na biodrze. Mlasnęła i zaczęła się odwracać, przecierając dłonią oczy. Kiedy zauważyła gościa, oparła się na prawym łokciu, nawet nie zakrywając zarosniętego czarnymi włosami łona. Zerknęła w bok, zauważając, że w łóżku nie towarzyszy jej nikt poza nieznanym.

- Gdzie jest Henryk?! - ryknął Stach.

- Taki tu nie mieszka - pośląła zalotny uśmiech, głaszcząc się po wilgotnym od potu brzuchu. Waliło od niej wczorajszym alkoholem.

- Ale często bywa.

Podał jej stojącą obok łóżka butelkę z niedopitym winem. Pociągnęła spory łyk. Trochę ułało jej się po policzku, więc wytarła nadgarstkiem.

- Dzięki.

- To gdzie jest? Zaraz mu niezły interes ucieknie, więc szybko sobie przypomnij, gdzie polazł.

- Wczoraj tatusiek na noc nie wrócił. Czekałam, aż musiałam se z tym wszystkim sama poradzić - pogładziła się po drobnej piersi tak, żeby spod koszulki wyłonił się fragment sutka.

- O której wyszedł?

- A jakoś ósma była. Chlać gdzieś polazł, nie mówił z kim - pochyliła się, kładąc dłoń na jego kolanie.

Jej wydech zalatywał tanim wińskim. Stach wstał z łóżka. Rozejrzał się po pokoju. Na podłodze pod ścianą

leżała wymięta czarna marynarka. Podniósł ją i zaczął grzebać po kieszeniach. W zewnętrznej znalazł paczkę papierosów i zapalki, rzucił je dziewczynie. Wewnętrzna zawierała dowód z odpadającą okładką, zajrzał do środka i stwierdził, że ma szczęście. Na zdjęciu widniała nalana twarz starszego mężczyzny, pod okiem miał wielkiego, wystającego purchla. W rubryczce imię wykaligrafowano: Henryk. Dziewczyna cały czas przyglądała się Stachowi.

- Jakby przyszedł, powiedz, że czekam o szóstej wieczorem w Kasie, wtedy mu oddam - schował dokument do kieszeni i ruszył w kierunku wyjścia.

Odwrócił się jeszcze i spojrzał na małąlatę.

- Drzwi napraw, bo ktoś przyjdzie i trypla złapiesz.

- Trypla już mam, chłopca mi potrzeba - odparła, ziewając.

Wyszedł, zastanawiając się, gdzie w pobliżu można umyć ręce.

\*\*\*

Na Targowej ruszył w kierunku przystanku. Stał na nim jakieś piętnaście minut, czekając, aż wśród pasażerów pojawią się znajome twarze. Przepuścił dwa tramwaje, w trzecim, przy oknie, siedział Tomek, najbardziej kumaty z jego podopiecznych. Ruchem dłoni przywołał młodocianego kieszonkowca. Chłopak wyszedł z wagonu, za nim wyskoczył jego wspólnik Rafał, który pozbył się już egzemplarza „Świata Młodych”. Brakowało trzeciego, noszącego kurtkę nawet w największe upały Zdzisia. Stach

wiedział, że w ten sposób chłopak zakrywał swój największy kompleks - kruche ramionka. Imiennik wolskiego boksera, który zginął w czasie pierwszych godzin krwawego sierpnia czterdziestego czwartego, był jego całkowitym przeciwieństwem. Wystarczyło oprzeć się o nagie ramię doliniarza, żeby narobić sobie siniaków od wystających kości. Koledzy wołali na niego Tasiemiec, sugerując, że właśnie pasożytowi zawdzięcza wychudzoną sylwetkę.

- Mam sprawę - zaczął Stach. - Chcecie zarobić?

- Ile? - zapytał Tomek.

- Nie stracicie.

- Co trzeba?

- Posiedzicie przed tym adresem, to tu za rogiem - pokazał stronę w dowodzie - i poczekacie na tego koleśia - wskazał zdjęcie. - Tylko się jakoś schowajcie. Może w tej ruderze po drugiej stronie, żeby was miejscowi nie pogonili.

- Ja znam typa... - pochwalił się Rafał. - Ze trzy razy obrobiłem.

- Do której? - Tomek skupił się na konkretach.

- O jakiejś osiemnastej będę w Kasie. Jakby się facet zjawił, jeden niech leci na Ząbkowską, zapyta o mnie w mleczaku. Gdyby gość gdzieś ruszył, idziecie za nim. Pamiętajcie, gdzie łąził i z kim się widział.

- To jeszcze raz, ile? - zapytał Tomek.

- Stówka na głowę?

- Sto dwadzieścia.

- Dobra, ale wieczorem, po robocie.

\*\*\*



Do mleczaka nie podszedł od strony skrzyżowania Targowej z Ząbkowską, ale przez bramę, od zaplecza. Walnął pięścią w metalowe drzwi. Otworzyła mu wściekła kucharka, ale kiedy zobaczyła, kto dobija się od tyłu, na jej twarzy wyrósł uśmiech.

- A Staszek, zapraszam. - Wpuściła go do środka. - Tam masz dzienniki. - Wskazała stół w rogu, na którym leżał równy stosik nieczytanych wydań z ostatnich dni.

Zarządzeniem spółdzielni spożywców wszystkie bary mleczne otrzymywały darmową dostawę prasy codziennej. Gazety przeznaczone były dla klientów, którzy podczas posiłków mieli też przyswajać porcję wiadomości. Jednak liczba nawiedzających jadłodajnię prażan była tak duża, że personel zdecydował się skrócić czas konsumpcji do minimum, a ślęczenie nad prasą go wydłużało. W związku z tym większość nieprzydatnych w kuchni gazet szła kiedyś do kosza. Teraz przejmował je Stach i co kilka dni robił sobie prasówkę.

Kucharka zniknęła za przesłoną z pasków kolorowego plastiku, a Stach udał się w kierunku schodów do piwnicy. Na dole nawet nie zapalał światła, w półmroku odnalazł drugie drzwi po lewej i otworzył kłódkę kluczem wyciągniętym z kieszeni. Wszedł do zanurzonego w ciemnościach pomieszczenia. Zapalił światło. Znajdował się w piwnicznej izbie rozmiarów pięć na pięć metrów. Ściany bieleły się gipsem, tylko naprzeciw drzwi, pod sufitem, tam gdzie kiedyś znajdowało się piwniczne okno, estetykę pomieszczenia psuł wymurowany ceglami

prostokąt. Na podłodze wyłożonej czerwonymi kafelkami stało duże biurko i drewniane krzeselko wyniesione z baru na górze. Pod ścianą po lewej leżały stosy gazet i równo poukładane, szare skoroszyty. Ścianę po prawej zdobiła wielka mapa Pragi. To było jego biuro i archiwum.

Pół roku wcześniej zgłosił się do niego Cygan. Wiedział, że Stach miał w przeszłości jakieś związki z pracą śledczego, więc liczył na pomoc w załatwieniu jednej sprawy. Szrama był wtedy odpowiedzialny za ochronę transportu z zakupionymi na Wschodzie wojskowymi konserwami. Towar nie był nawet kradziony, po prostu ktoś dogadał się z kwatermistrzem sowieckiej jednostki mającym do opchnięcia nadwyżki. Cyganowi w międzyczasie urodził się syn i trochę zaniedbał obowiązki służbowe, w czym Stach mu zresztą aktywnie pomagał. Razem opijali pojawienie się na świecie nowego Roma i to wtedy został poproszony o zostanie ojcem chrzestnym. Niestety w drodze z Polesia z wagonu zniknął towar. Cygan miał tydzień na przedstawienie problemu Zośce, która była akurat na mazowieckim tournée, wyprawie mającej na celu podtrzymanie wojewódzkich kontaktów. Nieudolny ochroniarz zdecydował się poprosić o pomoc Stacha. Ten wspomniał, że przydałoby się ciche miejsce, w którym będzie mógł przemyśleć sprawę i zgromadzić małe archiwum dowodów. Dostał do dyspozycji piwnicę. Po dwóch dniach rozwiązał zagadkę. Okazało się, że radziecki oficer sprzedał towar w dwóch miejscach, a Zocha potrzebna była mu tylko jako transporter puszek na Pragę.

Wagony stały kilka godzin w Rembertowie, przepuszczając jakiś dyplomatycznie oplombowany pociąg. Wtedy właściwy klient odebrał przesyłkę, nawet nie wiedząc, że jeszcze do kogoś należy. Zocha się wściekła, ale wynegocjowała zwrot połowy towaru w zamian za swoje kontakty w transporcie rzeczonym i kanałowym. Sowiecki kwatermistrz po anonimowym donosie wylądował na wakacjach pod chińską granicą. Stachowi zostało biuro, z którego korzystał przy jeszcze jednym śledztwie zleconym przez Szybkiego Zbycha. Po godzinach poświęcał się dokumentowaniu kilku głośnych, a nierozwiązanych praskich spraw. Taka mała odskocznia, która pomagała mu zachować sprawność umysłu. Jednym z tych hobbystycznych zadań było kontrolowanie doniesień na temat jego pierwszej praskiej akcji.

Odłożył gazety na kupkę. Wyciągnął dwa skoroszyty i położył je na biurku. Pomyślał, że niedługo trzeba będzie utworzyć nowy, bo studencka zabawa w badanie „sprawy Niemca” może przynieść nieoczekiwane owoce. Zdecydował się przejrzeć wszystko, co zebrał przez te kilka miesięcy. Mimo że większość materiałów miała swoje kopie zapasowe pod jego czaszką, ponowne zerknięcie do archiwów mogło stworzyć jakieś nowe połączenia owocujące atrakcyjnym tropem.

\*\*\*

Kasa była wyludniona. Tylko jeden stoik zajmowała para robotników portowych chłepczących w ciszy kuflowe.

Z ustawionego na barze radia sączył się śpiew Violetty Villas. Skoczna melodia *Dla Ciebie, miły* ożywiała tylko muchy krążące nad blatem. Stach sączył podługą kawę po turecku, którą Szybki trzymał dla specjalnych klientów. Słodko-kwaśny smak urozmaicał łyżkami winiaku klubowego. Szef i barman w jednej osobie mył szklanki na zapleczu, więc nikt nie przeszkadzał Kubiakowi w psioczeniu na samego siebie. Zmarnował pół dnia na bezowocne przeglądanie starych wycinków. Do niczego nie doszedł.

Wiszący nad barem stary zegar wskazywał kwadrans po szóstej. Zabytek był jedyną pozostałością po przedwojennym fachu kierownika zakładu – zegarmistrzostwie. Za okupacji Zbyszek przestawił się z grzebania w mikroskopijnych kołach zębatych na o wiele większe mechanizmy. Potem siedział za rozbicie sejfu Gminnej Kasy Spółdzielczej. Kiedy wyszedł, zajął się działalnością rozrywkową i w końcu wylądował w największej kasie, z jaką miał do czynienia.

Kiedy Violetta finiszowała swoim „cza, cza, cza, cza”, do baru weszły chłopaki.

– Dupa, nie pojawił się – powiedział Tomek.

Stach wyjął z kieszeni obiecaną gotówkę i zapłacił zleceniobiorcom. Zamówili sobie po kuflowym i obsiedli go po bokach. Połomski w radiu zaczął się dopytywać „Gdzie jest mój dom?”.

– Ty, a po co my tego koleśia szukamy? – zapytał Rafał, używając tak nielubianej przez Stacha formy.

- Zaraz cię pizdnę za to „ty”!
- No co, mam „proszę pana” mówić?
- Wiesz, jak mam na imię?
- Szóstka. - Chłopak zaśmiał się złośliwie.
- Może być. - Stach już dawno uznał, że nie ma co walczyć z przewiskiem, które tak łatwo do niego przylgnęło. - Dodawaj „proszę pana”, mógłbym być twoim ojcem.
- Mój stary zalicza sanatorium w Barczewie.
- A pomyślałeś, dlaczego sąsiad i listonosz bardziej do ciebie podobni od tego konusa, co go masz w papierach? - zapytał Tomek.
- Ty się martw o swojego. Chyba że łyknąłeś, żeś niepokalane poczęcie.
- Zamknijcie się - powiedział Stach. - Skupcie się na robocie. Od jutra będę trochę zajęty, więc żeby mi żadnych wpadek nie było. Kursujecie po linii i sami sobie radzicie z takimi jeleniami, jak ten dzisiaj. W ogóle, gdzie jest Zdzisio?
- Urwał się, zaraz przed tym jak nas zwinąłeś - poinformował Tomek.
- Poleciał do tej lali, co tylko kwiatki zbiera i dawać mu nie chce - dodał Rafał.
- Pierdolisz, bo sam żeś do niej smalił. Pojechał do matki, do szpitala. Kiepsko z nią.
- Dobra - powiedział Stach. - Siła wyższa. Tylko żeby jutro chociaż ze dwie godzinki pojeździł, bo nam obroty spadają.

Tomek pokiwał głową i zawiesił wzrok na szklance z winiakiem.

- Za mocne dla ciebie - Stach zauważył rozmarzone spojrzenie chłopaka i wychylił rubinowy płyn.

Otworzyły się drzwi do knajpy. Para portowych roboli podniosła głowy znad swoich kufli, po czym wróciła do obserwacji parzących się na stoliku much. Stach też odwrócił głowę i zerwał się z krzesła, szturchając chłopaków. We trójkę podbiegli do chwiejącego się na nogach Zdzicha. Rękaw jego modnej kurtki był naderwany. Pod nosem zakrzepła krew pokrywała niemal całą powierzchnię szczeniackiego zarostu. Prawe oko było tak spuchnięte, że tylko przez wąską szparkę patrzył na nadchodzącą pomoc. Tomek złapał go pod ramię, ale ranny wyrwał się z objęcia.

- Doszedłem... doszedłem tu sam z Targowej - dyszał. - To jeszcze kilka metrów dam radę.

Pokuśtykał do najbliższego siedziska. Opadł ciężko na krzesło.

- Rafał, leć do Szybkiego po jakąś czystą szmatę. Wilgotną - rozkazał Stach, po czym zwrócił się do Zdzicha:

- Kto?

- Dajcie coś się napić. W gardle zaschło.

Tomek pobiegł po piwo stojące na barze. Obity chłopak zaczął przeglądać rany, podciągnął koszulkę, ukazując kościstą klatkę piersiową. Żebra po lewej stronie były fioletowe.

- Kurwa, złamane mogą być - zauważył podający piwo.

- Odpoczniesz chwilę i jedziemy do szpitala.
- Za kiblami mam starą riksę, towar nią wożę, możecie pożyczyć - rozległ się głos barmana niosącego wilgotny ręcznik. Chłopak wypił łąpczywie pół kufła i odstawił go na blat.
- Stachu, to wiadomość dla ciebie jest.
- Kto? Mów.
- Ten, który się awanturował wczoraj z Cyganem, seplenił. - Zdzich zaczął wycierać twarz. - Spuścił mi łomot w bramie. Bydlę wielkie. Od razu mi kozik wytrącił. Dzięki Bogu nie podniósł. Raz młócnął tą swoją łopata, a potem mnie skopał w parterze. Kazał przekazać, że ciebie też z gołą dupą puści na miasto, tyle że ryja zatka chujem i jajami.
- Kiedy żeś go ogołocił? - Zbyszek spojrzał na Stacha.
- Kurwa, ze dwadzieścia lat temu i jeszcze bydlę pamięta.
- Takiego giganta? Sam? Przecież ty młodszy od nas musiałeś być? - skomentował z podziwem Rafał.
- Wojna była, on młodszy, mniejszy niż teraz, ja z pistoletem. Co to, na dołku jesteście? Przesłuchanie? Zabierać go na riksę i jedziemy.

\*\*\*

Stach wolał nie ujawniać zbyt wielu szczegółów, ale natychmiast stanęła mu przed oczami tamta noc w świętym Wawrzyńcu. Po tym jak matka wybiegła, a ojciec ruszył za nią, dwóch z oddziału poszło ich tropem. Reszta spętała

bandę Kantorka. Wrócili, prowadząc jego zakrwawionych rodziców. Ojciec ledwo szedł, całą twarz miał zakrwawioną, koszulę rozerwaną, a na piersi ślady głębokich zadrapań. Matka z wielkim siniakiem na czole, znowu pozbawiona kontaktu ze światem, dała się prowadzić niedoszłemu powstańcowi. Tylko ręce jej tak dziwnie drgały. Usadzoną na ławie natychmiast obkoczyły kobiety z kościoła. Z ojcem było gorzej, położyli go na posadzce, zmyli krew. Zaczęła się dyskusja, co robić dalej, skoro dowódca ranny. Co z bandytami? Ktoś rzucił „kulka w łeb i za mur, na cmentarz”. Wtedy po raz pierwszy ożywił się ranny ojciec i zarządził:

- Do nagusa skurwysynów, łapy związać i na Wolską puścić. Niech się dzicy nimi zajmą.

Młody Stach pętał z tyłu ręce golasów. Osobiście wyprowadzał herszta za drzwi świątyni i jeszcze sprzedał mu kopa na wychodne. Ktoś strzelił w powietrze, żeby ich popędzić. Zniknęli w pobliskich krzakach. Następny raz kantorkową mordę zobaczył dopiero wczoraj. W czterdziestym czwartym za dużo się działo, żeby myśleć o ukaranych zbrojach. Dzień po wypuszczeniu golców przebili się do ojcowskiego szpitala. Jednej z nielicznych wciąż broniących się placówek na Woli. Tam pomagał rodzicom wrócić do zdrowia. Ojciec próbował jeszcze przemawiać do matki, ale znowu była obojętna na otoczenie, do żywych zaczęła wracać dopiero z końcem wojny. Starszego Kubiaka wywiał ze szpitala we wrześniu, poszedł walczyć o wyzwolenie Warszawy z terroru wciąż



licznych krwiożerczych popaprańców. Zniknął. Stach był przekonany, że zginął. Dopiero po wojnie zaczął pisać z za Wisły. Matka czytała te listy w milczeniu, a zaraz potem je paliła.

- Twój ojciec wybrał lepszy świat - mówiła, ucinając tym samym wszelką dyskusję.

Przed wyjściem z knajpy pokazał Szybkiemu gębę w dowodzie.

- Znasz?

- Wpada czasem.

- To jakby się pojawił, powiedz, że jest ktoś, kto ma jego zgubę i chce pogadać. Tylko nie mów kto. Jutro w południe niech tu będzie.

Stach wątpił w szybkie wypłynięcie gustującego w małolatach Henryka, ale nie mógł sobie odpuścić jednego z nielicznych tropów. Wysłał chłopaków riksą, a sam ruszył do domu. Bał się o Wandę. Jeśli Kantorek odkryje, co ich łączy, dziewczyna może być jego kolejną ofiarą. Przez całą drogę na Kamionek zastanawiał się, czy nagłe wypłynięcie wolskiego bandziora i zabójstwo szewca są zbiegiem okoliczności. Rzadko zdarzały się takie przypadki. Byłoby lepiej, gdyby obie sprawy coś łączyło, mógłby się wtedy skupić jedynie na odnalezieniu winnego pobicia Zdzicha. Używając odpowiedniej argumentacji, przesłuchać i zrozumieć, dlaczego Kantorek wykończył Staronia. Choć właśnie ten element nie kleił mu się najbardziej. Dla własnego dobra musiał uznać, że ma więcej niż jednego wroga.

Stach zawsze się zastanawiał, jakim cudem nie dochodzi tu codziennie do wypadków. Na rogu Zamojskiego i Zielenieckiej znajdował się dworzec autobusowy obsługujący te miasta, do których nie dotarły tory kolei państwowych. Zapewne w chwili powołania go do życia składał się z kilku stanowisk z wiatami na trawiastym placu i nowoczesnego, acz skromnego budynku kas. Stach nie miał okazji zobaczyć dworca w surowej formie. Kiedy pojawił się na Pradze, miejsce to przypominało już ciasną afrykańską wioskę. Dziki handel wciskał się w każdy zakamarek przestrzeni. Kilka drzew stojących na dworcowym terenie stało się podporą dla kilkunastu chybotliwych konstrukcji, do których przylegały kolejne budy. Przypadkowe deski, dziurawa blacha i fragmenty zdezelowanych namiotów turystycznych, a pod nimi obwarzanki, wata cukrowa, słodkie bułki, oranżada, odpustowe pierdoły, balony, tanie zegarki i scyzoryki. Bazar różnił się od Różyckiego nie tylko rozmiarem stoisk, ale i okrojonym asortymentem. Nie sprzedawano tu owoców i warzyw. Z wędlin dało się kupić tylko podgrzewane w kotle parówki. Stragany z odzieżą, nie mogąc wcisnąć się do wnętrza tego prowizorycznego miasteczka, oblepiły jego zewnętrzne granice. Nie dało się tu kupić palta na zimę, oferowano tylko to, co niezbędne o tej porze roku. Tanie koszule, krótkie spodenki i płaszcze przeciwdeszczowe. Zbite ze śmieci chaty ciągnęły się wzdłuż umownych alejek, co sezon zmieniających swoje położenie. Chyliły się nad wąską jezdnią, którą wjeżdżały i wyjeżdżały autokary.

Zmierzający na dworzec podróżni musieli pokonać ten handlowy labirynt. Żeby dotrzeć na swoje stanowisko, przedzierali się przez tłum wypełniający szczelnie przestrzeń pomiędzy jadącymi powoli zyłami i produktami Sanockiej Fabryki Autobusów. Kiedy pojazd za bardzo przyspieszał, kilkadziesiąt dłoni natychmiast waliło w zakurzoną karoserię, a obywatele znajdujący się najbliżej okienka kierowcy rzucali mu stosowną wiąchę.

Stali przy budynku dworca, obok stoiska, którego właściciel miał bardzo okrojony asortyment. Handlował tylko pańską skórką i landrynkami, w miejscu tak atrakcyjnym, że oprócz wąskiego stoliczka zbitego z desek dorobił się też dziurawego parasola promującego Dni Książki 1960. Wanda była odrobinę obrażona, że kazał jej przerwać wakacyjną pracę w księgowości praskiej spółdzielni mleczarskiej i wysyłał ją do rodziców. Dała się przekonać, kiedy opowiedział historię swoich spotkań z Kantorkiem. Nie kłamał, ta część życiorysu nie była objęta cenzurą, wiedziała, że dzieciństwo spędził na Woli. Obiecał, że szybko załatwi sprawę z ulrychowskim zbirem. Musiał tylko dać słowo, że będzie ostrożny i nie da sobie nic zrobić.

- Znajomi z Ząbkowskiej pomogą - mówił - i najpewniej rozejdzie się po kościach.

Odrobinę dziwiła go tak szybka zgoda Wandy na opuszczenie Pragi. Marudziła krócej niż przy decyzji o zakupie kowbojskich butów, o których Stach zawsze marzył, a ona uważała za niemęskie kozaki.

- Dzwonisz codziennie - nalegała. Jej rodzice byli szczęśliwymi posiadaczami aparatu telefonicznego. Telekomunikacja lepiej działała w małych miejscowościach, to w dużym mieście najtrudniej było załatwić pozwolenie na domową linię.

- Postaram się, rankami, z zajezdni. A jak tylko się to wszystko skończy, dzwonię po ciebie i wracasz.

- I nie odwalaj słomianego wdowca, sąsiedzi doniosą, jak lafirynda przylezie.

Uśmiechnął się, słysząc słowa zazdrości. Odpowiedziała tym samym i sprzedała mu szybkiego buziaka prosto w usta.

- Kocham cię - dodała.

Autokar podjechał na stanowisko. Ruszyli stanąć w kolejce do drzwi wejściowych. Mimo że tablice informacyjne polecały zakup biletów w kasach, żadna nie była otwarta. Przejazd opłacało się u kierowcy.

- Siusiu - zawył dzieciak przed nimi.

- Teraz? Nie zdążymy - zatroskała się matka, nawiązująca już kontakt wzrokowy z kierowcą.

- Pani idzie, ja poczekam, natura nie da rady - odparł kościsty pracownik PKS.

Kobieta pobiegła z dzieciakiem szukać jakiegoś kąta, w którym mały mógł oddać mocz. Kierowca wydał drobne staruszce z koszykiem pełnym wędlin. Stach podał Wandzie jej torbę w kwiaty.

- Uważaj na siebie, kochany.

Wsiadła, kupiła bilet i przesunęła się na koniec autokaru. Usiadła. Stał pod jej oknem. Na policzku Wandy pojawiła się łza. Narysowała na szybie niewidzialne serce, a on rozejrzał się, czy nikt nie widzi i posłał jej buziaka. Autobus przesuwał się powoli przez rwący potok ludzi. Z góry musiał wyglądać jak prom na rzece po roztopach. Stach ruszył za nim, bo tylko tak dało się szybko opuścić teren dworca. Przystanął dopiero na alei Zielenieckiej, spojrzął w stronę Skaryszaka i pomyślał, że powinni teraz spacerować po parku, cieszyć się pełnią lata, a nie rozstawać na kilka długich dni. Trudno, tylko tak mógł zyskać spokój i czas, by zamknąć choć jedną z niedokończonych spraw.

\*

- Ryba! Chcesz popływać? - zawołał jeden z mundurowych krzątających się za palącym na brzegu inspektorem.

Zignorował gnojka. Stał plecami do całego zamieszania i patrzył na drugi brzeg jeziora. W usta wciągał dym mocnego papierosa. Jak zwykle przy nawale roboty, wrócił do nałogu, który udało się odstawić na długie miesiące. Zwyczajnie, dzień wcześniej, po serii wieczornych przesłuchań, nie odmówił częstującemu go petem szczawikowi z komendy. Rano kupił nową paczkę, pierwszą od roku. W nosie czuł intensywny zapach, który przebijał się przez smród spalonego tytoniu, wszystko wokół miało aromat czekolady. Koją cy zapach unosił się na miejscu zbrodni dzięki sąsiedztwu fabryki Wedla. Za wysokim

murem wrzała robota, stopiona masa kakaowa zamieniała się w smakowite tabliczki, na które czekały tysiące radzieckich dzieci i garstka szczęśliwców z nadwiślańskich sklepów. Rybicki kilka razy trafił na polską czekoladę, ale w wyniku porąbanej polityki gospodarczej krajów bloku wschodniego w spożywcach dominowały wyroby czeskosłowackie. Lubił ten zapach, dawał wytchnienie, potęgując anielski nastrój wywołany przez różowe tabletki.

Za jego plecami leżał siny koszmar, zdecydował się jeszcze nie odwracać, patrząc na grupę przedszkolaków spacerujących po drugiej stronie skaryszewskiego akwenu. O tej porze dnia w parku roiło się od uczestników akcji „Lato w mieście”. Dzieci ubrane we wszystkie kolory tęczy szły za panią w kierunku wypożyczalni łódek i rowerów wodnych. Kazał zamknąć ten punkt usługowy, żeby ciekawscy nie podpływali do miejsca zbrodni. Piesznych odgrodzono pomalowanym na żółto sznurem. Wciągnął w płuca ostatniego bucha i strzelił kiepem prosto do wody. Odwrócił się i spojrzał na całą scenę. Przez chwilę czuł się jak opera tor filmowy. Miał ochotę wziąć do ręki kamerę i zrobić powolną panoramę. Zacząć na murze Wedla, „Manifestu Lipcowego”, poprawił się w myślach, zebrała się pod nim trójka cywilnych obserwatorów. Kamera rusza w prawo i w kadrze pojawia się dwóch mundurowych, którzy idą w kierunku ciekawskich, ruchami rąk przekonując do odejścia. Widzimy bryłę fabrycznych zabudowań, ponure ściany, które kryją w sobie tyle słodkości. Pośrodku kadru pojawia się zaparkowany bokiem

milicyjny samochód z paką, przy nim kolejna grupka, mundurowi. Poniżej, na stoku schodzącym do jeziora, dwie postaci w cywilu pochylają się nad zbitkiem wilgotnych szmat, z którego wystaje kilka kawałków bladego mięsa. Kamera wciąż jedzie w prawo. Na ulicy pojawia się kolejny pojazd, to ambulans. Parkuje zaraz za milicyjnym. Kiedy wysiadają z niego ubrani na biało sanitariusze, z ekranu po lewej znikają fabryczne zabudowania, scenografia wzbogaca się za to o kościelny mur. Za nim porośnięty mchem krzyż, pozostałość po jednym z najstarszych cmentarzy w Warszawie. Kamera wyławia kolejny budynek, plebanię widoczną wśród drzew w prawym górnym rogu. Niżej człowiek w pomarańczowej koszuli flirtuje z kobietą w mundurze. Kiedy chwilę potem za domkiem proboszcza wyrasta bryła kamionkowskiej świątyni, mężczyzna zostawia wyraźnie wkurzoną milicjantkę i podchodzi do operatora, stając się postacią pierwszoplanową. Nim odezwie się nowy bohater, mistrz obrazu wróci z wymagowanego planu zdjęciowego myśląc „ Odpadam, za dużo różowych, trzeba przyspieszyć białymi”.

- Ty, odjechałeś? Robotę mamy.

Kolor koszuli aż kłuł w oczy, odwracając uwagę od nażelowanych włosów. Czterdziestoletni dochodzeniowiec uśmiechał się od chwili rozmowy z nową dziewczyną. Zawsze obskakiwał świeży damski narybek. Większość dziewczyn nie dawała mu szans, zdegowana czerstwymi gadkami podstarzałego lowelasa. Ale jedna na trzy zgadzała się na niewinne spotkanie z doświadczonym kolegą.

- Byłeś pierwszy, opowiedz. - Rybicki zdobył trochę czasu, zanim zaczęła działać połamane właśnie dwa blade proszki. Wiedział, że Tomaszko rozgada się na dobre, dając mu chwilę na zebranie myśli. Starszy śledczy zbyt śmiało obliczył dawkę porannych uspokajaczy. Wziął więcej, żeby się nie rozsypać, jak przy obciętej głowie. Ale za chwilę miał dogonić swoich wężących za zbrodnią kolegów. Małe białe działały niezwykle szybko.

- Proste. Znowu trup w wodzie. Chłopaki mówią, że wczorajszy. Ciepło jest, to bardziej napuchł. Pływał na brzuchu. Tamta baba go znalazła, jazgot się jej rwał do czegoś w wodzie.

Wskazał kobietę siedzącą na ławce, poza sceną z filmowej panoramy. Pochylony nad nią mundurowy obawiał się warczącego u swoich stóp jamnika. Pies chronił dostęp do roztrzęsionej właścicielki.

- Chłopaki go wyciągnęli, blisko brzegu zniosło.

- Kurwa, codziennie nowe zwłoki. Niech te wakacje się skończą - ożywił się Ryba.

- A co, wczorajszego jeszcze trzymasz?

- Już przyszły papiery z zamku. - Tak pracujący w dawnej fabryce wódek esbecy nazywali swoje ponure gmaszysko. - Do wieczora go przejmą.

- To teraz się pewnie modlisz, żeby i ten był powiązany?

- A tu się mylisz. Poprowadziłbym go jak najdłużej, do końca sierpnia może. To mi naczelny nie wrzuci innych pierdół.

- Urloplik we wrześniu? Ryba tęskni za rybami?



- A co, mam kija moczyć w Wiśle? - Szturchnął rozmówcę w ramię, kierując go w stronę ciała. - Suplement przyjedzie? Czy tylko do trupiarni wpadnie?

- Już powinien być.

Podeszli do rozłożonych na zielonym brezencie zwłok. Ryba spojrzał w dół. Tłuste cielsko spoglądało wybałuszonymi ślepiami prosto w niebo. Skupił się na przekrwionych gałkach ocznych, bo z reszty twarzy niewiele zostało. Równe ślady cięcia biegły przez całe wysokie czoło, po linii włosów aż do skroni i niżej, pod brodą. Tak podcięta skóra została zdjęta, odsłaniając krwawą podściółkę ludzkiej fizjonomii. Od Wedla powiało słodyczą i Rybickiemu znowu zrobiło się niedobrze. Przeniósł spojrzenie na Lubelską, gdzie zauważył znajomą postać. Drobnego człowieka w wielkich okularach przeciwsłonecznych wyłonił się zza samochodów.

- Oskórowany. Takich artystów to jeszcze nie mieliśmy - Tomaszko podsumował widok.

- Się chirurg narobił - zauważył jeden z ubranych na biało sanitariuszy. - Zabierać?

- Momencik. - Ryba machnął ręką w kierunku nadchodzącego. Kowalewski poprawił grzywę czarnych włosów opadającą na okulary i przyspieszył kroku. - Niech jeszcze informacyjny zerkanie.

Cywilni funkcjonariusze podali ręce nowo przybyłemu, reszta ograniczyła się do powitalnego skinienia. Odsunęli się od ciała, żeby mógł spojrzeć na zmasakrowaną twarz.

- Jakies papiery?

- No coś ty. Nawet biletu na tramwaj nie miał. - Z ust Tomaszki nie schodził uśmiech, wzrokiem jeszcze raz zaatakował stojącą obok dziewczynę w mundurze, ale ta z kamienną twarzą ignorowała zaczepki.

- Dobra, zabierać, bo nam bardziej spuchnie. - Ryba jeszcze raz zerknął na topielca. Znowu go zemdliło. - Na patologię z nim... i powiedzcie, że oględziny chcę dostać do obiadu - dodał, choć już wiedział, że do wieczora nic nie przełknie.

Sanitariusze położyli nosze na ziemi i dźwignęli wilgotne zwłoki. Trójka ubranych po cywilnemu milicjantów podeszła do pobliskiej ławki. Usiedli. Tomaszko poczęstował towarzyszy papierosami.

- Kowalewski, razem z raportem patologa chcę mieć na biurku dwie listy - zarządził Ryba.

- Zaginione grubasy z półświatka i byłych chirurgów?

- Wszystkich spaślaków. Jak jakiś charakterniak znika, to po miesiącu jest szansa na zgłoszenie, a tego rezun mógł zwinąć z ulicy już wczoraj.

- Kurwa, rzeźnik artysta. - Tomaszko pokręcił głową i zaciągnął się papierosem.

- O, praskich rzeźników jeszcze możesz dorzucić. Utoniemy w papierach, ale się nam przecież nie spieszy, nie?

- Wątpię - mruknął funkcjonariusz informacyjny.

- W co?

- W rzeźników. Odcięcie twarzy to precyzyjna robota, zawodowa. Może się okazać, że mamy specjała, który żywcem

ludzi skóruje.

- Znaczy się, jak cię znam, masz jakiś pomysł? - dopytywał się Rybicki.

- Dwa miesiące temu wyszedł Krawiec z Lublina. Siedział co prawda za sprawę w ich regionie, okaleczanie bez skutku śmiertelnego, ale to jego zainteresowania.

- Dobra, powiązania z Pragą znaleźć. Zadzwońię do tej polskiej Jerozolimy, niech sprawdzą meldunek Krawca. Kowalewski, przejrzyj jeszcze podobne typy w wojewódzkich kartotekach. A ty, Tomaszko, zostajesz na miejscu. Zaraz ci ściągnę ludzi do pomocy. Oględziny miejsca. Poszukacie twarzy tłuściocha.

- Dobra. Tylko tę rumianą mi zostaw. - Wskazał na dziewczynę w mundurze. - Oporna, ale zmięknie po całym dniu spacerków nad jeziorkiem.

- Kurwa! Będiesz ją dymał w krzakach, to nawet nie zauważysz, że ci się trupia maska do dupy klei...

- O, Ryba. Bo się obrażę... - Zrobił niezadowoloną minę.  
- Przyjemności po pracy. Tutaj angażuję tylko oko.

Poklepał kolegę po ramieniu, wstał i się przeciągnął. Napięta pomarańczowa koszula aż zatrzeszczała w szwach.

- Do roboty - zarządził Rybicki. - Mnożymy wątki, zbieramy dokumentację, a potem już na spokojnie, grzebanie w gównie. Tylko szybko na początku, żeby się stary nie przypierdalał. A, Kowalewski, jak będziesz szukał tych grubasów, to skup się na powiązaniach z wczorajszym trupem. Wyrobisz się do popołudnia, to jeszcze na basen

zdążyć - dodał, patrząc na mizerną posturę wstającego z ławki suplementa.

\*\*\*

Na Kamionku tylko jeden bar serwował schab po warszawsku. Jedynie tu, przy Grochowskiej, można było zjeść kawałek mięsa zanurzony w galaretkie, przyozdobiony jajkiem na twardo i posmarowany prawdziwym chrzanem. W stołecznej gastronomii nie przelewało się z mięsem, więc stosunek galaretki do schabu był ostatnio zaburzony. Ale i tak Stach lubił tu wpadać w kanarskich przerwach. Lokal prowadzony był przez Kurda, którego nieznane ścieżki losu w czasie wojny zaprowadziły do kraju nad Wisłą. Potem przyszedł PRL i turecki uchodźca utknął w kraju. Może gdyby nie poznana tu białogłowa i mnogie z nią potomstwo, szukałby drogi powrotu do swojej górzystej ojczyzny. Stach lubił się u niego stołować, bo gospodarz, nauczony gościnną tradycją swojego kraju, dosiadał się do klientów i gaworzył z nimi na dowolnie wybrane tematy. Dzięki temu Kubiak miał tak rzadką okazję rozważać różnice między religiami. Godzinami porównywali postać boga w islamie i katolicyzmie, kłócili się, który naród jest bardziej bogobojny, często stając po stronie rodaków rozmówcy. Mimo że Kurd od ponad dwudziestu lat mieszkał wśród Słowian, nie pozbył się nalotu rodzimego języka, wciąż łamał polszczyznę, szczególnie przekleństwa zastępując perełkami wyjętymi z ulicznego słownika ojczystej mowy. Tak było, kiedy na piętrze swojego lokalu przyjmował

specyficznych gości. Wchodząc do Baru Restauracyjnego Grochowiak, Stach już na wejściu zauważył podenerwowanie kierownika. Przywitali się uściskiem dłoni.

- Są na górze? - zapytał Kubiak, a gospodarz odpowiedział mu tylko westchnieniem.

Skoro nie padło żadne przekleństwo, napięcie między nim a grupą okupujących piętro miejscowych klientów musiało być wyjątkowo duże. Zwykle wymieniał ich grzechy, z których największym było siedzenie w dwudziestu przy jednym kotlecie. Jego sytuacja, jako zarządzającego spółdzielczym lokalem, była nie do pozazdroszczenia. Mógł donieść władzom, że całymi dniami zajmują pomieszczenie, spożywając własny alkohol i prawie nic nie zamawiając, ale następnego dnia musiałyby wezwać szklarza. Jeśli wszedłby na wojenną ścieżkę, kto wie, czy nie doszłoby do podpalenia. Wolał utrzymywać zawieszenie broni, szczególnie że uciążliwi goście na jego kurdyjskie przekleństwa odpowiadali zwykle roześmianą romską mową.

Stach ruszył przez salę. Minął stolik, przy którym siedziała grupa studentów i znajomy profesor. Ukłonił się wykładowcy dającemu nadprogramowy wykład przy kufelku cienkiego piwa. Mieszkali po sąsiedzku i zdarzało im się pogadać na nie zawsze akademickie tematy. Dotarł do ciemnej wnęki, która tylko pozornie prowadziła na zaplecze. Za nią kiepski architekt schował strome schody. Wdrapał się po nich na górę, minął wychodek dla klientów i wszedł do sali wypełnionej gwarem cygańskich rozmów.

W powietrzu unosiła się tytoniowa mgła, miał więc problem z wyłowieniem znajomej twarzy. Ktoś przywołał go po imieniu, ale z bliska okazał się znajomkiem z ulicy. Kiedy podawał mu dłoń, inny Rom złapał Kubiaka za ramię.

- Cześć! - Stach odwrócił się i zobaczył przystojną twarz pooraną paskudnymi bliznami. - Chodź na ulicę, tu się nie da gadać.

Szrama ruszył przodem. Kiedy na dole mijali gospodarza, Kurd zabijał Cygana wzrokiem. Stach, chcąc odrobinę ulżyć szynkarzowi, poprosił o dwa małe. Wziął butelki oraz dwa małe kufle i wyszedł z nimi na betonowy taras graniczący z chodnikiem. Postawił szkło na szerokim murku i rozlał piwo.

- Stara zajęta - zaczął Szrama. - Straszny kocioł na Różycu, krążą od wczoraj i życ nie dają. Gadała z Rybą i się psiarcz tłumaczył, że mają naciski, muszą trochę zamieszać, bo inaczej esy wejdą w teren.

- Dlatego cię do ziomków zesłała?

- Tak. Mam kilka dni dać na wstrzymanie. Ale tu też się zaraz robi gorąco.

- Co, za głową Staronia idą na Kamionek?

- No tak, ty nic nie słyszałeś...

- Że co?

- Moi rano widzieli. Kolejny trup, pływał w Skaryszaku.

- Kurwa!

- Co, ktoś ci akurat zginął?

Stach pociągnął potężny łyk piwa. Męczyło go pragnienie. Westchnął usatysfakcjonowany temperaturą

płynu i zapytał:

- A wiadomo, kto ten topielec?
- Gęby nie miał, ale kulka ponoć.
- Jak tłusty, to może i ten mój...
- Tak myślałem, że będziesz wiedział przed psami.
- Od wczoraj szukam szwagra Staronia, taki cienki cwaniaczek ze Skaryszewskiej.
- Pączek Henryk?
- Ta... - Stach wytarł pianę, która zebrała mu się na wąsach. - Byłem z nim umówiony wieczorem w Kasie, ale pewnie już go wtedy obracali.
- I wszystko się kręci wokół starej sprawy?  
Kubiak przytaknął.
- Ty, tam u tego Pączka była taka siksa w wyrze. Gadałem z nią, a teraz może wyśpiewać, że ktoś szukał, a potem trupa wyłowili... Kurwa, będą mnie ganiać po Pradze.
- Sucha Ala. Spokojnie. To nie była jego dupa, tylko jednego apasza z Targówka. Wróciła do domu i siedzi jak pod miotłą, bo ją gach sprął za kręcenie rogów.
- A ty co taki poinformowany?
- Bo jakżeś czekał na tego Henryka w Kasie, to ja procenty zbierałem na Radzymińskiej. Zresztą Romy to tu najlepszy wywiad, nie słyszałeś? - uśmiechnął się, podnosząc kufel. - Ja jestem lepszy niż fryzjer na Ząbkowskiej. Jedno ucho u Cyganów, a drugie u złodziejskiej chewry. Dlatego mnie Zocha trzyma.

Stach wiedział, że powodów było odrobinę więcej. Miała do niego stosunek bardziej emocjonalny. Przygarnęła Szramę, kiedy ten uciekł z „gadziej szkoły”, jak nazywano powojenny wymysł peerelowskich władz, które wybudowały kilka ośrodków specjalnych, zamkniętych placówek szkolno-wychowawczych. Zwożono tam romskie dzieci, których rodzice nie dopilnowali wypełniania obowiązku edukacyjnego. W rzeczywistości chodziło o wykorzenianie i polonizację. Kształcony w nich dzieciak miał opuścić mury szkoły jako obywatel pełną gębą, sprawny robotnik lub ambitny rolnik. Skończyło się masowym protestem rodziców pozbawionych dzieci i serią podpaień dokonanych przez wychowanków. Ale zanim doszło do upadku tej formy szkolnictwa, Szrama zdążył skończyć kilka klas, wkuć na blachę wielką improwizację i czmychnąć z powrotem na Pragę. Ponieważ szukała go milicja, nie mógł wrócić na rodzinne śmieci, tylko ukrywał się po piwnicach. Tam, w komórcie na Szmulkach, znalazła go Zocha. Przygarnęła i dała robotę. Był jej pupilkiem, niemal przyszywanym synem. A niektórzy szemrali, że za jego nastoletnich lat nawet kimś więcej.

- Dobra, masz coś dla mnie? - zapytał Stach.

- Stara kazała przekazać, że chwilowo nie możesz liczyć na audiencję, zarobiona jest. Ale przykazała dogadać się z Kantorkiem. Mogę ci zdradzić, że on handluje z Zochą ruskim spirytusem. Ułożył się z Sowietami w Rembertowie. Tylko on ma dojścia do stacjonujących tam gierojów. Już o ciebie pytał, dziwnie nakręcony był. Ale gównu mu dała.



Chciała chama ustawić, powiedziała, że pracujesz dla niej i tak ma zostać. Więc jak mu zależy na interesach, to cię nie ruszy. Ale to bydlę jest. Lepiej uważać. Sam się przez ramię oglądam, czy za mną nie łązi. Co mnie wtedy podkreśliło, żeby mu naskoczyć?

- Wóda i Ruda - zaśmiał się Stach.

- Cicho, bo kto usłyszy i mojej starej doniesie.

Zapalili po papierosie.

- Uważaj na tego Kantorka. Wczoraj sprął jednego z moich chłopaków...

- Ty, co on taki cięty na ciebie? Za knajpianą ujmę go tak nosi?

- No nie będę ukrywał, że się z chujkiem znamy. Stare czasy. Gangsterkę na Woli jeszcze za wojny trenował. Zło czynił, a ja ukarałem. Powody ma. Dwadzieścia lat go męczyło i jak mnie w Kasie zobaczył, to nic dziwnego, że zółć zalała.

- Takie buty.

Opróżnili kufle do dna.

- Dzięki za cynk. Same długie u was zaciągam.

- Spokojnie. W rodzinie nikt takich rzeczy nie liczy, a ty już jak familia przecież.

- Właśnie. Jak się mały chowa?

- No jak? Bandyta. Po tacie - zaśmiał się Szrama. - Gryzie, kopie i spać nie daje.

## 6.

Pięć dni minęło w spokoju. Słońce coraz bardziej grzało praskie ulice. Ludzie czekali na chłodniejsze dni. Stach próbował odnaleźć Kantorka, nim ten zaskoczy go, wbijając kosę w plecy. Niestety zamieszanie na mieście było tak duże, że większość szemranych interesów została zamrożona. Zwykle zapracowani dostawcy i pośrednicy schowali się w swoich norach. Spokojnie działali tylko drobni złodzieje i kieszonkowcy, teraz jedyni dostawcy żywej gotówki dla dzielnicowych królów. Elita półświatka miała w tych dniach przymusowe wakacje. Milicja stała się nad wyraz czujna, a po bramach wałęsali się smutni panowie. Stach rzadziej niż zwykle doglądał chłopaków, większość czasu węsząc za Kantorkiem i na własną rękę szukając śladów Staronia i Pączka. Sprawę szewskiej głowy przejęli esbecy, tak przynajmniej donosiła ulica. Topielca ze Skaryszaka wciąż z nią nie łączono, ale zniknięcie Henryka utwierdziło go w przekonaniu, że człowiekiem bez twarzy jest właśnie on.

Te pięć dni to był czas, którego Stach nie mógł sobie teraz darować. Był przekonany, że można było zrobić więcej. Bardziej skupić się na śledztwie i uprzedzić późniejsze wypadki, a właściwie jedno tragiczne zdarzenie. Nie dopilnował sprawy i komuś bliskiemu przyszło za to zapłacić. Wróciły stare wyrzuty sumienia. Stał kilkanaście metrów od grobu, a i tak wokół było tłoczno. Dominowały ciemne twarze. Wszyscy, mimo upału, przystrojeni

w najlepsze garnitury i czarne suknie. Kiedy szli za trumną, towarzyszyło im dwóch grajków zaopatrzonych w gitarę i harmonię. Wygrywali pełne żalu melodie. Kiedy kondukt się zatrzymał, zapadła cisza przerywana histerycznym szlochem kobiet z licznej rodziny nieboszczyka. Stach, jak większość normalnych ludzi, nie lubił pogrzebów. Zwykle gdy żegnano kogoś spoza rodziny, unikał ceremonii, szukając mocnego alibi w postaci nadprogramowych godzin pracy. Ale tym razem wiedział, że musi się pojawić, żeby okazać szacunek bliskim zmarłego. Był tu też dla niego. Pierwszy pogrzeb po tej stronie Wisły, dumął. Skoro bywam już na takich ceremoniach, to chyba stałem się pełnokrwistym prażaninem.

Z tłumu po drugiej stronie cmentarnej alejki wyłowił bladą twarz Zośki. Ubrana na czarno miała zaczerwienione oczy. Teraz nie płakała, ale widać wcześniej musiała uronić kilka łez. Wyczuła, że ktoś na nią patrzy i odwróciła głowę w jego kierunku. Ich spojrzenia się spotkały. Skinął głową, ale ona nie odpowiedziała, zawieszając na nim przez chwilę wzrok. Jej wyraz twarzy nic mu nie mówił. Spodziewał się raczej złości, niż obojętnego wpatrywania w zebranych. Kobieta nagle ruszyła głową, wyraźnie coś mu wskazując. Przeleciał wzrokiem po kilkudziesięciu twarzach skupionych żałobników. Nic niepokojącego. Poleciał dalej we wskazanym kierunku, poza zgromadzenie. Wśród brudnowskich grobów, opierając się o drzewo, stała potężna postać Kantorka. Nie rozglądał się po ludziach, nie oddawał modlitwie ani rozmyślaniom, zwyczajnie grzebał

scyzorykiem pod pazurami. Czekał pewnie, aż skończy się cała impreza, a Stach przypuszczał, że czatował właśnie na niego. Opanował złość, która pojawiła się na widok człowieka źle życzącemu zmarłemu. Wrócił wzrokiem do rodziny zabitego i skupił się na jego synu, ślicznym malcu płaczącym się przy nogach zapłakanej matki. Dzieciak strasznie się wiercił, kopał jeden z kamieni ułożonych wokół grobu. Widać było, że powaga obyczaju jeszcze do niego nie dociera. Tym bardziej nie zdawał sobie sprawy, że śmierci ojca można było uniknąć, gdyby jego chrzestny przyłożył się do tego, w czym był przecież najlepszy. Umysł Stacha odrobinę skostniał. Brak codziennego przymusu analizowania faktów odbił się na jego sprawności. Dochodziło do tego odstawienie wspomagaczy, które chemicznie rozkręcały komórki odpowiedzialne za kojarzenie. Pięć dni pocił się w sierpniowym słońcu, próbując wpaść na jakiś trop, połączyć fakty związane z dotychczasowymi ofiarami i uniknąć następnych. Nic. Szóstego dnia na podwórku Staroniów znaleziono ciało Szramy. Ktoś zrzucił je z dachu, ale w czasie lotu przyjaciel Stacha już nie żył. Wykrwawił się na śmierć, kiedy wbijano mu ostrze pod żebra i wydłubywano gałki oczne. Komunikat był dla Stacha jasny. Sprawa Staronia i jego szwagra nie dotyczyła jakichś niejasnych porachunków z rodziną szewca, tylko Gerkego. Ciało uprzątnięto jeszcze przed przybyciem przedstawicieli władz. Cyganie chcieli trzymać się od nich z daleka. Trzy dni przeleżało w domu zmarłego. Twarz przykryto białą chustką z otworem na usta i nos,

w nadziei, że duch może do niego wrócić. Romskie przesady nic nie dały i dzisiaj grzebali cygańskiego syna, kochanka brzydszej siostry. Trzeba było działać.

Trumnę opuszczano do grobu przy dźwiękach małej orkiestry, do dwóch muzyków idących wcześniej z konduktem dołączyła cygańska trąbka. Rzewną melodię niosło po cmentarzu, wtórowało jej rozpaczliwe wycie kilku kobiet. Stach już nie widział, jak przebiega ceremonia, grób i żałobników miał za plecami. Upał robił się nieznośny. Mężczyzna był mokry pod czarnym garniturem, uwierał go ciasno zawiązany krawat. Poluźnił go i rozpiął ostatni guzik koszuli. W marszu zdjął marynarkę, przewieszając ją sobie przez ramię. Poczul się lżej. Przemykał między nagrobkami. Szerokim łukiem otoczył część cmentarza, w której odbywał się pogrzeb, i od drugiej strony podchodził do czającego się za drzewem dryblasa. Odpiął pasek i wyciągnął go ze szlufek. Podziękował opatrzości, że spodnie wciąż trzymały się na swoim miejscu. Wstęgę brązowej skóry zawinął od palców po nadgarstek, przytrzymując całą konstrukcję zaciśniętą pięścią. W odwodzie miał jeszcze sprężynowiec Szramy, który dzień wcześniej dostał od jego rodziny. Chował go na wypadek zaostżenia konfliktu i póki co nie zamierzał wyjmować. Nie chciał przedwcześnie prowokować walki na śmierć i życie, choć uznał, że wskazanie Kantorka przez Zochę było zezwoleniem na pozbycie się upierdliwego typu. Jeśli miała coś innego na myśli, to trudno. Stach chciał zakończyć przynajmniej tę sprawę.

Był już blisko. Rzucił marynarkę na jeden z nagrobków i upewnił się, że portfel znajduje się w tylnej kieszeni spodni. Zbyt wielu kieszonkowców przyszło pożegnać zmarłego, a rozpacz mogła przyćmić pamięć o nietykalności Stacha.

Olbrzym nadal stał oparty o drzewo, ale teraz nerwowo rozglądał się po twarzach zebranych. Jego cel zniknął z zasięgu wzroku. Solo na trąbce było tak głośne, jakby muzyk stał tuż za drzewem, a nie dobre kilkadziesiąt metrów dalej. Stach wykorzystał zasłonę dźwiękową, by podejść przeciwnika. Stał i wymierzył mocny cios butem w zgięcie nogi za kolaniem Kantorka. Pod wielkoludem jakby zatrzęsała się ziemia. Poleciał na drzewo, a Stach poprawił kopniakiem w plecy. Wiedział, że to niehonorowe ciosy, ale przy takiej różnicy mas musiał jakoś zyskać przewagę. Poza tym zaślepiały go gorycz i złość przywołane wspomnieniem straconego przyjaciela. Kiedy dryblas padł, atakujący usiadł mu na plecach. Trzymając za rzadkie kłaki, walnął jego twarzą o ukorzenioną glebę. Zaskoczenie nic nie dało.

Kantorek próbował przewrócić się na plecy i zrzucić z siebie napastnika. Był już na boku, kiedy Stach dłonią zawiniętą w pasek wymierzył mu cios prosto w ucho. Zabolalo. Kantorek jęknął, ale ból dodawał mu widać siły, bo zadziwiająco sprawnym ruchem zrzucił z siebie Stacha. Niemal jednocześnie zaczęli wstawać. Wielka jak kowalski młot pięść wyrznęła Stacha w szczękę. Ten zatoczył się o metr w prawo, spojrzał na kroczącego ciężko

przeciwnika, po czym zaczął się od niego odsuwać. Oczy wielkoluda pałały żądzą mordy, z nosa ciekła mu stróżka krwi. Stach zerknął za siebie i dojrzał okazję do szybkiego zakończenia konfliktu.

- Saskocyłeś mnie, komarku. Uciołeś. - Grabą wytarł krew spod nosa. - Ale to piewsza i ostatnia klew. Psynajmniej moja.

Olbrzym ruszył do ataku. Stach zrobił jeszcze kilka kroków w tył i poczekał, aż Kantorek zbliży się na odległość kilku milimetrów. Potem niespodziewanie uskoczył w bok, podstawiając tamtemu nogę. Ponad stukilowa góra mięcha wpadła wprost do świeżo wykopanego grobu. Stach wytarł spocone czoło w rękaw koszuli. Podszedł do brzegu dziury i patrzył, jak Kantorek podnosi się, plując ziemią.

- To ty go zabiłeś? - zapytał, przywołując w myślach pokrytą bliznami twarz Cygana.

Dryblas zignorował słowa napastnika i zaczął wspinać się po ścianie osypującej się ziemi. Stach podszedł bliżej i nadepnął mu na dłoń.

- Zabiłeś Cygana?

- Sabić to tylko ciebie, skulwysynu. - Padła odpowiedź, której Kubiak w głębi duszy się spodziewał.

- Tylko po to żeś tu przylazł? - Stach docisnął obcas do dłoni Kantorka. Tamten znowu jęknął z bólu.

- Szóstka! - padło za plecami Stacha.

Kubiak się odwrócił i zobaczył twarz Tomka poruszoną widokiem brutalnej bójki. Mężczyzna na dole wykorzystał sytuację, łapiąc napastnika za nogę i ciągnąc za sobą do

grobu. Stach wyrznął nerkami o brzeg dołu i poleciał dalej. Olbrzym rzucił go pod nogi i z całej siły zaczął wkopywać w ziemię.

- Nie bedziesz jusz, ścielwo, pelzać po ulicach. Pokszebie cie, a potem znajde tego stalego chuja i szuce tluchło obok twojego.

Stach jedną ręką zasłaniał twarz, a drugą klatkę piersiową. Z każdym uderzeniem czuł, jak opuszczają go siły. Stojący gdzieś za granicą grobu Tomek nie reagował, więc katowany sam musiał znaleźć szybkie wyjście z sytuacji. Zobaczył je, kiedy Kantorek po raz kolejny uniósł nogę, tym razem nieco wyżej, wyraźnie szykując się do kopniaka prosto w twarz. Kubiak odchylił się odrobinę w bok, żeby zdobyć przestrzeń dla mierzącej cios dłoni i z całej siły uderzył owiniętą w pasek pięścią między nogi swojego kata. Wypuszczona z uścisku potężna kłamra znalazła się między knykциями Stacha a przyrodzeniem Kantorka. Metalowa zapinka uczyniła cios jeszcze bardziej skutecznym. Grymas na twarzy ugodzonego świadczył o przeżywanym właśnie wielkim bólu. Nie dokończył kopniaka i osunął się do tyłu, lądując po przeciwległej stronie grobu. Stach podniósł się z wysiłkiem. Podszedł do obejmującego krocze mężczyzny i ostatnim ciosem pozbawił go przytomności. Dysząc, stał nad zwalistym cielskiem. Przyglądał się potężnemu przeciwnikowi, na którego brodzie krew mieszała się z ciekącą z ust śliną. Zwycięstwo uznał za cud. Nagle poczuł uderzenie w potylicę, niewinne w porównaniu z ciosem Kantorka.



- Co jest? - Odwrócił się i spojrzał na stojącą nad grobem postać.

- Wiesz, że mam doskonałego cela? - zapytał Tomek, podrzucając spory kamulec. - Zanim stąd wyleziesz, stracisz co najmniej oko. Zresztą mam tu też gazrurkę na wypadek, gdybyś zdołał się wydostać.

- Ocipiałeś?

- Od dawna szukam okazji do szczerzej rozmowy, a te warunki chyba mi sprzyjają? Chcę, żebyś odpowiedział na kilka pytań.

- Pojebało cię? Pomóż mi stąd wyjść! - Stach ruszył do krawędzi wykopu.

- Stop! - Tomek wymierzył w niego kamieniem. - Nie słuchasz. Chcę odpowiedzi.

- To, do kurwy nędzy, zadaj wreszcie jakieś pytanie!

- Dobra. Gdzie jest Tadeusz Kubiak?

Stacha zamurował ten kierunek rozmowy. Zaczął masować ugodzone przez chłopaka miejsce.

- Też chciałbym wiedzieć.

- Jak ci przypierdolę, to może sobie przypomnisz!

- Kurwa, szukam go od ponad roku. Zniknął. Nie ma go na Pradze albo tak dobrze się ukrywa.

- Po co go szukasz? - Tomek przyklęknął na skraju grobu. - Co cię łączy z moim ojcem?

- Ojcem?

Stach na chwilę zaniemówił. Koła zębate pod czaszką przestały trybić. Życiowa układanka Tadeusza miała

zadziwiająco skomplikowany wzór. Na usta wcisnęło się kolejne pytanie:

- On... miał tu syna?

- Niespecjalnie się sprawdzał w tej roli. Ale i tak chcę wiedzieć. Zniknął zaraz po spotkaniu z tobą. Widziałem, jak żeś przyjechał z za Wisły. Wiem, że to spotkanie było dla niego ważne. Potem przepadł. Więc coś musisz o tym wiedzieć. Po co przyjechałeś na Pragę? Po co się z nim spotkałeś?

- Przyjechałem - Stach zdecydował się powiedzieć prawdę. - Przyjechałem spotkać się z ojcem...

Teraz to Tomkowi odebrało głos.

- Z Tadeuszem... braciszku. - Wyciągnął do niego dłoń.

- Pomożesz mi wyjść, czy będziemy się bratać w rodzinnym grobie?

Chłopak przez chwilę miał wątpliwości, ale pomógł mu wydostać się z dołu. Stach otrzepał zniszczone ubranie i spojrzał na leżącego na dnie olbrzyma.

- Musimy pogadać, to jasne. Ale najpierw trzeba się nim zająć. Zanim się obudzi.

- Ale jak to? On tam w Warszawie, przed wojną? - Tomek nie mógł się pogodzić z usłyszaną przed chwilą wiadomością.

- Zaraz wszystko wyjaśnię. Teraz Kantorek. Nie zakopujemy go żywcem, aż tak nie nagrabił. Zostawić też nie możemy. Obudzi się bydlę i zacznie dalej mścić. Myślałem, że może on dopadł ojca, ale wygląda na to, że nie.

- Mam pomysł. - Tomek wyjął z kieszeni fiolkę medykamentów. - Bardzo mocne. Włazimy na dół i go rozbieramy.

- Po cholere to nosisz?

- Prochy? Na ciebie.

Nie czekając na reakcję mężczyzny, chłopak wskoczył do grobu i zaczął ściągać buty ze stóp nieprzytomnego olbrzyma. Już po chwili Stach zorientował się, co planuje jego młodszy brat. Czuł, że nic tak nie wkurzy Kantorka, jak powtórka z wojennej przygody. Kiedy nieprzytomny mężczyzna leżał już goły, związali mu ręce na plecach, rozgnietli leki kamieniem i wsypali mu do ust. Zaczął się budzić, kiedy Stach wymuszał na jego szyi odruch łykania. Jęcząc, dochodził do siebie, gdy stali nad grobem, zbierając olbrzymią odzież. Kiedy szli do bramy cmentarza, przy której ustawiono budkę telefoniczną, ceremonia pogrzebowa dobiegała końca. Stach zadzwonił na numer zielonego krzyża. Poinformował o nagim, zaćpanym wariacie latającym po brudnowskiej nekropolii. Mieli z głowy Kantorka na kilka najbliższych tygodni, a może i na zawsze. Kiedy sanitariusze zabierali z cmentarza znieczulonego lekami nagusa, bracia siedzieli w pobliskiej restauracji, łącząc fakty z życiorysu Tadeusza Kubiaka.

\*\*\*

Tomaszko tym razem wyjątkowo miał wątpliwości. Zwykle palił się do takich niespodziewanych akcji. W pracy lubił adrenalinę, a po niej ulżyć swojemu libido. Ryba zwykle

cenił spokój, więc nie zazdrościł mu ani celności, ani miłosnych podbojów. Ale tym razem to właśnie starszy śledczy był nakręcony na działanie. Doskonale wiedział, że napędzają go nowe środki, które dostał od znajomego łapiducha. Od rana go nosiło, zwłaszcza że sprawa nagle stała się rozwojowa. Napięcie między nim a szefem narastało, piętnował nawet najdrobniejsze potknięcia Ryby. Za niepodpisanie listy przy wyjściu z pracy potrącił mu nawet z pensji, podobnie było przy zgubieniu kluczyka do kajdanek. Trzeba było się wykazać. Dlatego Rybicki chwilowo nie umieszczał w raporcie najświeższych odkryć, zdecydował się poprowadzić sprawę do końca. Gdyby wydał, ile wie, natychmiast przejęliby ją esbecy, a tak planował podać im rozwiązanie, razem z podejrzanymi, na tacy. Suplement już na drugi dzień po znalezieniu trupa bez twarzy połączył zwłoki z Henrykiem zwanym Pączkiem. Potem doszli do tego, że ofiara była bratem żony Staronia. To wtedy Ryba powinien przekazać sprawę odpowiednim służbom, ale na własną odpowiedzialność brnął dalej. Podniecenie towarzyszące odkrywaniu kolejnych elementów układanki pozwalało mu, choć na chwilę, odsunąć hipochondryczne lęki.

Żeby specja od skalpela, jak mówili o nim tamtejsi funkcjonariusze, powiązać ze sprawą Krawca z Lublina, musieli wykonać kilka zamiejscowych telefonów i przekopać przysłane ekspresem akta. Przypisywano mu kilka zabójstw zleconych przez grupy przestępcze. Udowodniono związek tylko z jedną i za współudział

przesiedział kilka lat. Kiedy sprawdzili dokładnie życiorys zabójcy, okazało się, że ma w nim praski epizod – po wojnie służył w miejscowym garnizonie. Tak wypłynęło nazwisko jego znajomego. Namierzenie kolegi z wojska okazało się nieco trudniejsze. Nie przebywał pod adresem zameldowania, ale dzięki znajomościom Tomaszki mieli jego całkiem świeże zdjęcie. Z tydzień zajęło im chodzenie po praskich ulicach i namierzanie delikwenta. Zużyli całą skrzynkę służbowego spirytusu przeznaczonego na łapówki. W tym czasie Ryba miał małe załamanie, przez które musiał spędzić cały dzień w domu, śpiąc za zasłoniętymi oknami. Tomaszko za fraki wyciągał go w teren. Potem Rybicki poszedł po receptę na końską dawkę nowego specyfiku i energia nie opuszczała go przez dwa dni z rzędu. Nosił go jak sukę w rui.

Tak znaleźli się na podwórku kamienicy, w której ponoć widziano Krawca z Lublina i jego cichego współnika. Motywy ich działania stały się dla Ryby jasne, zabijaka z prowincji był narzędziem w rękach swojego kumpla, a sama sprawa była na tyle mocna, że po jej rozwiązaniu trafią na pierwsze strony gazet. Szef da po kopercie nagrody i zapomni o małej wojnie z podwładnym albo zacznie trząść dupą, że Ryba go wygryzie ze stołka. Tak czy siak można było dużo ugrać. Tomaszko jeszcze raz sprawdził broń.

- Myślisz, że to wystarczy na takiego rzeźnika? - szepnął do Rybickiego, kiedy szykowali się do wejścia na klatkę schodową.

- Nie cykaj, on ma swoje skalpele, a ty najlepsze notowania na wojewódzkiej strzelnicy. Oczy wokół głowy i nie dadzą rady. Weźmiemy bydło z zaskoczenia. Zresztą wsparcie już zamówiłem.

Ryba przezornie zadzwonił po radiowóz, żeby mieli czym przewieźć podejrzanych. Umówił mundurowych na za kwadrans, nie chciał, żeby się wcześniej pałętali i pławili w jego splendorze. Tomaszko to co innego, lubił go, a poza tym jego partner też potrzebował sukcesów, żeby góra zapomniała o jego romansie z żoną podkomendanta.

Cicho ruszyli po schodach. Na pierwszym piętrze stanęli po dwóch stronach drzwi. Wcześniej ustalili, że nie pukają, tylko walą prosto do lokalu, w którym według miejscowego dozorca przebywał człowiek wskazany na zdjęciu. Nauczony doświadczeniem Ryba złapał za klamkę, często zdarzało się, że pewne siebie zbiry zostawiały drzwi otwarte. Nie tym razem. Wejścia bronił jeden zamek. Potężny, ale drzwi składały się z dwóch części, więc łatwiej było je otworzyć z kopa. To było zadanie dla młodszego i wysportowanego partnera. Na migi pokazał mu, co ma robić. Przygotował broń, żeby wkroczyć zaraz po uderzeniu. Przedwojenne jeszcze drewno puściło po pierwszym kopniaku. Tomaszko przyjął pozycję, a Ryba czekał, aż da znak i pozwoli mu zabezpieczyć przedpokój po drugiej stronie. Wtedy ze środka rozległ się strzał. Wydziałowym Casanovą zachwiało niewidzialne uderzenie, ale utrzymał się na nogach i odpowiedział ogniem. Ryba zobaczył, że pod koszulą partnera, na lewym barku, kwitnie plama

czerwieni. Musiał działać, bo tamten stał jak na strzelnicy. Obecną jeszcze przed chwilą gotowość do walki zastąpiła fala strachu. Nie mógł się ruszyć. Kolejny strzał ze środka powalił Tomaszkę na ziemię. Wtedy Ryba zebrał resztkę odwagi, wsadził uzbrojone ramię za drzwi i po omacku strzelił dwa razy w kierunku napastnika. Za drzwiami zapadła cisza, a na korytarzu tylko ranny milicjant dawał jęczące oznaki życia. Rybicki był przerażony, tak zaschło mu w gardle, że nie był w stanie krzyknąć ostrzegawczego „Milicja Obywatelska!”. Dopiero po chwili zajrzał do środka. W przedpokoju stała jakaś postać. Nie był w stanie dojrzeć, kim jest napastnik, jego twarz ginęła w półmroku, a ciemna sylwetka kontrastowała ze słońcem wpadającym do pomieszczenia kilka metrów za nią. Z ręki nieznanego wypadł nagle pistolet. Po ciele przebiegły dziwne drgawki. Nie ruszył się nawet o krok. Ryba zebrał się na odwagę i wszedł. Pierwsze, co chciał zrobić, to odkopnąć leżącą na ziemi broń. Podszedł bliżej. Z cienia wyłonił się zarys znanej z rysopisu twarzy Krawca. Milicjant zmrużył oczy, wydawało mu się, że po czole strzelca pełzną w dół jakieś obślizgłe larwy. Zabójca trząsał się coraz bardziej. Dopiero z bliska Ryba dostrzegł, że robale są w rzeczywistości odbijającą skąpe światło krwią płynącą z otwartej rany na głowie. Znowu żółć napłynęła mu do gardła. Nie wiedział, co zrobić. Pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji. Kiedy pomyślał, że przede wszystkim trzeba ratować partnera, głowa Krawca z Lublina eksplodowała, pokrywając otoczenie strzępami ciała i krwią. W ustach Ryby pojawił

się metaliczny posmak. Zalewała go kleista ciecz i fragmenty mózgu. Głowę Rybickiego wypełnił czysty strach, pierwotny lęk przed całym światem. Padł na kolana. Mimo otwartych oczu, nie zarejestrował stojącej w końcu korytarza postaci opuszczającej w dół dymiącą lufę obrzyna. Do jego uszu nie dochodziły krzyki mundurowego wsparcia, które przybyło na miejsce odrobinę wcześniej. Wspólnik lubelskiego zabójcy usłyszał nadchodzącą pogoń. Zrezygnował z kolejnego strzału i zniknął w jednym z pomieszczeń. Ryba płakał. Nie doszedł do niego dźwięk szkła tłuczonego podczas skoku z pierwszego piętra. Nie myślał o skończonej tuż przed emeryturą karierze i wykrwawiającym się kilka metrów dalej koledze. Strach rozluźnił jego zwieracze. Mózg wyłączył na chwilę działanie układu nerwowego. Ciało bezwładnie upadło obok trupa z rozerwaną głową. Ryba leżał w kałuży cudzej krwi. Miał otwarte szeroko oczy. Mundurowi myśleli, że nie żyje, ale on schował się głęboko, w bezpiecznym miejscu, którego nie odwiedzał od czasów wojny.

\*\*\*

Umówił się z bratem, że w miarę możliwości będą siadać rankami w barze mlecznym na Ząbkowskiej i rozmawiać o swoim dorastaniu bez ojca. Tomek się spóźniał, więc Stach jeszcze raz rzucił okiem na pierwszą stronę porannej gazety. Wiadomością dnia była akcja milicji, która zakończyła się ciężkim postrzałem jednego i wstrząsem drugiego ze śledczych. Informowano, że interweniujący



funkcjonariusze zastrzelili na miejscu podejrzanego o dokonanie trzech zabójstw mężczyznę, którym okazał się „nożownik” pochodzący z Lublina. Nie podano żadnych nazwisk, ale i tak prawie cała Praga wiedziała, kim były ofiary zabitego mordercy. Notatka prasowa sugerowała, że przestępca działał sam. Ludzie mieli się uspokoić. Sprawa została pozamiatana. Ale ulica już śpiewała, że osobnik ochrzczony przydomkiem „nożownik” to niejaki Krawiec z Lublina. Czy miał współników? Co łączyło go z ofiarami? Tego Stach jeszcze nie wiedział. Ale dla spokoju swojego i bliskich musiał dowiedzieć się, dlaczego zginęło tylu ludzi.

Dzień wcześniej, podczas posiadówki w przyzwoitej restauracji, udało mu się zamienić niechęć Tomka w radość z odkrycia nieznanego brata. Chłopak uwierzył, że obaj szukają ojca. Zdradził mu tyle, ile mógł na temat swojego śledztwa mającego na celu odkrycie tajemnicy nagłego zniknięcia Tadeusza, pomijając oczywiście dane dotyczące sprawy Gerkego. Powiedział, że na razie nie może wyjawić szczegółów swojej przeprowadzki na Pragę. Początkowo brat nie mógł opanować ciekawości, ale po stanowczym wyznaczeniu granicy przestał drążyć, kazał sobie tylko obiecać, że kiedyś pozna całą prawdę.

Od Tomka dowiedział się, że ojciec kilka lat po wojnie wdał się w romans z pielęgniarką, matką chłopaka. Znajomość miała być niezobowiązująca, ot, ulżenie potrzebie podczas niekończących się dyżurów. Kiedy zaczęło się rodzić uczucie, Tadeusz postanowił się wycofać, ale było już za późno, Elżbieta zaszła w ciążę. Dziewięć

miesiący było testem dla ich związku. Zamieszkali razem. Jej uczucia do niego wzmocniły się, mimo kłótni i słabnącej namiętności. On był coraz bardziej pewien, że nie nadaje się do kolejnego związku, przynajmniej takie argumenty podał, kiedy się wyprowadzał. Kobieta była zrozpaczona, wyjechała do rodziców na mazowiecką wieś, tam urodziła. Ale czasy były ciężkie i dyplomowana pielęgniarka nie mogła znaleźć pracy na prowincji, więc jakieś dziesięć lat temu wróciła z dzieckiem na Pragę. Dostała pracę w nowo otwartym Szpitalu Grochowskim. Tadeusz przez ten czas wywiązywał się tylko z obowiązku alimentacyjnego. Napisał do niej, że jeśli chce, to przyjedzie, żeby poznać swojego syna, ale nie chciała. Już na Pradze kilkuletni Tomek zaczął naciskać na matkę, że chce poznać swojego tatę. Wtedy zdecydowała się spotkać z dawnym kochankiem. Ustalili, że będzie zabierał chłopaka do siebie raz na dwa tygodnie, w dni wolne od dyżurów. Chodzili głównie na ryby i do kina. Z czasem zgodziła się, żeby Tadeusz zabierał małego na dłuższe wakacyjne wyjazdy. Dla samotnej matki ich spotkania były jedyną szansą na odpoczynek od macierzyństwa. Rodzice ograniczali wzajemne kontakty do minimum. Kiedy Tomek stał się nastolatkiem, zaczął okazywać Tadeuszowi coraz większą niechęć. Obwinił go o samotność Elżbiety, która przez te lata nie znalazła sobie nikogo innego, jej światem były szpital i dom. Spotkania z ojcem stały się coraz rzadsze, Tadeusz w końcu się wycofał. Przez jakiś rok ograniczał się tylko do płacenia alimentów. Kiedy Tomek miał chwilę słabości w synowskim

zacierzewieniu i zjawił się u ojca w szpitalu, ten go zignorował, mówiąc, że nie ma czasu na szczeniackie zabawy. To po tym spotkaniu chłopak zaczął śledzić ojca.

Tadeusz nigdy nie wspominał o swoim życiu przed wojną i utraconej rodzinie, zresztą kilkuletni Tomek nigdy nie pytał o takie rzeczy. Kiedy zagadał o to matkę, okazało się, że i ona nic nie wie. Oczywiście i Stach nie miał okazji dowiedzieć się o istnieniu młodszego brata. Uczucie osamotnienia, oddalenia od rodziny, jakie dotykało go podczas zesłania na Pragę, odrobinę osłabło. Cieszył się, że ma tu kogoś tak bliskiego. Z drugiej strony niepokoiło go, że w razie jakiejś wpadki nieprzychylni mu ludzie mogą wykorzystać już nie tylko jego związek z Wandą, ale i istnienie brata. Dlatego poprosił Tomka, żeby nikomu, nawet matce, nie wspominał o ich pokrewieństwie. Chłopak chyba rozumiał intencje Stacha. Postanowili nie ujawniać rodzinnych koligacji do czasu odnalezienia Tadeusza.

Tomek wpadł do baru zdyszany. Nawet nie usiadł. Opierając się o krzesło, próbował uspokoić oddech.

- Co, gonili?

- Moment.

- No, siadaj chociaż.

- Nie mogę. - Chłopak przetarł spoconą twarz. - Dzisiaj nie pogadamy. Gdy do ciebie szedłem, to mnie złapał ten... no... kuzynek Zochy... Ona siedziała obok, u fryzjera, wkurwiona jak cholera.

- A co, zakosiłeś mu kiedy portfel i dopiero teraz zauważył?

- Pytał, czy wiem gdzie jesteś. Powiedziałem, że nie. A on na to, że zajebie, jak ci nie powiem, że cię szukają. Więc od razu do ciebie leciałem.

- Kurwa, nawet dnia przerwy nie ma, żeby coś się nie działo - powiedział Stach, wstając od stolika.

- Mordę miał czerwoną, jakby nurkowanie ćwiczył.

- Dobra, idę do nich, a ty pryskaj do chłopaków, bo z biznesem stoimy. Wczoraj wszyscy na pogrzebie. Dzisiaj kaca leczą. Pogoń do roboty.

W tym momencie do baru wszedł wielki chłop o rysach podobnych do Zochy. Stał w drzwiach, spojrzał najpierw na Stacha, a potem na resztę klientów baru.

- Wypierdalać! - wrzasnął.

Trzy zajęte stoliki natychmiast zostały zwolnione. Mężczyzna przepuścił uciekających z lokalu ludzi.

Tomek popatrzył na Stacha.

- Idź - powiedział starszy brat i chłopak ruszył na ulicę.

Obsługa usunęła się na zaplecze. Do baru weszła królowa dzielnicy. Stach podniósł się z krzesła.

- Siedź - powiedziała i zajęła miejsce po drugiej stronie stołu.

Na twarzy kobiety nie było widać wzburzenia i tylko wciąż przekrwione białka wskazywały na to, że coś jej doskwiera. Kuzyn pozostał przy wyjściu i przez szybę zerkał na ulicę. Stach opadł z powrotem na krzesło.

- Aż tak cię ta kantorkowa menda wkurwiła? Załatwiłem sprawę, myślałem, że za przyzwoleniem. A rzeźnika chyba złapali - podsunął jej gazetę, wskazując

nagłówek na pierwszej stronie. Nawet nie spojrzała. Zaczerwienione oczy skupiły się na jego twarzy.

- W zeszłym roku obiecałam ci pomoc. Byłam to winna twojemu ojcu. Jeszcze wcześniej mówiłam, że tego długu nigdy nie spłacę. Ale od kiedy jesteś na Pradze, giną ludzie. Przynosisz nam kurewskiego pecha. To się musi skończyć. I widzę, że teraz jest na to szansa. - Podała mu kartkę wyrwaną z dużego zeszytu w kratkę. - Masz, czytaj.

Stach wziął papier do ręki i spojrzał na odręczne, równe pismo. Duże litery, kilka zdań.

*ŚLICZNE DZIECKO. CHCESZ WIDZIEĆ JAK DORASTA? PRZEKAŻ KANAROWI, ŻEBY JUTRO WSIADŁ NA WILEŃSKIM DO POCIĄGU O 6:30 DO WOŁOMINA. DOPILNUJ, ŻEBY BYŁ SAM, NIE MUSISZ GO ODPROWADZAĆ, ON PRZYJDZIE, ZADBAŁEM O TO. JAK GO NIE BĘDZIE, KTÓREGOŚ DNIA, NIE WIESZ, KIEDY I GDZIE, MAŁA STRACI TO, CO TWÓJ CYGANEK. PRZEŻYJE, ALE JUŻ NIGDY CIĘ NIE ZOBACZY.*

*NIE BIERZ TEGO DO SIEBIE, Z NIM MAM SPRAWĘ DO ZAŁATWIENIA.*

- Skończyłeś? - zapytała, widząc, że odkłada kartkę. - Mała bawiła się na placyku. Mówi, że podszedł do niej jakiś duży człowiek i kazał przekazać kartkę babci. Przyniosła. Całe szczęście, że czytać jeszcze nie umie.

Zwinęła list i schowała do kieszeni kraciastej koszuli. Przeczesała dłonią włosy, zbierając do tyłu lepiące się do

czoła kosmyki. Temperatura w barze była jeszcze wyższa niż na zewnątrz. Kropla potu pociekła jej po policzku, wciąż wydawała się spokojna.

- Ja wiem, że to jakiś pojeb i nie twoja wina. - Wyraz jej twarzy nagle się zmienił. Błady odcień skóry nabrał nagle kolorów. - Ale ten chuj chce twojej dupy i ja mu ją dam. Rozumiesz? - Stach przytaknął. - A ty, kiedy już zobaczysz jego gębę, masz skurwysyna zająbać. Bruno!

- Tak? - kuzyn spojrzał na Zoche.

- Do jutra nie spuszczasz go z oka. Śpicie u nas w norze. Jasne?

- A ty nie fikaj. Trzymaj się Bruna... i wypatrosz bydlę, które grozi mojemu dziecku.

\*\*\*

Stach ruszył Targową. Bruno człapał kilka kroków za nim. Kubiak zapalił nerwowo papierosa. W głowie wciąż powtarzał słowa z listu „on przyjdzie, zadbałem o to”. Zastanawiał się, co szykował ten człowiek. Nie było już tak istotne dlaczego, najważniejsze jak i komu jeszcze zagrażał. Stach potrzebował swobody. Musiał zaryzykować i zgubić jakoś swojego strażnika. Sprawy to nie zaszkodzi, a będzie miał przynajmniej wolne ręce. Wiedział, że albo będzie martwy, albo przy następnym spotkaniu z Zochą przyniesie jej głowę skurwysyna. Bruno był zbędny w tym układzie. Zatrzymał się przy jednym ze stoisk wylewającego się aż do Ząbkowskiej bazaru.

- Co jest? - zapytał Bruno, kiedy tylko doczłapał do Stacha.

- Ty. Idź się najebać, żałoba jest, a nie będziesz mi tu marchewy skrobał.

- Pierdol się, Szóstka. Ty myślisz, chuju, że mi to leży? Od początku mi twój ryj nie pasował i z przyjemnością ci jeszcze raz przyjebię - wspomniał mordobicie, do którego doszło przy pierwszym spotkaniu Stacha z Zochą. - Jak na nas wylezie ten skurwiel, to najpierw popatrzę, jak ci pruje bebechy, a potem sam go zajebię. Tylko dlatego za tobą łążę. A teraz się odwróć, bo nie wytrzymam i do pociągu wrzucimy twoje truchło.

Stach już wiedział, że w razie konfrontacji nie będzie mógł liczyć na Bruna. To był kolejny argument za zgubieniem tępego kuzyna Zochy. Odwrócił się i podszedł do zbitej z desek lady wystawowej. Właścicielka stoiska była zajęta obsługą klientów. Stach obrócił dwa słoiki tak, żeby przeczytać przyklepione do nich karteczki. Podniósł litrowe naczynie zawierające ocet. Odkręcił wieczko, odwrócił się i chlusnął płynem prosto w oczy Bruna. Mężczyzna, przeklinając Kubiaka, złapał się za twarz.

- Przykro mi, ale zawadzasz. Uspokój Zochę, jutro będę na dworcu. - Stach się odwrócił i zniknął z oczu swojego cienia, nim ten odzyskał wzrok.

\*\*\*

Przeniósł płomień z zapalniczki na papierosa i poczuł, że jest już jednym z tych, co przedostatniej jesieni palili

światła w bramach nieznanego mu miasta, jednym z typków czekających w mroku, aż przejdzie frajerski wylew z tramwaju. Teraz miasto było już Stacha. Żar jego papierosa stał się jedną z gwiazd praskiej konstelacji. Dołączył do armii kochanków brzydszej córki Warsa i Sawy. Tych, którzy stali w długiej kolejce za sowieckim oblechem. Dzieci Pragi to ci ludzie na ulicy, a on tylko rznął gorszą z sióstr, ich fasola czy diamenty gównem go obchodziły.

- Patrz, jaki patetyczny. - Rafał popisał się trudnym słownictwem, wskazując swojego kontrolera. - Fajka pali, jakby się z filmu urwał, a minę ma biskupa.

Wkurzony Stach strzelił papierosem prosto w nos bezczelnego szczeniaka. Tamten zaczął nerwowo strzepywać ziarenka żaru z koszuli.

- Pogięło cię, Szóstka? Żartowałem, żeby trochę rozluźnić.

- Chcesz mnie rozluźnić? To kulaj po tego kolesia, bo już za długo czekamy.

Chłopak wyjrzał z bramy. Przez chwilę gapił się na ludzi ciągnących Targową.

- Idzie.

W bramie pojawił się niski typek, który mimo upału nosił długi płaszcz przeciwdeszczowy. Bez słowa przywitał się z młodym, który ruchem głowy wskazał Kubiaka. Podali sobie ręce.

- Chodźmy na podwórko.

Stach ruszył przodem, a za nim nowo przybyły i ich młodociany pośrednik. Tomek z oklejonymi plastrami



Tasiemcem zostali w bramie na czatach.

Paser z przepastnej kieszeni płaszcza wyjął szmaciane zawiniątko. Podał je Stachowi, który odwinął usmarowany materiał i wydobył z niego pistolet. Wyjął magazynek i sprawdził broń.

- Nieużywany?

- Samotny psiarz się zawieruszył na Pelcowiźnie. Broni nie zgłosi, bo dowód wzięli z giwerą, a jak piśnie, starą mu obiecali wypieścić. Zresztą numer przebity. Ale i tak nie daj się pan z nim złapać. Pestki masz tutaj - z drugiej kieszeni wyciągnął chusteczkę higieniczną, w której chował sześć naboí. - Tyle wystarczy?

- Mam nadzieję - odparł Stach, podając mu w zamian zwitek banknotów. - Przelicz.

Mężczyzna w płaszczu oblizał paluchy i policzył wymiętą walutę. Banknot z wierzchu podał świadkowi wymiany. Pożegnał się, uchylając rondo nieistniejącego kapelusza i przyłączył się do tłumu płynącego ulicą. Stach wsadził broń do torby, a z kieszeni wyciągnął jeszcze jeden banknot. Podał go chłopakowi.

- Za fatygę i tego kiepa.

- Dzięki. Mówiłem, że pewny klient.

- To się zobaczy. - Stach wszedł do bramy, chłopak ruszył za nim, chowając banknoty do kieszonki w koszuli. - Nie przesraj kasy... i więcej mnie nie wkurwiał.

- Się wie!

- Jakby ktoś pytał, to mnie nie widzieliście. W ogóle do jutra się nie wychylajcie. Olejcie robotę, niech na mnie

będzie.

Rozeszli się w dwie strony. Chłopaki poszli w kierunku przystanku na Ząbkowskiej, a samotny Stach wszedł do pobliskiego sklepu obiecującego klientom chemię gospodarczą.

- Mogę zadzwonić? - zapytał ekspedientkę pilnującą garstki towarów stojących na półkach.

- Za darmo? - rzuciła leniwie.

Wyciągnął z kieszeni garść drobniaków. Ekspedientka przeliczyła i postawiła na ladzie aparat.

- Tylko nie zamiejscowe.

Przemilczał jej uwagę i trzeci raz tego dnia wykręcił numer do rodziców Wandy. Wcześniej nikt nie odbierał, a czuł, że musi sprawdzić, czy jego ukochana jest bezpieczna.

- Halo? - po trzech sygnałach padło pytanie zmęczonego życiem mężczyzny.

- Dzień dobry. Tu Staszek. Mogę rozmawiać z Wandą?

- Stachu, dwa dni nie dzwoniłeś, a ją nosiło. Spakowała torbę i pojechała do ciebie.

- Kiedy? - zdenerwował się Stach.

- Dzisiaj, wczesnym rankiem. O czwartej gdzieś wyszła, na pierwszy autobus.

Stach rzucił słuchawkę i głośno zaklął.

- Panie, kultury! - wrzasnęła ekspedientka. Zignorował ją i wybiegł ze sklepu.

\*\*\*

Drogę z przystanku Stach pokonał zaskakująco szybko. Zwolnił dopiero w pobliżu swojej kamienicy. Zaczaił się za budką, którą z pół roku wcześniej porzucili remontujący ulicę drogowcy. Tak jak przypuszczał, przed klatką schodową stał Bruno. Nerwowo palił papierosa i tarł podrażnione octem oczy. Na szczęście nie czekał na niego w środku. Kiedy tylko Kubiak wprowadził się do przydziałowego mieszkania, natychmiast sprawdził, czy istnieją alternatywne możliwości wydostania się z lokalu. Po raz pierwszy miał okazję wypróbować drogę ewakuacyjną w sytuacji zapalnej. Ruszył do bramy kamienicy sąsiadującej z jego domem. Wszedł na klatkę zamieszkaną przez pracowników uczelni. Wbiegł na ostatnie piętro, wyższe o metr od pozostałych poziomów. Ze ściany wystawały metalowe szczeble, wskoczył na nie i wdrapał się pod sam sufit, do klapy, którą ktoś bez jego wiedzy zaopatrzył w kłódkę. Zamek był potężny, lśnił nowością, w odróżnieniu od spajanych przez niego, zardzewiałych klamer. Wystarczyło mocno naprzeć na drzwiczki i zamknięcie puściło. Wyszedł na dach i ruszył po lepiącej się do butów papie. Wszedł na bliźniaczy budynek przylegający do akademickiej mieszkalni. Za klatką z gołębiami odnalazł zejście do środka. Tutaj nie było klapy, tylko nadbudówka kryjąca schody. Zbiegł prosto pod drzwi swojego mieszkania. Zatrzymał się. Wyciągnął zza paska pistolet i nacisnął klamkę. Otwarte. Zachowując jak największą ciszę, zakradł się do pokoju. Pusto. W mieszkaniu nikogo nie było. Przy kanapie stała torba

w kwiaty, ta sama, z którą Wanda opuszczała miasto. Natychmiast zauważył zerwaną z okna firankę i dwie książki strącone na podłogę. Nie zdążył. Uprzedził go autor anonimowego listu do Zochy. Miał jego kobietę i pewność, że Stach zjawi się na dworcu. Kubiak usiadł na łóżku. Chciał odsapnąć i zastanowić się, co robić dalej. Jego wzrok padł na wzorzysty dywan. Pośród tureckich szlaczków dostrzegł malutką grudkę czerwonego piachu. Wstał. Wyszedł z pomieszczenia. Na podłodze w przedpokoju znalazł taki sam ślad. Schylił się, wziął drobinki do ręki i zaczął obracać ziarenka między palcami. Los zaczynał mu sprzyjać. Może nie będzie musiał wsiadać do wołomińskiego pociągu. Przeklinała swoją nieostrożność. Przyszła do domu prosto z dworca i wchodząc, nie zamknęła za sobą drzwi. Zdążyła postawić torbę, a w pokoju zjawił się napastnik. Rzucił się na nią, trzymając w dłoni jakąś białą ścierkę. Usiłował przyłożyć ją do ust Wandy. Wiedziała, co chce zrobić, czuła zapach eteru. Odciął jej drogę do drzwi. Próbowwała uciekać w stronę balkonu, wyskoczyć na zewnątrz i drzeć się w niebogłosy. Ale szukając klamki, zerwała tylko zasłonę. Złapał ją za rękę. Odwróciła się, kopnęła na oślep. Rzucił ofiarę na komodę, z której strąciła kilka książek. Potem dopiął swego i straciła przytomność. Obudziła się w jakiejś hali fabrycznej. Pobite okna i zardzewiałe maszyny wskazywały na to, że od dawna nikt tu nic nie wytwarzał. Był przygotowany na jej przyjęcie. Leżała na pościeli z kilku koców, obok stały dwie butelki wody mineralnej i stary,

poobijany nocnik. Rękę miała przypiętą kajdankami do masywnej rury, której końce znikają w podłodze i suficie. Potwornie bolała ją głowa, pewnie po chemikaliach, które wchłonęła z tej szmaty. Wokół nie widziała żywego ducha, za oknem kolejne potraskane szyby. Chyba wiedziała gdzie jest. Znała te elewacje, czasami przechodziła obok. Zdawała sobie sprawę, że jeśli nie melinują tu gdzieś praskie pijusy, nikt nie zauważy jej obecności ani nie usłyszy krzyku. Usiadła na posłaniu i wsłuchiwała się w ciszę. Jakieś radio nadawało w oddali. Nad dachami przeleciało stado gołębi. Poza tym nic się nie działo. Nagle gdzieś po swojej lewej, usłyszała przesuwanie zasuw i dźwięk nienaoliwionych zawiasów. Otwarto drzwi, potem je zamknięto.

- Halo! Jest tu ktoś?! Możesz mi pomóc?! Tutaj!

Zza rogu wyszedł jakiś mężczyzna. Szerokie ramiona. Krótko obcięte włosy. Kilkudniowy zarost. Silne, umięśnione ręce dziwnie kontrastowały z piwnym brzuchem. Twarz budząca zaufanie. Mimo powagi, na którą wskazywały opadające w dół kąciaki ust, oczy mężczyzny wydawały się uśmiechać. Miał około czterdziestki.

- Pomożesz mi? - zapytała, mimo że straciła już nadzieję na ratunek.

To on ją tu trzymał. Podeszedł do posłania i położył przed nią torbę z zakupami. W środku znajdowało się kilka bułek i jakieś tłuste zawiniątko. Po zapachu poznała, że to kiełbasa. Obok pieczywa zauważyła dwie duże pomarańcze. Nerwowo zaczęła sobie tłumaczyć, że zadał sobie wiele trudu, żeby zdobyć na Pradze taki delikates, więc chyba nie

chciał jej skrzywdzić. Przynajmniej nie teraz. Mężczyzna podszedł do pobliskiego stołu. Włączył małe turystyczne radio i zaczął grzebać w wielkiej skrzynce na narzędzia.

- Dlaczego mnie tu trzymasz? Co ci zrobiłam? - wypowiadała te słowa, zdając sobie sprawę, jak naiwnie brzmią. Pewnie o to samo pytały wszystkie więzione, gwałcone i na końcu mordowane dziewczyny. Ale jemu na pewno nie o to chodziło. - To przez Stacha?

Mimo że ignorował jej słowa, zauważyła lekkie drgnięcie ramion. A więc to dlatego - pomyślała. Dlatego wysłał ją do rodziców i dobrze zrobił. A ona, głupia, wróciła, nawet nie dając mu znać. No nie. Powie działałaby, że wraca, gdyby Stach zadzwonił. Wróciła dla niego, żeby mu powiedzieć, że jest jeszcze coś, czego powinien się obawiać.

Mężczyzna schował coś za pasek spodni, mogła się tylko domyślać co, bo stał do niej plecami. Kiedy się odwrócił, pod koszulą w zieloną kratę było widać tylko niewielkie wybrzuszenie.

- Jutro stąd wyjdiesz, cokolwiek się stanie - wypowiedział pierwsze słowa, patrząc jej prosto w oczy.

Potem odszedł w głąb fabrycznej hali. Ze swojego posłania nie widziała, gdzie jest, ale nie wyszedł, usłyszałaby trzaskanie drzwi. W radiu beatpolowi naśladowcy brytyjskiego grania śpiewali:

*Masz takie same oczy jak ona,  
błyszczące w cieniu nocy jak ona...*

Wanda mu uwierzyła. Jutro ją wypuści. Przestała bać się o siebie, teraz przerażał ją tylko los Stacha.

\*\*\*

Przed wojną to była potężna fabryka. Ponad tysiąc robotników, ze stu inżynierów. Wtedy jeszcze przemysł elektrotechniczny kwitł. Stach szedł wzdłuż Kamionkowskiej i żeby uspokoić wywołane rosnącym napięciem kołatanie serca, przypominał sobie historię biznesu Szpotańskiego. Tylko tak potrafił uciszyć najczarniejsze scenariusze rodzące mu się w głowie. Przedwojenny potentat, inżynier zaczynający jeszcze w nastych latach od manufaktury w dwupokojowym mieszkaniu, wybudował na Kamionku potężne zakłady. Wtedy ta część miasta nie była akademickim zapleczem prawobrzeżnej Warszawy, a przemysłowym sercem Pragi. Położona między Kałuszyńską a Drewnicką Fabryka Aparatów Elektrycznych produkowała najlepsze w kraju łączniki napięć, liczniki pomiarowe, a nawet aparaty rentgenowskie. Kiedy przyszli Niemcy, zakład włączono do ich maszyny przemysłowej. Czując zbliżający się koniec wojny, szkopy wywiozły stąd co się dało, a podczas nalotów jedna z nielicznych bomb, które spadły na Pragę, trafiła w jedno ze skrzydeł zakładu. Podział Warszawy zaskoczył Szpotańskiego na lewym brzegu. Od tego czasu fabryka popadła w ruinę odwiedzana tylko przez okolicznych koneserów taniego wińska, kiedy żony i matki wyganiały ich z podwórek i piwnic. Stach doszedł do wysokiego płotu

oddzielającego Gocławską od fabrycznych zabudowań. Zrobił dziurę w jednym z plakatów zaklejających szczelnie ogrodzenie i popatrzył na dziedziniec dawnych zakładów. Po lewej skupisko gruzu sypiącego się z uszkodzonego przez bombardowanie budynku. Na środku, za wysoko położonym przejściem łączącym dwa skrzydła, góra czerwonego piachu sięgająca do szczytu pierwszej kondygnacji. Nikt nie wiedział, dlaczego ją tu usypano. Gdzieś w latach pięćdziesiątych, kiedy jeszcze płot, przez który zerkał Stach, był bramą wjazdową, podjechało tu w nocy kilkanaście ciężarówek i wysypało ładunek na dziedziniec. W wietrzną pogodę czerwony pył migrował, wciskając się przez szpary w oknach do wnętrza okolicznych kamienic. Cały plac pokryty był warstwą tej tajemniczej substancji. W tamtych latach gazety informowały, że Mosfilm razem z Praską Wytwórnią Filmową szykuje wielkie widowisko fantastyczne o pierwszych ludziach na Marsie. Miejscowi połączyli fakty i poszła wieść, że czerwony piasek to element scenografii. Międzynarodowy projekt upadł, ale legenda pozostała.

Stach nie przypadkiem podchodził do fabryki od drugiej strony. Wejście od Chodakowskiej okupował stróż pilnujący parkingu Zarządu Oczyszczania Miasta. To tutaj, na placu przed fabryką, w letnią porę trzymano pługi i piaskarki. Budynek od Kałuszyńskiej wyglądał na nienaruszony, po eksplozji bomby skrzydło zważyło się do środka fabryki. Wejścia na wysokości gruntu zamurowano, ale okna powyżej zakryte były tylko deskami. Stach znalazł miejsce,



gdzie prymitywne zabezpieczenia odpadły, odsłaniając mroczne wnętrza jakiegoś pomieszczenia. Rozejrzył się po śmietniku złożonym z popękanych cegieł, puszek i przerdzewiałych rur. Ulica była zwykłym klepiskiem na tyłach szlaków codziennych wędrowek miejscowej ludności, dlatego zrobiono z niej wysypisko dla rzeczy zbędnych w okolicznych gospodarstwach domowych. Dostrzegł dziurawą beczkę. Przeturlał ją pod okno, starając się zachować jak największą ciszę, jednak ruch na podwórku zainteresował jakąś starowinkę, która obserwowała wysiłki nieznanego. Zignorował widownię i wspiął się do okna. Zaklął, przeskakując przez spróchniałą framugę, bo wystający gwóźdź rozorał mu skórę na dłoni.

Pomieszczenie okazało się połączone z korytarzem, którego jeden koniec ginał pod gruzami, a drugi zakończony był drzwiami, pod którymi przeświecał pasek słońca. Za nimi odkrył ciągnącą się kilkadziesiąt metrów halę, której pobite okna wychodziły na marsjański dziedziniec. Po nabrzmiałych od wilgoci ścianach biegły odrywające się kable, na podłodze, pośrodku pomieszczenia, zachował się nadgniły podest, na którym kiedyś stała jakaś wielka maszyna. Teraz miejsce po cudzie przedwojennej technologii porastały przebijające się między pęknięciami w betonie chwasty. Kawałek dalej rosło nawet małe drzewko, chudymi gałęziami zwrócone w kierunku wpadającego do środka dziennego światła.

Usłyszał dolatującą z daleka muzykę. Schylając się, podszedł do okna. Radio grało w zabudowaniach po drugiej

stronie placu. Żeby się tam dostać, musiał albo przejść obok góry piachu, albo wdrapać się na drugie piętro i skorzystać z łącznika. Starając się nie nadepnąć na potraskane szkło, przeszedł na drugi koniec sali. Drzwi były na tyle uchylone, że mógł się przez nie prześlizgnąć, nie ruszając skrzypiących zawiasów. Znalazł się na ginącym w mroku korytarzu. Podłoga była zalana do kostek. Wyciągnął zapalniczkę i, oświetlając drogę, ruszył do drzwi po swojej prawej stronie. Woda natychmiast wlała mu się do butów. Tym razem nie udało się zachować ciszy. Aby otworzyć kolejne przejście, musiał wywołać nieprzyjemny, metaliczny dźwięk. Za drzwiami odkrył klatkę schodową, która piętro wyżej kończyła się rumowiskiem. Musiał zrezygnować z przejścia górą i wrócić do hali fabrycznej.

Stanął przy oknie. Przez chwilę rozglądał się po dziedzińcu. Szara cegła zabudowań tonęła w pokrywającej ziemię czerwieni, na której gdzieniegdzie widać było wyspy zieleni przebijającej się do słońca trawy. Okolica naprawdę wyglądała jak nie z tego świata. Za krwistą wydmą rosło kilka brzoź. W budynku po drugiej stronie nie zauważył żadnego ruchu. Ostatnie okno w pomieszczeniu, z którego obserwował teren, pozbawione było framugi. Bez problemu wyszedł przez nie na fabryczne podwórko. Zza paska wyciągnął pistolet i trzymał go tak, żeby móc szybko zareagować w przypadku pojawienia się napastnika. Ruszył w kierunku masywnych drzwi pomalowanych na kolor niewiele różniący się od barwy podłoża. Po murze wokół nich wspinało się jakieś dzikie pnącze, mocujące swoje

odrosty w szparach między cegłami. Próbował wyrównać oddech, serce biło mu tak, że jego dźwięk zdawał się odbijać echem od ścian upadłych marzeń Szpotańskiego. Z odległego radia dochodził rytmiczny dźwięk, melodia, w której dominowały kontrabas i powracająca trąbka. Tango – po myślał. Kiedy był już pośrodku placu, z dachu wzbiło się stado gołębi. Patrzył na nie aż zniknęły za krawędzią fabrycznej studni. Wtedy otworzyły się przed nim drzwi. Stał w nich niższy od niego, ale szerszy w ramionach mężczyzna. Stach zdążył przenieść na niego wzrok, kiedy wystrzelił trzymany przez nieznajomego pistolet. Piekący ból przeszył lewą łydkę. Kubiak się zachwiał, ale odruchowo uniósł trzymaną w rękę broń. Nacisnął spust. Kiedy padał na czerwony piach, zobaczył, jak napastnik zatacza się w ciemność za drzwiami. Potem obraz przysłonił wzburzony pył.

– Stach! Uciekaj!

Z oddali doszedł do niego histeryczny krzyk Wandy. Podparł się na ramieniu stłuczonym podczas upadku, udało mu się podnieść. Mógł stać na obu nogach, więc postrzał nie uszkodził żadnego mięśnia ani ścięgna czy kości. Cała nogawka była zakrwawiona, ale wiedział, że to tylko draśnięcie. Strzelając z tej odległości, napastnik mógł spokojnie rozwalić mu głowę. Ale albo rzadko miał do czynienia z bronią, albo się z nim bawił. Czerwona mgła szybko opadała, ale w otwartych przed chwilą drzwiach już nikogo nie było.

- Stachu, proszę! Uciekaj stąd! Nie możesz... - wołanie kobiety nagle ucichło.

Starął się odciążyc zranioną nogę. Utykając, dotarł do drzwi i ruszył po schodach. Stopnie kończyły się na pierwszym piętrze, wyżej były zarwane. Porywacz musiał być na tej kondygnacji. Dalej szedł tam, gdzie prowadziły go dźwięki radia, teraz zdominowanego przez chór Aleksandrowa. Na każdym zakręcie zatrzymywał się, sprawdzając teren za rogiem. Tak dotarł do hali podobnej do tej, w której chował się jeszcze pięć minut temu. Tutaj wycofujący się Niemcy i późniejsi szabrownicy zostawili więcej elementów manufaktury. Kilka ciężkich, metalowych stołów, jakaś klatka z gęsto tkanego drutu przy jednej ze ścian. Podtrzymujące sufit tęgie filary i fragmenty dawnych maszyn zasłaniały środek pomieszczenia. To stąd dochodziły groźne basy niosące rosyjską melodię. Schody dały mu się we znaki. Noga bolała coraz bardziej. Jedną ręką opierał się o mijane stoły, w drugiej ścisnął rękojeść pistoletu, którego lufa przeczesywała przestrzeń przed nim. Stach zdrętwiał, kiedy pomieszczenie przeszył grzmot kolejnego strzału. Jego ofiarą padło radio. Radziecki solista zakończył swoją pieśń w środku zdania.

- Tutaj chodź! - Po raz pierwszy usłyszał głos swojego prześladowcy. - Środkiem. Nie chowaj się za słupami.

I tak już wysokie ciśnienie Kubiaka jeszcze bardziej podniósł widok sceny, która wyłoniła się zza betonowego filaru. Wanda klęczała, po policzkach ciekły jej łzy. Patrzyła z przerażeniem na ukochanego. Do jej skroni przylegała

lufa pistoletu trzymanego przez człowieka, którego prawe ramię pokrywała krew. Stach spojrział wyżej i zobaczył, że zamiast ucha sterczy mu z głowy poszarpany fragment tkanki.

- Rzuć broń!

Stach wykonał polecenie, puszczając pistolet i kopiąc go w kierunku napastnika. Kiedy broń zatrzymała się pół metra od mężczyzny, ten podniósł ją z podłogi, nie odrywając lufy od skroni Wandy. Drugim pistolem pokazał Stachowi klatkę.

- Tam idź. Do środka. Zatrzaśnij kłódkę po wejściu.

Kubiak ruszył we wskazanym kierunku. Zamknął się w drucianym boksie, jak kazał trzymający go na muszce typ. Potem odsunął się od siatki rozpiętej na stelażu z grubych krat. Klatka miała jakiś metr na metr i sięgała do sufitu. Na podłodze wały się puste butelki. Napastnik opuścił uzbrojone ręce i podszedł do stołu. Pistolet Stacha odłożył do skrzynki po narzędziach.

- Na początku chciałem jej zrobić krzywdę. Żebyś patrzył, jak cierpi. Ale nie potrafię kobiecie... Dlatego wziąłem specjalistę. Pomógł do ciebie dotrzeć, zeznania na ludziach wymusić. Ale już wiesz, że zginął.

Stach i Wanda spojrzeli na siebie. On kiwnął głową w uspokajającym geście. Ona ciężko oddychała, miała szeroko otwarte oczy.

- Myślałem, że może jednak jakoś dam radę. Ale kiedy ją tu przyniosłem, już wiedziałem, że to ona będzie patrzyła jak ty umierasz. Wciąż nie wiesz, dlaczego? - Mężczyzna

odwrócił się w stronę Stacha. Wytarł spoconą twarz. - Przez ciebie ginęli ludzie. Patroszeni, obdzierani ze skóry. Zginął nawet twój przyjaciel. Pewnie bolało? A ty ciągle nie wiesz, o co chodzi?

- Kurwa, przestań pierdolić i powiedz w końcu, dlaczego!

- Żeby cię bolało. Żebyś cierpiał tak, jak ja. Ale przez moją słabość... niemoc do krzywdzenia kobiet. Nigdy nie dowiesz się, co czuję. Nie doświadczysz tej pustki. Tego mroku, w którym już nigdy nie pojawi się światło. Ból straszny. Tak!

W oczach mężczyzny nie było już uśmiechniętego ognika, który wcześniej zauważyła Wanda, szklął się w nich tylko czysty smutek. Podniósł głos:

- Wyrwałeś mi serce, skurwysynu, i nawet o tym nie wiesz! To jest tak, jakbyś sobie tym wszystkim, co zrobiłeś, wytarł dupę i poszedł dalej.

- Na litość boską, powiedz, o co ci chodzi! Jak mogłem cię skrzywdzić, skoro pierwszy raz na oczy cię widzę?! - wykrzyczał Stach.

- Spokojnie, nie umrzesz w nieświadomości. - Głos mordercy znowu stał się spokojny. - Najpierw ci wszystko wyjaśnię. A potem to ty opowiesz mi dokładnie, co czułeś, kiedy... - mężczyzna nagle przerwał tyradę.

Jego powieki rozwarły się w zdziwieniu, odsłaniając źrenice kulące się do rozmiaru główki od szpilki. Na jego czole zakwitł czerwony kwiatek, a po chwili pojawiła się jego łodyga, rosnąca z szybkością stróżki krwi spływającej

ku nasadzie nosa. Ciało bezwładnie osunęło się na ziemię. Zaległa cisza, którą przerwał głos dochodzący z klatki.

- Kurwa mać! Kto to był? Dlaczego? O co tu chodzi? - Stach walnął pięścią w kraty ponownie otwierając świeżą ranę na dłoni.

- Major Wojska Polskiego, z którego ukochaną kopulowałeś, a potem wyrzuciłeś ją przez okno - odpowiedział ktoś z głębi sali. - Zemsta kochanka. Wszystko. Zemsta, przez którą mogłem stracić cennego człowieka.

Stach spojrzał w kierunku, z którego dochodził głos. Zza kolumny wyszedł wysoki mężczyzna w białej koszuli z krótkim rękawem i w jasnych spodniach. Wąsaty, z zaczesanymi do tyłu włosami. Kubiak znał tę twarz, bez zarostu i z inną fryzurą, ale te ciemne okulary przywołały z pamięci kilka migawek. Parę razy widział tego osobnika, kiedy odwiedzał Wróblewskiego, jego dawnego szefa. Nigdy ich sobie nie przedstawiono. Kiedy dopytywał, nikt nie potrafił wyjaśnić, kto to jest, każdy odpowiadał „jakaś szych” i na tym kończył rozmowę. Teraz zadbanej mężczyzna z tamtej strony rzeki szedł w jego kierunku, odkręcając tłumik od rewolweru.

- Coś sobie nie przypominam, żebym dla ciebie pracował - zawołał Kubiak po przemyśleniu ostatnich słów przybysza.

- Tak, nie było przyjemności, choć miałem znaczący wpływ na twoje losy. - Mężczyzna podszedł do leżącego na ziemi trupa i z jego kieszeni wyciągnął dwa kluczyki na

metalowym kółku. – A mówiąc „mój człowiek”, miałem na myśli nie ciebie, tylko naszą przyjaciółkę.

Podszedł do Wandy, która przerażonym wzrokiem przyglądała się ich wymianie zdań. Jednym z kluczy uwolnił ją z kajdanek.

– Wanda? – Stach spojrzał na nią i zamilkł, oczekując odpowiedzi.

Z jej oczu znów popłynęły łzy.

– Dajmy odpocząć dziewczynie, tak dużo przeżyć dzisiaj... – Mężczyzna odwrócił się i krzyknął: – Siwy, pozwól tutaj!

W pomieszczeniu pojawił się niski mężczyzna o twarzy tak pospolitej, że mógł być statystą w niemal każdej produkcji filmowej. O dziwo, Siwy okazał się mieć kruczoczną grzywę zaczesanych na bok włosów.

– Zabierz, proszę, panią do samochodu i sprawdź, czy nie potrzebuje pomocy medycznej.

Przybysz bez słowa zaczął wykonywać polecenie. Wanda nie broniła się, kiedy brał ją pod ramię i wyprowadzał z sali.

– Co tu się dzieje? – zapytał oszołomiony Stach.

– Chyba zaczynasz się domyślać? Widzisz, Stachu, pozwolę sobie mówić ci po imieniu, twoja akcja sprzed prawie dwóch lat zmieniła trochę rozłożenie sił po obu stronach Wisły. Ubyło kilku naszych agentów, a na stołkach odpowiedzialnych za nich ludzi zasiedli nowi, w tym ja. Odziedziczyłem w spadku po poprzedniku siatkę wyszkolonych przez nas kobiet. Jedne działały czynnie, jak



twoja dawna kochanka, rozpracowując osobników takich jak nasz krwawy major. – Wskazał leżące na ziemi zwłoki. – Inne, jak przystało na rasowe krety, czekały się do chwili, kiedy powołamy je do służby. Taką oczekującą na hasło agentką była Wanda. Żyła sobie, nie wzbudzając podejrzeń. Zrekrutowaliśmy ją cztery lata temu, ustaliliśmy warunki współpracy i kazaliśmy czekać na rozkazy. Przez te cztery lata nikt się z nią nie kontaktował. Zaczęła pracować w szkole, robiła zakupy, spotykała się ze znajomymi, poznała ciebie, zamieszkaliście razem. Widzisz, ona jeszcze dwa tygodnie temu nie wiedziała do końca, kim jesteś. Podejrzewała oczywiście, że masz coś do ukrycia, ale skoro i ona miała, to nie chciała cię naciskać. Wtedy zjawił się rezydent, któremu kazałem uruchomić uśpione kontakty. Spotkał się z twoją panią i zauważył, że coś kręci. Wywiad z jej życia osobiście tego był niepełny. Powiedziała, że z kimś się spotyka, ale nie chciała ujawnić szczegółów. Przyciśnięta, zdecydowała się mówić. Opowiedziała o tobie, bo chciała chronić twoje cztery litery. Mówiła, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo. Kiedy zaczęliśmy przyglądać się sprawie, ona zniknęła, ale mieliśmy jej historię o ukochanym ściąganym przez jakiegoś rzeźnika. Wzięliśmy się za ciebie, dostałeś plecy. I tutaj największe zaskoczenie. – Do słów wypowiedzianych przez mężczyznę dołączyła żywa gestykulacja. – Wiesz, że byłeś jednym z powodów, dla których osobiście pofatygowałem się na Pragę? Myślałem, że będę cię szukać przez dobrych kilka miesięcy. Zbieg

okoliczności i okazałeś się tajemniczym absztyfikantem mojej podopiecznej.

Zamilkł na chwilę. Spojrzał na Stacha, któremu drętwiały już nogi. Mężczyzna zauważył jego zmęczenie.

- Przepraszam, trochę się rozgadałem, a ty się tam męczysz. Mogę cię wypuścić? Nie uciekniesz przed końcem opowieści?

- Zbyt ciekawa.

- Dobrze. - Ruszył do Kubiaka i przez szparę w klatce podał mu kluczyki z kieszeni umarłaka. - O Wandę się nie martw, naprawdę chcemy jej pomóc i dać odpocząć po tym, co tu zaszło. Teraz ty będziesz głównym tematem.

- Mam rozumieć, że możesz udzielić mi kilku odpowiedzi? - zapytał Stach, otwierając kłódkę.

- Od tego chciałem zacząć. Pytaj!

- Tadeusz.

- Świetnie, jedziemy chronologicznie.

Kiedy Stach podszedł do okna i zapalił papierosa, mężczyzna przetarł blat, po czym usiadł na stole. W rękach wciąż trzymał pistolet z lufą wycelowaną w podłogę, traktował go jak przedmiot, którym zajmuje się dłonie podczas długiej rozmowy.

- Byłem jeszcze na poprzednim stanowisku, kiedy dowiedziałem się, co zaszło na Pradze, jak skopano akcję z tobą i profesorem. Pociągnąłem za sznurki, żeby ratować, co się da. Wysłałem człowieka do twojego ojca, który już zaczynał mieć pierwsze objawy przywleczzonego przez ciebie choróbka. Dostał propozycję, która w jego sytuacji

była nie do odrzucenia. Przejście na lewą stronę Wisły i sprzedanie nam całej siatki ROR-u w zamian za antidotum. Jediną zmianą, jaką chciał wprowadzić do umowy, było zapewnienie ci bezpieczeństwa. Jak widzisz, tata też cię kocha. Daliśmy mu zastrzyk i wywieźliśmy do naszego ośrodka...

- A matka? - przerwał mu Stach.

- Właśnie. W ostatniej chwili przypomniałem sobie, że i ona potrzebuje pomocy. Było z nią już kiepsko. Ale wyleczyliśmy. Pół roku spędziła w rządowym sanatorium i teraz czuje się świetnie. Mamy taką zamkniętą wioskę w Kotlinie Kłodzkiej, ocaleni z kotłów podwójni agenci, świadkowie koronni. Twoja matka odnalazła się w tym towarzystwie, a klimat wyjątkowo jej służy. Ale wracając do Tadeusza. Sprzedał nam trochę informacji, ale wciąż się dopytywał, co u ciebie. Musisz wiedzieć, że wydostanie cię z kwarantanny było praktycznie poza moim zasięgiem. Inny resort, inne układy. Łatwo kogoś tam wysłać, trudniej wyjąć. Udało mi się tylko utrzymać cię we wstępnej fazie programu. Dopiero dzięki naciskom twojego ojca i wspomnianym zmianom na stanowiskach pojawiła się szansa, z której od razu skorzystałem. Kiedy znalazłeś się na Pradze, cyknęliśmy ci kilka zdjęć, które wystarczyły ojcu jako dowód na to, że utrzymujemy cię przy życiu. Potem trzeba było odwołać część ludzi, zaczęło nam brakować siły roboczej i zniknąłeś nam z oczu.

Z kieszeni na piersi mężczyzna wyciągnął jakieś pomięte zdjęcie i pokazał je Stachowi. Był na nim widoczny

krzywy uśmiech Tadeusza trzymającego wydanie „Życia Warszawy” sprzed miesiąca.

- Wiem, że lubicie oglądać fotografie, więc przygotowałem jedną na wypadek, gdybyś mi nie wierzył. Musiałem się szybko zbierać do wyjazdu, więc zdjęć twojej matki nie zdążyli dostarczyć, ale da się załatwić.

- Domyślam się, że ta przyjacielska pogadanka do czegoś zmierza? - Stach wziął od mężczyzny zdjęcie ojca.

- Jak w tenisie, szybka piłka. Tadeusz uratował ci życie i teraz czas się odwdziaczyć. Zaprzyjaźniłeś się tutaj z ciekawymi ludźmi. Też chcemy ich poznać, nie osobiście, ale za twoim pośrednictwem.

- Złodzieje i przemytnicy?

- Widzisz, Stachu, idą zmiany. Takie na skalę globalną. Układ sił może się niedługo obrócić, a nawet jeśli do niczego nie dojdzie, to pewne znajomości mogą być pożyteczne, jak nie dzisiaj, to w przyszłości. Robotnicy się buntują, studenci zaczynają sobie odważnie poczynać z władzą ludową. Żelazna kurtyna rdzewieje i któregoś dnia tama pęknie. Albo na nas wyleje się sowieckie gówno, albo my zatopimy komunę. Jeśli to my wygramy, trzeba będzie budować nowe struktury oparte na ludziach, którzy byli tu, na miejscu. Kontakty w ROR-ze mamy dzięki twojemu ojcu, ty mógłbyś pomóc z półświatkiem. Rodzina Kubiaków może stać się fundamentem, na którym zbudujemy nową, pojednaną Polskę. Ta twoja Zocha dzisiaj króluje wśród charakterniaków, ale kiedyś, kto wie, może zostać senatorem. Albo szarą eminencją czwartej RP.

Kiedy Stach zgasił drugiego już papierosa, zza okien zaczęły docierać dźwięki milicyjnych syren.

- Kawaleria przybyła. Pewnie przez tę naszą strzelaninę. - Mężczyzna wstał ze stołu. - Odciski palców! Zabierz swoją broń i tę kłódkę. Nie ułatwiamy śledczym roboty.

Kiedy Stach szukał swojego pistoletu, mężczyzna wyjął z kieszeni spodni buteleczkę. Polał płynem

opuszki palców martwego majora i opróżnił zawartość, wylewając ją na twarz trupa. Nad ciałem uniósł się kwaśny dym. Nos i oczodoły zaczęły zapadać się w krwistej mazi.

- Wychodzimy twoim wejściem, za rogiem mam samochód. Po drodze wyjaśnię szczegóły naszej współpracy, bo rozumiem, że przyjmujesz robotę?

Na uśmiech mężczyzny Kubiak odpowiedział wściekłym milczeniem.

## 7.

Wieczorem Stach zjawił się w zakładzie fryzjerskim. Usiadł na fotelu i poprosił o podgolenie brody. Pięć minut później do lokalu wpadła Zocha. Golibroda wycofał się na ulicę, stanął w witrynie i zapalił papierosa.

- Rozumiem, że spokojnie golisz mordę, bo załatwiłeś sprawę.

- Nie jadę jutro do Wołomina. Nie będzie już liścików ani trupów. To koniec - odpowiedział Stach, wycierając w ręcznik pianę, którą zdążył nałożyć fryzjer. - Chyba że Bruno nie wybaczy. Jak mu kupię kwiatki i przeproszę, to da spokój?

- Czyli że zajebałeś majora? - zapytała Zocha, a Stach odpowiedział jej zdziwieniem.

- Nie mów, że wiedziałaś, kto to jest?

- Idź za tory, do ośrodka. Jest tam taki jeden, który ci to rozjaśni. Ryba mu mówią. Pewnie znasz typa? Przywieźli go, jak się urwałeś Brunowi. Jeszcze przed nami wiedział, kto i dlaczego. A nasze sprawy zostają tak jak były. Szkoda Szramy tylko, ale taką mamy robotę. Mówią, że ryzyko zawodowe. A ty chyba klątwę z siebie zdjąłeś?

- No, nie do końca. - Zamyślił się Stach. - Jest jeszcze jedna, bardzo gruba sprawa. Lepiej usiądź - zaproponował, wyglądając na Ząbkowską.

Obok zakładu przechodził Tomek i kiedy zobaczył brata, chciał wejść do środka, zatrzymał go Szymon, coś tłumacząc i wskazując na rozmawiającą ze Stachem Zochę.

Już po chwili stali we dwóch, paląc i czekając aż audyencja dobiegnie końca. Kobieta usiadła na miejscu dla oczekujących.

- Wiem, że zawsze próbowałaś unikać politycznych, ale dowiedziałem się czegoś, co może to zmienić.

- Kurwa, Stachu, smród za tobą idzie...

- Poczekaj, daj powiedzieć. Ci zza rzeki się tobą interesują. Zawsze byłaś wobec mnie uczciwa, więc i ja będę lojalny. Nie będę z tobą rozmawiać, nie proponuję interesu. Na razie chcą wiedzieć, co się u ciebie dzieje, jak pracujesz, z kim. I to mi zaproponowali robotę... szpicla. Mnie się też to nie podoba, ale parcie mają tak duże, że jeśli nie ja, to śpiewać zacznie ktoś, po kim najmniej się spodziewasz. Nie wiem, Bruno, pan Szymek, jakiś dostawca, twój cyngiel. To może być każdy. Mają metody, wiedzą, na czym ludziom zależy, i rozpiardolą im życie, jeśli nie pójdą na współpracę. Sama wiesz, jak to działa. Ja mam być ich człowiekiem w twoich szeregach i, jeśli się zgodzisz, to będę, ale wszystko za twoją wiedzą. Zdecydujesz, jakie informacje bezpiecznie przekazać, a jakie zataić. Razem zbudujemy obraz, który będzie miał ręce i nogi, a im da niewiele. Może coś nawet zyskasz. Na początek mogę powiedzieć, że ROR nie jest już politycznie niezależny. Trzeba na nich uważać.

Do Zochy te informacje zdawały się jeszcze nie docierać. Stach domyślał się, że kobieta mieli pod czaszką kilka możliwych rozwiązań, z których jednym z najbardziej kuszących było ukatrupienie go na miejscu.

- Ja mam związane ręce - dodał. - Jeśli nie pójdę na współpracę, zajebią moich rodziców, więc tak czy siak nigdzie się z Pragi nie ruszam. Chyba że na tamten świat.

- Idź - powiedziała Zocha. - Idź już. Muszę to przetrwać. Potem cię znajdę i powiem, co... co dalej.

Popatrzył na nią, ale zamknęła się w swoich myślach. Zostawił Zochę samą i wyszedł na ulicę. Powiedział Szymonowi, że na golenie wróci jutro rano, i razem z Tomkiem ruszył w stronę Kawęczyńskiej.

- Posłuchaj - zaczął Stach, zwracając się do brata. - Przez jakiś czas widzimy się tylko zawodowo, jeśli w ogóle jeszcze mam tę robotę. Dla ewentualnych zainteresowanych nic poza pracą nas nie łączy, rozumiesz? A teraz najważniejsze. Tadek żyje. Widziałem jego zdjęcie zrobione z miesiąc temu. Odwalił jakiś polityczny myk i zwinęli go na lewą stronę. Ale my nadal udajemy głupków. Nikt nie może o tym wiedzieć i to nie ze względu na jego, ale na nasze bezpieczeństwo. Jak się jeszcze czegoś dowiem, to dam ci znać, a na razie przyskaj.

- Dzięki... bracie.

- Uciekaj, bo na pewno ktoś za mną łązi i notatki robi.

Chłopak skręcił w Brzeską, a Stach przyspieszył, kierując się ku bazylice. Nie okłamał Tomka. Mężczyzna w ciemnych okularach naprawdę obiecał uruchomić bezpieczną komunikację z ojcem. Kiedy już w samo chodzie Stach zapytał o swoją córkę, ten odpowiedział, że to trudniejsza sprawa i jedyne, na co Kubiak może liczyć, to



kilka słów o jej życiu, z czasem jakieś zdjęcie. Ponoć dla byłej żony i teściów był martwy.

Stach tak naprawdę nie wierzył, że ktoś może za nim teraz chodzić, ale na wszelki wypadek do torów dostał się okrężną drogą, przez podwórka. Potem krzakami pokonał odcinek za nasypem i do kliniki Zochy wszedł tylnymi drzwiami. Nowego pacjenta odnalazł na piętrze. Rybę znał z widzenia i przypuszczał, że ten wie o nim więcej niż Stach o funkcjonariuszu. Mężczyzna leżał blady, podłączony do kroplówki, ale sprawny umysłowo, na co wskazywał fakt, że czyta gazetę. Opuścił płachtę dziennika, kiedy zobaczył, że ma gościa.

- Stach jestem.

- A mi mówią Ryba. - Mężczyźni podali sobie ręce. - Mówili, że przyjdiesz. Dobrze, że dzisiaj, bo od jutra mam mieć poważniejsze zejście. - Popatrzył na płyn w kroplówce. - Teraz dają mi jeszcze to gównem rozwodnione, ale z rana zmieniają składniki.

- Prowadziłeś sprawę Krawca z Lublina? - Stach od razu przeszedł do konkretów.

- Tak, to ja wpadłem na majora. Na to, że powiązany. W gazetach o nim nie pisali, bo wojsko się nie chciało przyznać, że to typ od nich. Widzisz, on zaczął rozrabiać jak ta dziewczyna od Niemca spadła i zaraz się wydało, że był jej kochankiem, jeleniem, którego szpiegowała. Jak się dowiedział, że nie żyje, wpadł w szal, a jeszcze bardziej się wkurwił, gdy do niego doszło, że go wykorzystwała. Natychmiast go zamknęli i zaczęli wyciszać połączenia

sprawy z MON-em. W areszcie prawie zajebał więźnia, który nazwał jego ukochaną amerykańską kurwą. Wysłali go na leczenie. W zamkniętym go przesłuchali i doszli do tego, że facet nic nie wiedział, był tylko naiwnym pionkiem. Na chemii się uspokoił, wyciszył, więc jakiś miesiąc temu go wypuścili. Sprawy nie było, bo przecież zamieciona, wojsko nie miało z tym nic wspólnego. A on wyszedł i wyparował. Potem zaczęli ginąć ludzie, bo się mścił, szukał winnych. Zwariował z miłości, biedak, do tego stopnia, że na moich oczach... rozpiardolił kolegę.

- To wszystko w aktach było?

- Trochę tu, trochę tam. Mam kilku znajomków po obu stronach kryminału. Bez tego by mnie tu nie wzięli. Ale teraz koniec. Wywalą mnie po tym ataku na zбитy pysk. Przynajmniej zieloni mnie nie zgarnęli. Zocha obiecała jakąś robotę, więc jak wyjdę, będziemy się pewnie częściej widywać.

- To zdrowia życzę. - Stach uścisnął mu rękę i zaczął wychodzić z pokoju.

- Szukasz go?

- Znalazłem - powiedział, odwracając się w drzwiach.

- Już będzie spokój, nikogo nie skrzywdzi.

\*\*\*

Nad Pragą zachodziło Słońce, kiedy Stach gramolił się na kolejowy nasyp. Skoro los unieruchomił go w objęciach brzydszej siostry, znajomość z Rybą mogła mu się jeszcze przydać. Tutaj też znajomości miały olbrzymie znaczenie,

a glina był kontaktowy. Jeśli Zocha zgodzi się na propozycję podwójnej gry, to może Kubiak pożyje jeszcze kilka lat, nim zmienią się priorytety w wywiadzie III RP. Miał do rozwiązania jeszcze jeden problem, który wywoływał w nim dziwną niemoc. Coś rozpaczliwego dobijało się do jego świadomości, ilekroć myślał o tym, jak został oszukany i jak sam oszukiwał. Los się na nim zemścił w najbardziej prosty, a zarazem zaskakujący sposób. Bolało go jak cholera, więc miał stuprocentową pewność, co czuje do tej dziewczyny.

Stała przy torach, na szczycie nasypu, kilkanaście metrów od niego. Patrzyła, jak wychodzi na podkłady i otrzepuje kolana. Po chwili ruszyła, niepewnie, bojąc się tej rozmowy tak samo jak on. Nie schodził na dół, czekał aż podejdzie. Po raz pierwszy od początku ich związku nie pocałowali się na powitanie. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. To ona przerwała milczenie.

- Dasz papierosa?
- Palisz?
- Tylko, jak życie swędzi.

Poczęstował. Przypalił jej i sobie. Usiadła na nasypie, dołączył do niej. Patrzyli na pomarańczowy półokrąg chowający się za dachami miasta, które najpierw dało im szczęście, a teraz przekłęło.

- Stachu, co z nami będzie?
- Nie wiem. Jutro pomyślimy. - Popatrzył na nią i odgarnął kosmyk włosów spadający jej na twarz. - A dzisiaj jeszcze udawajmy, że jest wczoraj.

\*\*\*

Zapadał zmrok. Dzięki temu, że słońce nie paliło już tak mocno, mógł choć na chwilę zdjąć przyciemniane okulary. Odłożył je na kawiarniany stoliczek, tuż obok filiżanki z gęstym, czarnym naparem. Siedział w jednym z tak rzadkich na Pradze lokali sprzedających prawdziwą arabicę. Zaciągnął się morem w ciemnej bibułce i rozkoszował towarzystwem zadbanych ludzi, którzy żegnali dzień przy lampkach północnosłowiańskich winiaków. Czuł tu oddech normalności nieprzygniecionej sowieckim butem. Co jak co – pomyślał – ale Saska Kępa się czerwonym udała. Ambasady i domy kacyków wymuszały wysoki standard w okolicznych lokalach. Do tego usytuowana przy Międzynarodowej Akademia Sztuk nadawała dzielnicy charakter centrum artystycznej cyganerii. Mnożyły się tu galerie. Sprzedawcy krajoznictwa okupowali chodniki. Z niektórych kawiarni wylewały się dźwięki granych na żywo melodii. Po Francuskiej spacerowali hipisi i naturalsi, za cholerę nie mógł ich odróżnić. Nie obawiali się zwykle wyczulonych na odmienność patroli milicji. Wszędzie na Pradze mundurowi ganiłi brudasów, tutaj musieli się liczyć z ryzykiem, że zatrzymany długowłosa okaże się ministerialnym synem. Miejsce podobało mu się tak bardzo, że postanowił zająć tu lokal, kiedy już Warszawa będzie jednym miastem. Nawet upatrzył sobie przyjemną willę na Dąbrowieckiej.

Czuł na sobie wzrok niewidzialnego towarzystwa, które zapewne obserwowało ulice, wyglądając zza zasłonek nieoświetlonych jeszcze okien. Nie przejmował się. Byleby

nie zrobili mu z nikim zdjęcia. Sprawy na Pradze załatwił zadziwiająco szybko. Za kilka dni miał już siedzieć w swoim gabinecie z widokiem na Ogród Saski. Wzywali go pilnie na lewą stronę ze względu na jakiś kryzys z Anglikami. Ale, o dziwo, załatwił już tutaj wszystko. Zamiast miesiący, spędził na Pradze zaledwie kilka tygodni, oliwiąc szpiegowską maszynę w taki sposób, żeby dalej działała bez jego bezpośredniej ingerencji. Czuł się jak boski inżynier, który po wymienieniu kilku kół zębatych może spokojnie czekać na wyniki pracy swojej ludzkiej maszyny. Jeszcze tylko ważne spotkanie w pobliskiej piwnicy, z którego niezauważony wyjdzie kilka przecznic dalej. Spotkanie, jeśli dobrze je rozegra, zaowocuje utworzeniem całej siatki nieświadomych informatorów. Magiczne miejsce ta Saska Kępa - rozmarzył się. To tutaj narodzi się przyszłość. Tylko w sercu ścisnął go lekki żal, że podręczniki do historii nie wymienią jego nazwiska. Prawdziwy inżynier zawsze pozostaje w cieniu. Może się tylko cieszyć, kiedy wszystko zadziała tak, jak zaplanował. A ktoś inny podpisze się pod maszyną i sprzeda jego patent historykom.

\*\*\*

Zocha wciąż siedziała na zapleczu zakładu fryzjerskiego. Kazała przynieść sobie butelkę nalewki z wiśni i sącząc gęsty płyn, myślała, co zrobić z kolejnym problemem, którym obarczył ją Kubiak. Utopienie go w Wiśle nie wchodziło w rachubę. Polubiła praskiego zesłańca, który

wykazał się lojalnością, mówiąc jej o wywiadowczych planach swojej byłej ojczyzny. Teraz potrzebowała zaufanych ludzi jeszcze bardziej niż kiedyś. Szczególnie że zabrakło Szramy.

Szymon wesoło gaworzył z ostatnim klientem, radio przygrywało cicho modne przeboje, a ona wciąż nie wiedziała, jak wyjść z tej sytuacji, nie tracąc nic ze swojej wolności. Zadzwoił telefon. Fryzjer przeprosił strzyżonego staruszka i wszedł do zajmowanego przez nią pomieszczenia. Odebrał.

- To do ciebie. - Przekazał słuchawkę po wysłuchaniu krótkiego komunikatu.

Głos po drugiej stronie linii powiedział jej kilka zdań. Kiedy skończył, wiedziała już, że nie może zrezygnować ze Stacha. Tylko on mógł jej pomóc rozwiązać kolejny problem. Telefon rozwiązał wątpliwości.

Kurwa, los się wziął - pomyślała. Może to na mnie ktoś urok rzucił.

# Podziękowania

Na zakończenie chciałbym podziękować kilku osobom. Przede wszystkim mojej ukochanej Ewelinie, pierwszej czytelniczce, za bezcenne uwagi i cierpliwość. Michałowi Bulikowskiemu za lata nurzania się w warszawskich klimatach. Markowi Henrykowi Szczepanowi za opowieści z kamionkowskiej młodości. Joannie Feliksiak za nieustające wsparcie. Michałowi Rauszerowi za poruszające wyobraźnię rozmowy. Wojtkowi Burszcie za dobre serce. No i Tańskim, mojej praskiej rodzinie, która przyciąga mnie na drugą stronę Wisły.

Bez was pisałbym pewnie o zupełnie innym mieście.

## *OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!*

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawiają, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

### *POLECAMY*



Księgarnia Oficynki [www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

e-mail: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

tel. 510 043 387





---

*Oficyna*